

Nr 11–12 (90–91)
LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2020
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

CZAS POGARDY, CZAS NADZIEI

GRUDZIEŃ '70

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

DWIE ODSŁONY TEGO SAMEGO MEDALU

W bieżącym numerze naszego pisma czytelnicy znajdą dwa tematy miesiąca. W grudniu będziemy obchodzić 50. rocznicę tragedii z 1970 r., kiedy władze komunistyczne (ekipa Gomułki) podjęły decyzję, by po raz kolejny strzelać do robotników. Nastąpiła w niedługim odstępie czasu kolejna kompromitacja reżimu. Jak słusznie mówił podczas posiedzenia Rady Głównej Episkopatu Polski z końca grudnia 1970 r. kard. Karol Wojtyła: „To nie jest tylko kryzys systemu u nas, to jest kryzys systemu w ogóle, systemu ekonomicznego, który nie daje tych rezultatów, na które liczył, które obiecywał, na które poniekąd stawiał". Nieuchronność kryzysu systemu ekonomicznego została spotęgowana kryzysem moralnym i duchowym widocznym co najmniej od 1968 r. Jak mówił dalej kardynał Wojtyła, wprawdzie samo dopominanie się o sprawy kultury w 1968 r. (sprzeciw wobec cenzury) nie wystarczyło, by zmusić władze do reakcji, a jedynie sprawy materialne (podwyżka cen z grudnia 1970 r.) to uczyniły, to jednak wydarzenia z grudnia 1970 r. oraz te sprzed dwóch i pół roku „musimy traktować w pewnym sensie... jako całość. To jest całość kryzysu, na który składa się i problem środków materialnych, chleba, i problem kultury, problem ducha". Inaczej mówiąc, Grudzień '70 swoją tragedią unaocznił jednoznacznie, robotnikom w pierwszym rzędzie (jak części inteligencji rok 1968), że system komunistyczny nie ma nic do zaoferowania. Jest nie tylko pusty, lecz i ciasny. Ta prawda, dla ludzi Kościoła i pokolenia umocowanego pamięcią o II RP i tysiącleciu dziejów Narodu od zawsze dostępna, stała się coraz powszechniejsza, akceptowalna w tych umysłach, które zostały zniewolone materializmem dialektycznym. Więcej nawet, same jakże często od czasów stalinowskich zmuszały Naród do pobytu w tej pustce i ciasnocie reżimowej ideologii. Grudzień 1970 r. widziany z perspektywy 50 lat jest zatem na nowo odczytywany. Ówczesne zbrodnie reżimu są dziś oceniane jako ujawnienie słabości systemu, który miał trwać wiecznie jako rzekomo spełniający wszystkie zachcianki ludzkie, a stał się reżimem podtrzymywanym przez przegranych cywilizacyjnie ludzi. Nie ludzi potępiamy, lecz ideologię, która ich zniewoliła i zdegenerowała, wręcz pchnęła do zbrodni. Podobnie dziś, to „nie ludzie, a ideologia". Prowadzi ich do podobnego dna.

Jako IDMN rozpoczynamy obchody 160. rocznicy urodzin i 80. rocznicy śmierci naszego patrona, Ignacego Jana Paderewskiego (1860–1941). Od listopada do czerwca będziemy (na ile pozwoli nam koronawirus) zapraszać do udziału w różnych wydarzeniach, w tym dostępnych poprzez stronę www.idmn.pl.

Ignacy J. Paderewski był wspaniałym kompozytorem, pianistą i mężem stanu, premierem w trudnym roku naszej niepodległości, w 1919. Zdobył jednak sławę, godną celebrytów, nie tylko z racji posiadanych talentów. Współgrały z nimi wartości, których był nosicielem i którym był wierny. Był zatem przede wszystkim polskim patriotą odpowiedzialnym za Ojczyznę i jej potrzeby. W 1910 r. tą potrzebą stał się pomnik Grunwaldzki w Krakowie, symbol jedności i wrażliwości Narodu; w 1914 r. tą potrzebą stało się porzucenie fortepianu na rzecz dyplomatycznych starań o wolną Polskę. Pozwoliło to Polakom cieszyć się z 13. punktu celów wojny wyznaczonych entencie przez Stany Zjednoczone, którą to deklarację przyjęli wszyscy sojusznicy amerykańskiego prezydenta, w tym Francja, Wielka Brytania i Włochy. Paderewski był człowiekiem miłosierdzia. Znany był ze swej ofiarności, kiedy np. za darmo dał koncert zrozpaczonym studentom amerykańskim, którzy nie byli w stanie zebrać obiecanej sumy pieniędzy. Wśród nich był Herbert Hoover, który po I wojnie światowej oddał z naddatkiem Polakom dobro, które za młodu od Paderewskiego otrzymał. W tym numerze przeczytają państwo podobną historię, dotyczącą Nowej Zelandii. I dobro wróciło, w 1942 r. gdy premier tego państwa zgodził się na przyjęcie pod skrzydła swych obywateli „polskie dzieci tułacze". Takich ludzi dbających o ducha i materię Narodu jak Ignacy Jan Paderewski nam trzeba, także dziś.

JAN ŻARYN



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl

wSIECI
SPIS TREŚCI
NR 11–12 (90–91) LISTOPAD–GRUDZIEŃ 2020

HISTORII



11 TO, CO ZWYKŁO SIĘ NAZYWAĆ, DOŚĆ W KOŃCU UMOWNYM OKREŚLENIEM: GRUDZIEŃ 1970, BYŁO JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH I ZARAZEM NAJTRAGICZNIEJSZYCH MOMENTÓW W POWOJENNEJ HISTORII POLSKI – OCENIA JERZY EISLER



31 W ROKU 2020 OBCHODZIMY 500. ROCZNICĘ URODZIN KRÓLA ZYGMUNTA AUGUSTA PAMIĘTANEGO NIESŁUSZNIE PRZEDE WSZYSTKIM JAKO BOHATERA „KRÓLEWSKIEGO ROMANSU" – PRZYPOMINA HENRYK LITWIN

3 **GŁOS NACZELNEGO**
JAN ŻARYN

TRÓJMORZE

9 **DWA PLANY INTEGRACJI**
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

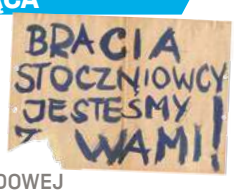
WSPOMNIENIE

10 **ANNA MIZIKOWSKA (1926–2020)**
JAN ŻARYN

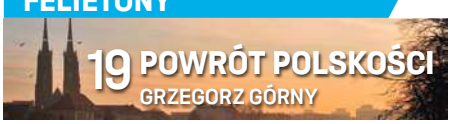


TEMAT MIESIĄCA

11 **GRUDZIEŃ 1970**
NAUKOWCY INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



FELIETONY



19 **POWRÓT POLSKOŚCI**
GRZEGORZ GÓRNY

59 **1951 – ROK SOWIECKICH SZPIEGÓW ATOMOWYCH**
PAWEŁ SKIBIŃSKI



71 **NASI TATARZY**
ANTONI DUDEK

71 **POLSKA WYJĄTKOWOŚĆ**
RYSZARD CZARNECKI

86 **(NIE)BAJKA O SMOKU**
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

92 **„ŹRÓDŁA NIEPODLEGŁOŚCI"**
MAREK JUREK



98 **SILVA RERUM**
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

WEHIKUŁ CZASU



20 **LISTOPAD, GRUDZIEŃ**
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

24 **ARCHIWIŚCI**
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN



26 **JAK BRONIŁ SIĘ LWÓW W 1918 ROKU**
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DAWNO TEMU

28 **DAWID Z GRODNA – BOHATER CZY ZBRODNIARZ?**
MACIEJ MACIEJOWSKI

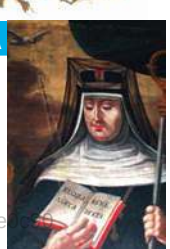


31 **DZIEŁO ZYGMUNTA AUGUSTA**
HENRYK LITWIN



DUSZA KONTUSZA

35 **MATKA MAGDALENA MORTĘSKA**
HENRYK LITWIN



ZDARZYŁO SIĘ

38 **NIEMIECKIE „PRAWO ŻYCIA"**
TOMASZ PANFIL

41 **O LIKWIDATORACH Z KONTRWYWIADU**
MARIUSZ OLCZAK



45 **ŚWIECA WDZIĘCZNOŚCI**
DARIUSZ ZDZIECH

48 **KTO WROBIŁ PROFESORA QUIGLEYA?**
JAKUB MACIEJEWSKI

50 **PIESZO Z KRAKOWA DO RZYMU**
MACIEJ KĘDZIOREK



IDMN

53 **IGNACY JAN PADEREWSKI WŚRÓD GEJZERÓW**
JACEK R. DRECKI



56 **POLITYK I WIRTUOZ. IGNACY JAN PADEREWSKI W PRASIE FRANCUSKIEJ 1919–1941**
JOANNA METZGER

60 **ARCYBISKUP ROMUALD JAŁBRZYKOWSKI – OSTATNI RYCERZ KRESOWY**
MARTA CYWIŃSKA



eprasa.pl 236a0e



76 ŚWIĘTY MICHAŁ ARCHANIOŁ REPREZENTOWAŁ MODEL KSIĄŻĘCY, WOJENNY, ZWYCIĘSKI I JAKO TAKI ŁATWO PRZEMAWIAŁ DO WYOBRAŹNI SPOŁECZNOŚCI, KTÓRE TWORZYŁY ŚREDNIOWIECZNĄ EUROPĘ – PISZE MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI

PRASPORT

62 KRYPTONIM „POBORCA", CZYLI SB NA TROPIE TRANSFEROWYCH AFER
GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLONIA

64 BOLESŁAW ŚWIDERSKI I WYWIAD PRL
KRZYSZTOF TARKA

ZIEMIAŃSTWO

67 TYZENHAUZOWIE I SPADKOBIERCY
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

WOJNA NA EKRANIE

70 O WOJNIE NA SERIO, CHOĆ Z PRZYMRUŻENIEM OKA
KAROL MAZUR

NARRACJA USPL

72 FEMINISTYCZNY GUŁAG
MAREK JAN CHODAKIEWICZ

PEŁNA KULTURA

74 PEWIEN DŻENTELMEN I JEGO KATALOG WYDAWNICZY
PAWEŁ ORZEŁ

76 KSIĄŻĘ ZASTĘPÓW NIEBIESKICH I „PATRON DOBREJ ŚMIERCI"
MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI

79 O GAŁCZYŃSKIM INACZEJ
WOJCIECH OSIŃSKI

82 RACJA STANU, CZYLI O POLSKI SOFT POWER
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

83 RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA Z... BŁAŻEJEM TORAŃSKIM

84 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

CZYM STRZELAĆ

87 GARBATY KROGULEC
KACPER GROCHOCKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 HRABINA MARIA TARNOWSKA
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

90 NIE TAKA DYNIA STRASZNA
KRZYSZTOF ŻARYN

WŁADCZYNIE

93 BONA
MAREK BARAŃSKI

NAC PREZENTUJE

94 POCISKI WIATREM MIOTANE
ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

95 PŁASZCZ „KOTWY"
MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Bartłomiej Szyperski
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun. Fot.: Andrzej Wiktor. Aktorzy i rekonstruktorzy: Natasza Leśniak, Daniel Borowiec, Daniel Prokurat. Charakteryzacja: Joanna Wasilewska. Kostiumy i rekwizyty: Retro-Pasje

eprasa.pl 236a0e0c90



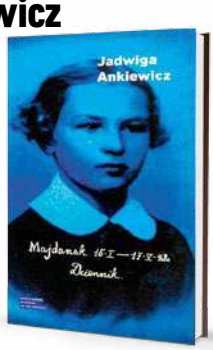
Wystawa o prof. Lechu Kaczyńskim





7 września na dziedzińcu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego otwarto wystawę „Lech Kaczyński. Człowiek Solidarności" przygotowaną przez Instytut Dziedzictwa Solidarności. Na ekspozycję składa się 15 tablic przekrojowo prezentujących dorobek zawodowy, społeczny i naukowy śp. prof. Lecha Kaczyńskiego na przestrzeni 61 lat jego życia. Poszczególne tablice ilustrowane są zdjęciami i cytatami z jego oficjalnych wystąpień – od okresu lat młodzieńczych, poprzez kolejne etapy włączania się w działalność związkową i polityczną, od okresu opozycji PRL poprzez lata transformacji ustrojowej, jako czynnego działacza społecznego, do okresu dojrzałej działalności politycznej. Tytuł wystawy nawiązuje do priorytetu życiowego Lecha Kaczyńskiego, jakim były działalność związkowa oraz troska o prawa pracownicze i prawa człowieka. Przypomina, że przyszły prezydent od lat studenckich zarówno w swojej działalności społecznej i opozycyjnej, jak i w pracy naukowej był żywo zainteresowany obroną praw pracowniczych i ludzi w gorszej sytuacji socjalnej. Jako pracownik naukowy szczególnie interesował się Kodeksem pracy i przepisami związanymi z kształtowaniem stosunku pracodawca – pracownik, rozprawę habilitacyjną poświęcił zaś rencie socjalnej. To Lech Kaczyński jako minister sprawiedliwości po raz pierwszy rozpoczął skuteczne działania przeciwko przestępstwom reprywatyzacyjnym, korporacyjnym i mafii paliwowych. Wystawa prezentuje również całkowicie odmienny od poprzedników stosunek Lecha Kaczyńskiego do dokumentowania historii, szacunek dla patriotyzmu i dla niewygodnych głównemu nurtowi bohaterów. To właśnie prezydent RP Lech Kaczyński po raz pierwszy uhonorował najwyższymi orderami państwowymi Annę Walentynowicz i Andrzeja Gwiazdę, wcześniej systemowo spychanych na margines życia publicznego. To dzięki Lechowi Kaczyńskiemu udało się zbudować Muzeum Powstania Warszawskiego. Wreszcie to jego działania doprowadziły do odważnego mówienia prawdy o zbrodni katyńskiej. Wystawa kończy się upamiętnieniem żałoby narodowej, jaka nastała po katastrofie prezydenckiego samolotu w lesie smoleńskim. W uroczystym otwarciu ekspozycji udział wzięli m.in. brat śp. prezydenta, prezes PiS, wicepremier Jarosław Kaczyński, wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński oraz prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska.

Premiera książki Jadwigi Ankiewicz „Majdanek 15 I–17 V 43 r."



Muzeum Więzienia Pawiak – oddział Muzeum Niepodległości oraz Państwowe Muzeum na Majdanku promują swoją najnowszą publikację – dziennik będący niezwykłym świadectwem przeżyć obozowych i jedynym oryginalnym dokumentem pisanym w całości w niemieckim obozie koncentracyjnym. Jego autorką jest 16-letnia Jadwiga Ankiewicz – osoba, której życie i los symbolizują tragiczne doświadczenia młodego pokolenia Polaków z okresu II wojny światowej. Podczas uwięzienia na Majdanku, od stycznia do maja 1943 r., utrwalała swoje obserwacje niemal dzień po dniu. Prowadzenie dziennika tak długo w ukryciu wymagało od niej zarówno ogromnej pomysłowości, jak i determinacji. Posiadanie przyborów do pisania było bowiem za drutami surowo wzbronione. Spotkania promujące książkę odbyły się m.in. 10 września w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie oraz 16 września w Muzeum Więzienia Pawiak w Warszawie.

Festiwal w hołdzie św. Janowi Pawłowi II



Z okazji setnej rocznicy narodzin św. Jana Pawła II w hołdzie papieżowi Polakowi odbyły się Międzynarodowe Dni Muzyki Organowej i Kameralnej w Starachowicach. Rozpoczęły się one 4 października w kościele MB Nieustającej Pomocy koncertem „Papież przebaczenia", w którym wystąpili m.in. Alicja Węgorzewska i Maciej Miecznikowski – śpiew, Anna Drela – narrator, Robert Grudzień – organy, fortepian. Podczas koncertu wykonano pieśni sakralne i patriotyczne oraz autorską muzykę Macieja Miecznikowskiego. Na zakończenie wydarzenia odbyła się wspólna modlitwa „Święty Boże" o ustanie pandemii koronawirusa z zapewnieniem papieża Franciszka o modlitwie za organizatorów i uczestników uroczystości. Koncertowi towarzyszyło wiele nabożeństw, do których homilie wygłosił ks. dr Sławomir Czajka. Modlitwa była połączona z podziękowaniem za odnowienie relikwii i nowy relikwiarz świętej sekretarki Bożego Miłosierdzia, który znajduje się w Kaplicy Miłosierdzia. Organizatorom festiwalu przyświecały słowa św. Jana Pawła II, że Kościół potrzebuje sztuki oraz artystów i poprzez sztukę przekazuje przesłanie Ewangelii. „Każdy z nas, ludzi wierzących, ma jakieś bardzo osobiste duchowe spotkanie ze św. Janem Pawłem II. Dla mnie to oczywiście Jego pielgrzymki do Polski, kiedy odwiedzał wszystkie diecezje i spotykał się z wiernymi. Jednak wcześniej, rok przed wyborem kard. Wojtyły na papieża, uczestniczyłem w uroczystościach koronacji obrazu Matki Bożej Pocieszenia w Starej Błotnicy. Już wówczas Jego słowa ukształtowały moje życie. Należę do pokolenia JP II. Swoją działalność artystyczną staram się budować w ten sposób, aby mieściła się w określeniu sztuki, o jakiej mówi św. Jan Paweł II" – przyznaje Robert Grudzień, kierownik artystyczny starachowickiej „organówki".

eprasa.pl 236a0e0c90

XII Międzynarodowy Festiwal Filmowy NNW



W dniach 24–27 września w Gdyni odbył się XII Międzynarodowy Festiwal Filmowy „Niepokorni. Niezłomni. Wyklęci". W jego trakcie przyznano wiele wyróżnień dla twórców kultury. Nagrodą specjalną Platynowego Opornika za całokształt twórczości kapituła postanowiła uhonorować Alinę Czerniakowską – reżyser filmową, scenarzystkę, dziennikarkę telewizyjną. Literacka Nagroda im. Błogosławionego Księdza Władysława Bukowińskiego, za umiejętne opowiadanie historii w literaturze, przyznana została pisarzowi i dziennikarzowi Bronisławowi Wildsteinowi. W plebiscycie dokumentów radiowych wygrał Kamil Hypki z Radia Zachód, autor audycji „Sześciu z Żagania" o najsłynniejszej ucieczce II wojny światowej, w którą było zaangażowanych 600 alianckich lotników. Ponadto przyznano trzy równorzędne wyróżnienia: Annie Rębas z Polskiego Radia Gdańsk za reportaż „Odkopane losy. Tajemnice Westerplatte", Dominikowi Gilowi z Polskiego Radia Lublin za reportaż „Tablica" i Marzenie Bakowskiej z Polskiego Radia Gdańsk za reportaż „Rozgłośnia Topolówka". Nagrodę Prezesa Telewizji Polskiej otrzymał film „Konspirator" Sławomira Koehlera. Nagrodą dyrektora Festiwalu uhonorowano Krzysztofa Brożka za film „Raport z Auschwitz". Nagroda im. Janusza Krupskiego, za odwagę i trud w podejmowaniu tematów i przybliżaniu postaci niepokornych, niezłomnych, wyklętych, trafiła do Dariusza Walusiaka za film „Prawo do Polski" oraz do Mariusza Pilisa za film „Sprawiedliwość". W tym roku po raz pierwszy w konkursie wystartowały filmy fabularne dotyczące historii najnowszej. Wygrał obraz z Węgier „Wieczna zima" w reżyserii Attili Szásza, opowiadający o węgierskich robotnikach skazanych na przymusowe roboty w donieckich kopalniach i walce o zachowanie, w tych koszmarnych warunkach, ludzkiej godności. W konkursie polskich filmów dokumentalnych wyróżnienia otrzymały filmy: „O zwierzętach i ludziach" Łukasza Czajki, który został wyróżniony za artystyczne ukazanie czasów, w których ratowanie życia groziło karą śmierci, oraz „Zwyczajny kraj" Tomasza Wolskiego, za interesujące wykorzystanie materiałów archiwalnych pozostawionych przez komunistów. Nagrodę główną w tym konkursie – Złoty Opornik otrzymali Magdalena Piejko i Damian Żurawski za film „Orzech. Zawsze chciałem być z ludźmi". Zwycięzcy otrzymali statuetkę z rąk prof. Jana Żaryna, dyrektora Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, który ufundował nagrodę. W ramach konkursu międzynarodowych filmów dokumentalnych przyznano dwa wyróżnienia – dla „Wierzę, że więcej światła nie będzie potrzebne" Olgi Sommerowej i „Rodeo" Raimo Joeranda oraz nagrodę główną – dla Dagmary Drzazgi za „Draugen". Nagroda Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia powędrowała do Hanny Zofii Etemadi, autorki filmu „Podróżnik – Akcja Inteligencja". Nagroda główna w międzynarodowym konkursie filmów fabularnych została przyznana Atiili Szászowi za film „Wieczna zima". Patronat Narodowy nad Festiwalem sprawował prezydent RP Andrzej Duda, który skierował do zebranych list. Napisał w nim: „Już po raz dwunasty spotykają się Państwo w Gdyni, aby wspólnie uczestniczyć w prezentacji najnowszych obrazów dokumentalnych i fabularnych, słuchowisk i reportaży, widowisk i spektakli oraz innych dzieł przedstawiających wydarzenia i bohaterów dziejów najnowszych Polski. Zainteresowanie artystów historią narodową to świadectwo tego, jak bardzo ważna jest ona dla nas, współczesnych. Liczni twórcy czerpią dziś inspirację z przeszłości, podobnie jak miliony rodaków budują swoją tożsamość, poczucie dumy i więź ze wspólnotą, odwołując się symboli i ikonicznych postaci polskich zmagań o wolność. Wszystko to dowodzi, że to, co mogłoby wydawać się minione, pozostaje aktualne, ożywia zbiorową wyobraźnię i trafia do serc i umysłów Polaków początków XXI wieku". Wśród obecnych na miejscu był m.in. wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. Organizatorzy wydarzenia to Stowarzyszenie Scena Kultury i miasto Gdynia, partner generalny – PKN Orlen, a partner strategiczny – PKO BP. Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

CO BĘDZIE

Wystawa „Polska. Siła obrazu"

Do 20 grudnia w Muzeum Narodowym w Warszawie można oglądać wystawę malarstwa polskiego XIX w. „Polska. Siła obrazu", prezentującą dzieła najwybitniejszych polskich artystów, m.in. Stanisława Wyspiańskiego, Aleksandra i Maksymiliana Gierymskich, Jana Matejki, Leona Wyczółkowskiego, Józefa Mehoffera, Olgi Boznańskiej, Józefa Brandta, Józefa Chełmońskiego, Ferdynanda Ruszczyca, Konrada Krzyżanowskiego, Jacka Malczewskiego, Wojciecha Weissa, Jana Stanisławskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Witolda Wojtkiewicza, Władysława Ślewińskiego, Artura Grottgera, Józefa Simmlera, Juliana Fałata, Zbigniewa



Pronaszki. Ekspozycja opowiada o kulturotwórczej i mitotwórczej roli polskiego malarstwa okresu rozbiorów. To właśnie wtedy powstały dzieła, które nie tylko przedstawiały, lecz także kształtowały – wyobrażenia, myślenie i odczuwanie Polaków. Są to m.in. obrazy podejmujące refleksję nad chwalebną i tragiczną historią Polski, eksplorujące kulturowe bogactwo odziedziczone po Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, ikonografia powstania styczniowego i zsyłek, wybitne przykłady prac polskiej szkoły pejzażu, świadectwa poszukiwania nowoczesnych form wyrazu. Wystawa stanowi adaptację ekspozycji „Pologne 1840–1918. Peindre l'âme d'une nation", zorganizowanej we współpracy z Instytutem Adama Mickiewicza i prezentowanej do stycznia br. w filii Luwru w Lens. Sukces wystawy we Francji stał się dla MNW zachętą do przygotowania jej warszawskiej odsłony. Wystawę zorganizowano pod patronatem narodowym prezydenta RP Andrzeja Dudy i dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

eprasa.pl 236a0e0c90

CO BĘDZIE

Jasny Płomień Niepodległości

Akcja Jasny Płomień Niepodległości ma na celu przypomnienie niezwykłej historii świecy, zw. Świecą Niepodległości lub Świecą Piusową. Zaczęła się ona w Watykanie, w dniu kanonizacji Jozafata Kuncewicza, której w 1867 r. dokonał Pius IX, wielki przyjaciel Polaków i orędownik sprawy polskiej na dworach europejskich. Po zakończeniu uroczystości papież polecił, by stojąca przy ołtarzu świeca była do czasu odzyskania niepodległości przez Polskę przechowywana w rzymskim Kolegium Polskim prowadzonym przez Zmartwychwstańców. W styczniu 1920 r. świecę wniesiono w procesji do warszawskiej archikatedry i tam, podczas uroczystej mszy św., marszałek Sejmu Wojciech Trąmpczyński zapalił ją jako widomy znak tego, że Ojczyzna odzyskała wolność. Po wybuchu II wojny światowej świeca została przeniesiona do kaplicy seminaryjnej, co uchroniło ją od losu zburzonej podczas powstania warszawskiego świątyni. Potem przeniesiono ją do kościoła seminaryjnego przy Krakowskim Przedmieściu. W 2018 r. została przekazana do Świątyni Opatrzności Bożej. W czasie XI Święta Dziękczynienia zapalił ją podczas uroczystej mszy św. prezydent RP Andrzej Duda. Od tej pory Świeca Niepodległości jest zapalana przez głowę państwa podczas Eucharystii w czasie kolejnych obchodów Narodowego Święta Niepodległości. Stanie się tak także w tym roku. Dwa lata temu zrodziła się również nowa tradycja. Już w kilkudziesięciu tysiącach domów 11 listopada o godzinie 19.18 (symboliczne nawiązanie do daty odzyskania niepodległości) przy blasku replik Świecy Piusowej wierni modlą się, dziękując Bogu za wolność Ojczyzny i powierzając Polskę opiece Opatrzności. Wierna miniatura Świecy Niepodległości



FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/KPRP

może trafić do każdego, by mogła zajaśnieć w jego domu 11 listopada. Ten narodowy symbol może otrzymać każdy Darczyńca, który do 23 października złoży ofiarę na budowę Świątyni. Przy składaniu darowizny należy w tytule dopisać: ŚWIECA. Więcej informacji: www.centrumopatrznosci.pl/swieca.

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

Dnia 13 listopada odbędzie się uroczystość z okazji 20-lecia odkrycia historii Wilii Jasny Dom we Włochach, organizowana przez Urząd ds Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Fundację Jasny Dom, kierowaną przez Marlenę Piekarską-Olszówka. O godz. 10.30 odbędzie się msza św. w kościele przy ul. Rybnickiej 27, a następnie o godz. 12.00 zostaną złożone kwiaty pod tablicą przy ul. Świerszcza 2 we Włochach. Prezes Fundacji zaprasza następnie do zwiedzenie zabytkowych piwnic Domu, w których znajdują się byłe cele NKWD i inskrypcje więźniów.

Sprostowanie



W poprzednim numerze „wSieci Historii” („wSH” nr 9–10/2020) w tekście Mariusza Żuławnika „Operacja »Pamięć«” na str. 64 opublikowane zostało błędne zdjęcie Wojciecha Piróga, jednej z postaci opisanych w tekście. Zamieszczona w druku fotografia przedstawia zupełnie inną osobę – Wojciecha Piróga, powojennego działacza Polskiego Stronnictwa Ludowego, który zmarł w 1995 r.

Drukujemy właściwe zdjęcie Wojciecha Piróga. Fotografia ta, nadesłana przez autora tekstu Mariusza Żuławnika, znajduje się w aktach sprawy dotyczącej Wojciecha Piróga, zamordowanego przez Sowietów w ramach tzw. operacji polskiej NKWD 26 października 1938 r., których kopię cyfrową Instytut Pamięci Narodowej pozyskał w ramach współpracy archiwalnej z Państwowego Archiwum Obwodowego w Chmielnickim na Ukrainie.

Za tę przykrą pomyłkę, powstałą przy technicznym opracowywaniu wydania, przepraszamy autora i wszystkie zainteresowane strony.

Redakcja magazynu „wSieci Historii”

Fot. Reprodukcja za Państwowym Archiwum Obwodowym, Chmielnicki (Ukraina)

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

17 października i 21 listopada (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...i w Radiu Warszawa...

19 października (poniedziałek) i 10 listopada (wtorek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**29 zł** (3 wydania)	**54 zł** (6 wydań)
SIECI	**75 zł**	**139 zł**	**245 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**158 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 236a0e0c90

Polskie plany integracji Europy Środkowo-Wschodniej w latach II wojny światowej



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

II wojna światowa spowodowała likwidację Europy Środkowo-Wschodniej jako bytu geopolitycznego. Państwa, które do 1939 r. funkcjonowały na jej obszarze, znalazły się po dwóch stronach barykady – jedne stając się satelitami Osi, inne, reprezentowane przez władze uchodźcze (po podbiciu przez III Rzeszę), kontynuując walkę z Niemcami i ich sojusznikami u boku zachodnich aliantów. Dla niektórych państw regionu kolejne agresje sowieckie skutkowały aneksją przez Kraj Rad lub utratą na jego rzecz części obszaru.

Pomimo przegranej przez Rzeczpospolitą wojny obronnej we wrześniu 1939 r. oraz podziału i okupacji jej ziem przez III Rzeszę i Związek Sowiecki, wobec decyzji o niepodpisywaniu kapitulacji i prowadzeniu nadal walki, władze polskie rozpoczęły działalność na emigracji – najpierw we Francji, a po jej upadku w 1940 r. w Anglii.

Oprócz kontynuacji wojny z Niemcami, rozwijania stosunków z aliantami i zajęcia stanowiska wobec drugiego najeźdźcy, czyli państwa sowieckiego, istotnym wyzwaniem stojącym przed rządem RP na uchodźstwie i elitami politycznymi powrześniowej emigracji było wypracowanie koncepcji powojennego ładu międzynarodowego dla Europy Środkowo-Wschodniej. Początkowo działania w tej sferze skupiły się na próbie zbudowania polsko-czeskiej federacji, której gorącym zwolennikiem był premier i Wódz Naczelny, gen. Władysław Sikorski. Prace nad jej urzeczywistnieniem szły jednak



Płk Ignacy Matuszewski, spadkobierca tradycji piłsudczykowskiej, projektował wielką federację krajów Europy Środkowo-Wschodniej

FOT. NAC

opornie wobec licznych rozbieżności pomiędzy przyszłymi partnerami – o ile Sikorski opowiadał się za ścisłym federacyjnym związkiem, otwartym na nowych członków, uznawał prawo Słowaków do wyboru własnej drogi, a do Związku Sowieckiego nastawiony był nieufnie, o tyle premier rządu czechosłowackiego na uchodźstwie Edvard Beneš obstawał przy koncepcji luźnej konfederacji, ograniczonej do Warszawy i Pragi. O niezależności Słowacji nie chciał słyszeć, a w państwie sowieckim widział przyszłego hegemona wschodniej Europy, dążąc do jak najlepszych stosunków z Moskwą. Dzięki determinacji Polaków doszło jednak do powstania wspólnego komitetu koordynacyjnego, a także ogłoszenia aktu konstytucyjnego przyszłego związku Warszawy i Pragi. Kiedy jednak Kreml oprotestował te plany (niezbyt przychylni byli im zresztą także zachodni alianci, obawiający się nadmiernej emancypacji Polaków i Czechów), a Beneš ogłosił, że z racji sprzeciwu Moskwy nie widzi możliwości integracji z Polską, plany związku w początkach 1943 r. zostały odesłane do lamusa.

Konkurencyjny program powojennego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej był dziełem powrześniowej emigracji piłsudczykowskiej w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Zarówno największy autorytet „amerykańskich" sanatorów, Ignacy Matuszewski, jak i działacze Zespołu Piłsudczyków, skupiającego zwolenników polityki Marszałka w Wielkiej Brytanii, projektowali z rozmachem wielką powojenną federację, w której miały się znaleźć – obok sojuszniczej Czechosłowacji – także sprzymierzone jeszcze wówczas z Niemcami Węgry i Rumunia oraz państwa bałkańskie, a nawet republiki nadbałtyckie (które, jak przewidywali sanatorzy, miały odzyskać niepodległość w wyniku osłabienia Sowietów po wyniszczającej wojnie z Niemcami).

Głosy znad Tamizy i Potomaku docierały do okupowanego kraju. W Polskim Państwie Podziemnym zwolenników znajdowały zarówno perspektywa związku Warszawy z Pragą, forsowana przez Sikorskiego, jak i „maksymalistyczne" wizje federacji, wypracowane w środowisku uchodźstwa piłsudczykowskiego. Alternatywę wobec nich stanowić mogły koncepcje konspiracyjnej Konfederacji Narodu, wywodzącej się ze środowiska przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego „Falanga". Konfederaci głosili hasło utworzenia Imperium Słowiańskiego pod egidą Wielkiej Polski, opartej na zachodzie na linii Odry i Nysy Łużyckiej, a na wschodzie sięgającej po granice przedrozbiorowe. Wszystkie te plany unieważnił wynik wojny, oznaczający dla Europy Środkowo-Wschodniej kolejne, sowieckie zniewolenie.

eprasa.pl 236a0e0c90

Anna Mizikowska (1926–2020)



W POŁOWIE LAT 80. ZACZĄŁEM PRACOWAĆ W ZNANYM WARSZAWSKIM LICEUM IM. STEFANA BATOREGO, SKĄD TRAFIŁEM – DZIĘKI UCZNIOWI – DO ŚRODOWISKA NAUCZYCIELSKIEGO WYWODZĄCEGO SIĘ Z „SOLIDARNOŚCI" OŚWIATY I WYCHOWANIA, A PO 13 GRUDNIA 1982 r. DZIAŁAJĄCEGO W RAMACH STUDIUM KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ. WŚRÓD NAUCZYCIELI, KTÓRYCH TAM POZNALIŚMY RAZEM Z MOJĄ ŻONĄ, CIESZĄCYCH SIĘ WYJĄTKOWYM AUTORYTETEM, BYŁA ANIA MIZIKOWSKA (1926–2020)

Nie znałem wówczas jej bohaterskiego życiorysu z lat II wojny światowej. Jej główną, a jak się okazało, szalenie ważną w latach 1982–1990 aktywnością było przewodniczenie na mocy corocznie ponawianego dekretu prymasa Polski z 17 kwietnia 1982 r., Sekcji Pomocy Nauczycielom, afiliowanej przy Prymasowskim Komitecie Pomocy Bliźniemu (od 1985 r. przy Duszpasterstwie Nauczycieli i Wychowawców Archidiecezji Warszawskiej). Sekcja działała od początku przy kościele św. Aleksandra w Warszawie, gdzie proboszczem był bp Władysław Miziołek, a konkretnie „na pięterku" za ołtarzem głównym i nad zakrystią. Ówczesna działalność Anny stanowiła konsekwencję jej aktywnej postawy od sierpnia 1980 r. Jako nauczycielka tworzyła NSZZ „Solidarność" w swojej szkole ekonomicznej dla dorosłych, a następnie od 1981 r. była wiceprzewodniczącą Solidarności pracowników oświaty i wychowania całego Regionu Mazowsze. Należała do zespołu negocjującego z władzami Kartę Nauczyciela. W stanie wojennym i później broniła represjonowanych nauczycieli. Jak wspominała w pracy wydanej w latach 90. „Wychowawca na czas próby", opublikowanej przez Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców (którego także była czynnym działaczem): „Do zakresu działania Sekcji należało świadczenie na rzecz nauczycieli wszechstronnej pomocy, ale przede wszystkim – prawnej. Udzielano porad, pisano odwołania i pisma procesowe; organizowano obronę w postępowaniach przed sądami i komisjami dyscyplinarnymi, kontaktując się z obrońcami-nauczycielami i obrońcami zawodowymi, czuwano nad przebiegiem spraw, które często ciągnęły się przez kilka, czasem kilkanaście miesięcy". Prawo stosowane wobec niepokornych nauczycieli było wówczas i bezprawne, i restrykcyjne; nauczyciele znaleźli się na listach internowanych, byli zwalniani z pracy za swoje publiczne wypowiedzi, nawet za noszenie krzyżyka czy też za obronę krzyża, byli przerzucani bez ich zgody do szkół oddalonych od miejsc zamieszkania, całkowicie wydalani z zawodu pod zarzutem „działania niezgodnego z zadaniami ideowo-wychowawczymi socjalistycznej szkoły świeckiej". Mimo mętnych przepisów umożliwiających stosowanie różnorodnych represji istniały tryby odwoławcze, w które „wchodziła" Sekcja kierowana przez Anię. Przyczyniła się do uratowania co najmniej kilkuset nauczycieli w skali całego kraju. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pełniła do 1995 r. funkcję przewodniczącej Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla Nauczycieli przy Ministrze Edukacji Narodowej.

Dziś jest znana bardziej ze swej wojennej karty, o której opowiadała po przejściu na emeryturę najchętniej, spotykając się z młodzieżą, czy to podczas obchodów kolejnej rocznicy Powstania Warszawskiego, czy przy okazji odbierania zasłużonych odznaczeń. W czasie wojny 1939 r. jako uczennica działała w Pogotowiu Wojennym Harcerek i Harcerzy, a następnie należała do Szarych Szeregów, kontynuowała naukę w konspiracji; w czasie Powstania Warszawskiego jako „Grażka" pełniła funkcję łączniczki w batalionie Parasol; walczyła na Woli i w Śródmieściu. Po upadku powstania uciekła z transportu, zamieszkała w Pruszkowie, gdzie kontynuowała działalność konspiracyjną. Została aresztowana przez UB i skazana na osiem lat pozbawienia wolności, następnie zwolniona w grudniu 1945 r. na mocy amnestii zmniejszającej jej karę na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu. Ostatecznie w 1949 r. ukończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Z racji życiorysu nie mogła znaleźć miejsca w swoim zawodzie. Została nauczycielką, a jednak gdy przyszła na to pora, dzielnie wykorzystała swe wykształcenie, by bronić nauczycieli represjonowanych w stanie wojennym.

Cześć Jej pamięci!

Jan Żaryn

eprasa.pl 236a0e0c90

Grudzień '70 po pół wieku

Jerzy Eisler

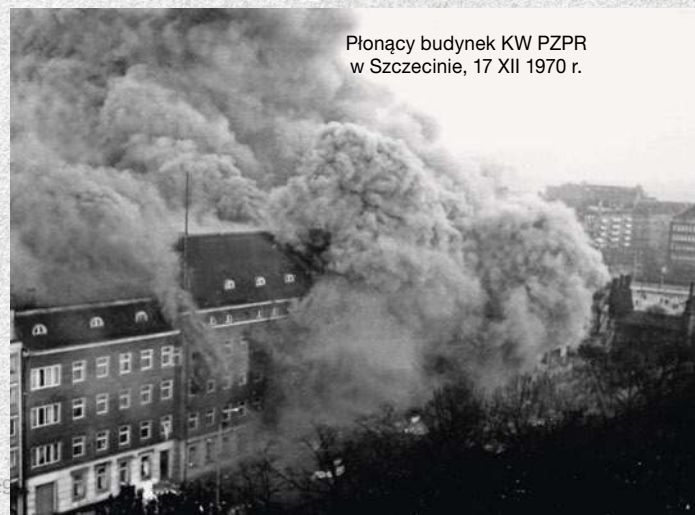
Wszystko to, co zwykło się potocznie nazywać, dość w końcu umownym określeniem: Grudzień 1970, było jednym z najważniejszych i zarazem najtragiczniejszych momentów w historii Polski po II wojnie światowej

Doszło wtedy do gwałtownego, krwawo tłumionego przez milicję i wojsko robotniczego buntu w kilku miastach Wybrzeża (Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie). Przez długie lata najlepiej znany był przebieg wydarzeń w Gdańsku, w którym protest się rozpoczął, oraz w Gdyni, w której były one najkrwawsze. Dopiero w ostatniej dekadzie opisano i poddano podobnej analizie wszystko to, co wydarzyło się wtedy w Szczecinie. A przecież to w tym mieście walki uliczne przybrały najgwałtowniejszy charakter. O ile bowiem wartość strat materialnych w Gdańsku, Gdyni i Elblągu oszacowano łącznie na 105 mln ówczesnych złotych, o tyle w samym Szczecinie sięgnęła ona 300 mln. Zarazem to w stolicy Pomorza Zachodniego protest przybrał najbardziej dojrzały charakter; tam utworzono skupiający w szczytowym momencie ok. 120 zakładów Ogólnomiejski Komitet Strajkowy, który na krótko stał się rzeczywistą lokalną władzą. Również w Szczecinie w 1970 r. podniesiono postulat utworzenia niezależnych związków zawodowych, cokolwiek to wówczas znaczyło.

W grudniu do strajków, manifestacji i starć ulicznych z milicją – na nieporównanie mniejszą skalę – doszło także w kilku miastach (Białymstoku, Krakowie, Słupsku i Wałbrzychu). Dłuższe lub krótsze strajki na terenie zakładów produkcyjnych były też podejmowane w kilku innych miastach. Tej napiętej i zarazem tragicznej sytuacji towarzyszyły podejmowane w tajemnicy przez część działaczy partyjnych i państwowych szczebla centralnego niejawne kroki, które w ciągu kilku dni doprowadziły do zmian w kierownictwie PZPR. Po 14 latach rządów władzę utracił I sekretarz Komitetu Centralnego Władysław Gomułka, którego zastąpił dotychczasowy członek Biura Politycznego i zarazem I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach Edward Gierek.

Bezpośrednią przyczyną strajków i ulicznych demonstracji była wprowadzona 11 dni przed Bożym Narodzeniem drastyczna podwyżka cen, zwłaszcza żywności. Została ona ogłoszona i wprowadzona w życie w czasie, gdy w Polsce i tak tradycyjnie wydawano więcej pieniędzy na przygotowanie świąt. Powszechnie przy tym zdawano sobie sprawę z tego, że podwyżka cen uderzała głównie w rodziny o najniższych dochodach. Trudno się więc dziwić, że została źle przyjęta przez społeczeństwo. Jako jedna z pierwszych pod hasłami ekonomicznymi zastrajkowała rankiem 14 grudnia Stocznia im. Lenina w Gdańsku. Dość szybko jednak (już pierwszego dnia protestu) pojawiły się hasła nie tylko ekonomiczne, lecz również społeczne, polityczne, a nawet antykomunistyczne. W pacyfikacjach na Wybrzeżu – oprócz milicji – uczestniczyło ok. 27 tys. żołnierzy oraz 550 czołgów, 750 transporterów opancerzonych i 2,1 tys. samochodów. Zaangażowano też 108 samolotów i śmigłowców, a także 40 jednostek pływających Marynarki Wojennej. Łącznie z siłami, które zostały postawione w stan gotowości i przemieszczone w wyznaczone rejony, ale nie zostały użyte w akcji, na terenie kraju zaangażowano ok. 61 tys. żołnierzy, 1,7 tys. czołgów, 1750 transporterów opancerzonych i 8,7 tys. samochodów. Pomijając okres stanu wojennego, nigdy w czasach pokoju Wojsko Polskie na taką skalę nie zostało postawione w stan gotowości bojowej i w takim zakresie nie wykorzystywano go do pacyfikacji społeczeństwa. Według oficjalnych danych na Wybrzeżu zginęło łącznie 45 osób, a 1165 zostało rannych.

Mimo że na temat Grudnia '70 opublikowano już ponad 80 książek i broszur, nadal nie znamy odpowiedzi na wszystkie pytania. Najsłabiej rozpoznana jest rola, jaką wówczas odegrali gospodarze Kremla. Jednak bez swobodnego dostępu do poradzieckich materiałów archiwalnych, przechowywanych obecnie w Rosji, na co trudno liczyć w przewidywalnej przyszłości, niełatwo będzie powiedzieć cokolwiek istotnego i nowego w tym zakresie.



Płonący budynek KW PZPR w Szczecinie, 17 XII 1970 r.

FOT. MAREK CZASNOJĆ, ZE ZBIORÓW IPN SZCZECIN

eprasa.pl 236a0e0c9

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Grudzień '70 poza Wybrzeżem

Sebastian Ligarski

Rewolta grudniowa z 1970 r. nie ograniczyła się do Wybrzeża. Początkowo odpowiedzią na ogłoszoną podwyżkę cen były strajki. Miały one różny zasięg i przebieg. W ciągu całego grudnia odnotowano poza Wybrzeżem 33 akcje strajkowe, „w których uczestniczyło około 12 500 osób" – pisano potem w raportach SB

Strajki te początkowo miały na celu wywarcie presji na władzach PRL, aby te odwołały podwyżkę cen i poprawiły codzienny byt protestujących. Skoncentrowały się one praktycznie w trzech miastach: w Białymstoku (osiem), Warszawie i we Wrocławiu (po dziewięć). W wielu liczba uczestniczących w nich osób wynosiła ponad 90 proc. wszystkich pracowników. Aktywiści partyjni najczęściej nie potrafili wytłumaczyć celu podwyżki ani przewidywanych jej skutków. Konieczne były spotkania z przedstawicielami władz powiatowych lub wojewódzkich.

Sytuacja zaostrzyła się po wiadomościach docierających do reszty kraju z Wybrzeża. Do protestów oraz starć z milicją i wojskiem doszło w kilku miastach (m.in. w Elblągu, Słupsku, Białymstoku, Krakowie, Bydgoszczy, Chorzowie i Olsztynie). Pojawiły się również ulotki („Precz z czerwonymi katami Gdańska", „Śmierć mordercom robotników w Gdańsku", „Precz z rządem ucisku. Niech żyją elementy w Gdańsku", „Mordercy w rządzie", „Wolność nie zna ceny – mordercy są w ORMO, UB i MO", „Mordercy precz", „Niech żyje rok 1956", „Dziewczęta!!! Jako przyszłe matki nie pozwólmy na to, aby w okresie pokoju ginęły pod gąsienicami czołgów matki z dziećmi! Aby puszczano psy na ludzi, którzy walczą o swoje prawa. Niech żyje prawdziwa wolność!", „Patrioci powstańmy, bo na Pomorzu rzeź", „Niech żyje antykomunistyczne Wybrzeże!"), a także napisy na murach (np. „MO równa się SS", „Polacy do broni. Solidaryzujmy się z Gdańskiem").

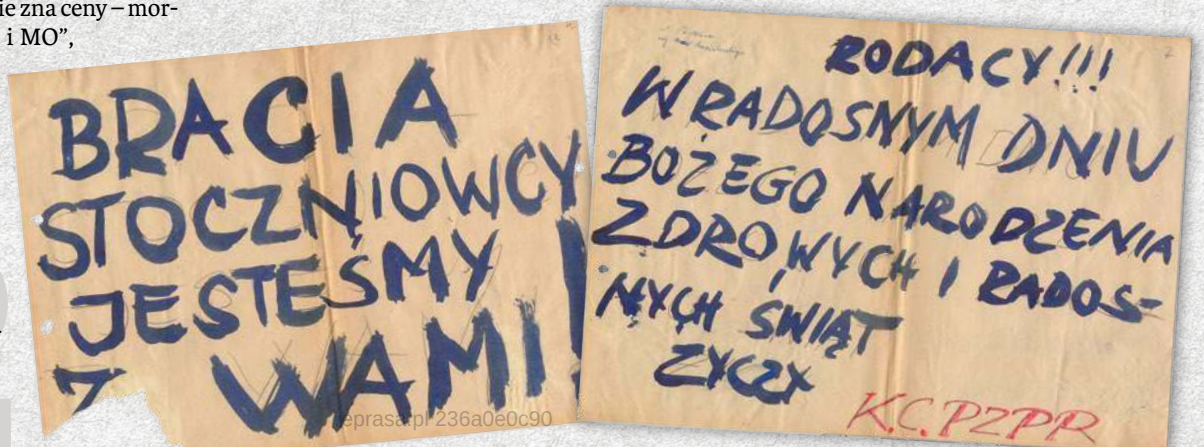
Do największych demonstracji – poza Trójmiastem i Szczecinem – doszło w Krakowie, Elblągu i Słupsku. W stolicy Małopolski 16 grudnia 1970 r. pojawiły się w akademikach ulotki wzywające do udziału w wiecu. „Wieczorem licząca 100 osób grupa młodzieży wznosiła w rejonie rynku okrzyki: »Niech żyje Gdańsk«, »Pomścimy Gdańsk«, »Przyłączcie się do nas«" – raportowali funkcjonariusze SB. Demonstrację zakończono po przybyciu Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. 17 grudnia na rynku zebrało się od 600 do ponad 3 tys. osób, które wznosiły antykomunistyczne okrzyki oraz śpiewały... „Międzynarodówkę". Podczas wielogodzinnej manifestacji usiłowano nawet wznosić barykady. Demonstrację rozproszyły duże siły milicji i wojska. Zatrzymano 102 osoby. W celu uniknięcia kolejnych manifestacji ogłoszono wcześniejsze ferie oraz odcięto prąd i ogrzewanie w akademikach.

Do podobnych protestów doszło w Białymstoku 18 i 19 grudnia 1970 r. Podczas demonstracji siły „porządkowe" oddały strzały w powietrze. „W Olsztynie na dworcu PKP 18 grudnia pasażerowie jednego z pociągów wznosili antykomunistyczne okrzyki, na następnej stacji aresztowano 20 osób. Wieczorem 19 grudnia w Bydgoszczy grupy młodzieży wznosiły antykomunistyczne hasła" – pisano potem w raportach partyjnych.

Na Dolny Śląsk echa buntu na Wybrzeżu dotarły 15 grudnia. Do największych akcji strajkowych w solidarności z Wybrzeżem doszło we Wrocławiu. 17 grudnia w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego pracę przerwało 500 osób, w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego ok. 2 tys. W następnych dniach protestowano również w Aspie (200 osób) i Polarze (120). Do strajków doszło także w Bielawie, Dzierżoniowie, Górze Śląskiej, Świdnicy czy Wałbrzychu, a do demonstracji we Wrocławiu (17 i 18 grudnia). W Wałbrzychu 18 grudnia dwukrotnie młodzież uzbrojona w kije i kamienie starła się z jednostkami ZOMO.

Zmiany na szczytach władzy nie przyniosły uspokojenia sytuacji w kraju. W następnych tygodniach i miesiącach dochodziło do kolejnych strajków, gdyż rządzący nie cofnęli podwyżki cen. Ostatecznie jednak ugięli się pod naciskiem protestujących i 1 marca 1971 r. ją odwołali.

Odręcznie pisane plakaty i ulotki demonstrantów w grudniu 1970 r.



Klęska gdańskiego ZOMO

Radosław Peterman

Władze PRL, decydując o wprowadzeniu w grudniu 1970 r. drastycznych podwyżek cen, zdawały sobie sprawę, że może to spowodować wybuch niezadowolenia społecznego. Dlatego resort spraw wewnętrznych zorganizował specjalną akcję o kryptonimie „Jesień '70" dla – jak to określono – „zapewnienia porządku i bezpieczeństwa publicznego w kraju"

W stan pełnej gotowości postawiono wszystkich funkcjonariuszy resortu. Kierownictwo MSW uznało, że głównym filarem, który ma zapewnić spokój i bezpieczeństwo na ulicach, będą Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej, utworzone po poznańskim Czerwcu 1956, gdy stwierdzono, że wojsko i milicja nie są przygotowane do pacyfikowania dużych protestów ulicznych. Jednostki ZOMO z całego kraju skoszarowano od 12 do 30 grudnia 1970 r.

Obawy komunistycznych władz przed reakcjami społeczeństwa były słuszne. W Gdańsku do pierwszych demonstracji doszło już 14 grudnia i wtedy komendant wojewódzki MO w Gdańsku Roman Kolczyński skierował cały stan osobowy miejscowego ZOMO do rozproszenia demonstracji, a także zatrzymania tłumu zmierzającego w rejon Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Jednak 270 funkcjonariuszy ZOMO, mimo użycia gazów łzawiących, nie zatrzymało protestujących, których było być może nawet 10 tys. Dlatego zostali oni wsparci przez inne formacje milicyjne, w tym 500 słuchaczy słupskiej szkoły MO. Co więcej, ZOMO nie radziło sobie również w następnych dniach.

Z raportów sporządzonych po Grudniu '70 wynika, że w Gdańsku nie miało ono pojazdów z armatkami wodnymi, gazy łzawiące nie spełniały swych zadań, a kaski, okulary ochronne, tarcze i pałki się nie sprawdziły. Nic zatem dziwnego, że władze resortu postanowiły usprawnić działania ZOMO i zmodernizować ich sprzęt. I tak uczyniono. Tak zresztą skutecznie, że chińskie władze po wydarzeniach 4 czerwca 1989 r. na placu Tiananmen w Pekinie zwróciły się do Polski z prośbą o sprzedaż im środków bojowych używanych przez ZOMO.



SZCZECIŃSKIE GRUDNIE 1956 1970 1981 PAMIĘTAMY!

eprasa.pl 236a0e0c90

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Czarny czwartek w Szczecinie oczami władz

Sebastian Ligarski, Grzegorz Majchrzak

Od 14 do 21 grudnia 1970 r. nagrano kilkadziesiąt godzin rozmów prowadzonych w MSW w gabinecie kierownika sztabu akcji „Jesień '70", mającej na celu zapewnienie porządku publicznego w trakcie realizacji podwyżki cen



Walki na ulicach Szczecina, 17 XII 1970 r.

FOT. ZE ZBIORÓW IPN SZCZECIN

Te bezcenne nagrania dokumentują stan wiedzy władz PRL i proces podejmowania decyzji, które zapadały na najwyższych szczeblach władzy. Pokazują też panujący bałagan, chaos kompetencyjny, spory, strach, niemoc, ale i bezwzględność wobec protestujących. Poniżej fragment rozmowy między Zdzisławem Żandarowskim a Stanisławem Kanią dotyczący rewolty 17 grudnia 1970 r. w Szczecinie.

Zdzisław Żandarowski ***(zastępca kierownika Wydziału Organizacyjnego KC PZPR, redaktor naczelny „Życia Partii"):*** Halo?

Stanisław Kania ***(sekretarz KC PZPR nadzorujący m.in. aparat bezpieczeństwa):*** Tak, Zdzisiu. Jak bieżąca sytuacja w Szczecinie?

Z.Ż.: Z jakiego czasu masz ostatnie wieści?

S.K.: No z czasu, jak się zapaliła komenda.

Z.Ż.: Aha. No więc proszę ciebie tak, tam są dwa budynki komendy w Szczecinie. Jeden blisko K[omitetu] W[ojewódzkiego], drugi trochę dalej, ale na tej samej ulicy. Więc ten drugi, tam są takie gospodarcze jednostki. Mówią nam, że już został opuszczony przez ludzi i płonie. Z tym że mieliśmy z tego budynku telefon, trochę wcześniejszy, że jest tam 14 ludzi.

S.K.: Rozumiem.

Z.Ż.: W tym budynku. Szczecin, bo rozmawialiśmy z [niesłyszalne] potem z [Romualdem] Głowackim [zastępcą komendanta wojewódzkiego MO ds. SB w Szczecinie – S.L., G.M.], broni używać nie chcą. Mówią, jak się będą do tego głównego budynku wdzierać, to już wtedy użyją, ale rozmawiałem minut pięć temu z Ruskiem, bo tam i więzienie niedaleko jest, no więc więziennictwo użyło broni, w porozumieniu z nimi, tam z tym sztabem. No bo im się wdzierali do więzienia. No więc skutków, mówią, że chyba są ranni, a czy zabici, to nie umiał powiedzieć. No i że po tym cofnął się ten tłum tam od więzienia. No mamy również wiadomość, że i prokuratura się pali w Szczecinie też. Tak że KW spalone, prokuratura się pali i ten jeden budynek i związki zawodowe. [...] No więc co do tego, proszę ciebie, tak. W Szczecinie to oni tak, środków tych chemicznych im zabrakło, więc oni faktycznie siedzą i patrzą, jak na nich tam rzucają te kamienie, tam jakieś łodzie, takie na tym, bo tam plac jest taki, łodzie, proszę ciebie, tymi łodziami tam w bramy, wiesz, jak to taranem walą, proszę ciebie, i tak dalej. No więc oni już są pod wrażeniem, że niedługo będą musieli tam opuszczać albo strzelać.

S.K.: Wojsko dojechało tam?

Z.Ż.: Więc wojska jest ze 200 sztuk w budynku.

S.K.: Nie, ale chodzi mi o te transportery?

Z.Ż.: No więc to mówię o wojsku. Więc wojska jest tam 200, jak mówią, sztuk w tym. Przyjechało tam ileś transporterów, proszę ciebie, wtedy tłum się odsunął. Transportery przyjechały, tłum się zamknął na nowo. Z tym że mamy takie niepotwierdzone wiadomości, że tam coś spalony jeden chyba już jest ten, transporter, a główne siły, bo to był jakiś mały oddział, główne siły wojska, jak nas tutaj informują, jeszcze tam na ten teren nie dotarły, na teren tam gdzie komenda. No poleciały tam z Poznania helikoptery. Są w tej chwili jakieś 50 minut w drodze. Polecą do Goleniowa, z Goleniowa naładują tych środków i będą z powietrza rzucać tam, bo tam jest olbrzymi tłum, mówią „morze". Jak tu do nas dzwonią, to słychać to wycie, te krzyki, proszę ciebie. Tam szyby powybijane, to wszystko z ulicy leci do mikrofonu i słychać to wszystko. To taki mamy tutaj, proszę ciebie...

eprasa.pl 236a0e0c90

Unikatowe nagranie

Robert Chrzanowski

Zapis dokonany przez Wojciecha Jankowskiego, dziennikarza Ośrodka TVP w Gdańsku, rankiem 17 grudnia stanowi jedno z najcenniejszych źródeł dotyczących Grudnia '70.



Taśma magnetofonowa z 14-minutowym nagraniem zarejestrowanym 17 grudnia w okolicy przystanku Gdynia-Stocznia trafiła w lutym 2017 r. do zasobu Archiwum IPN

W czerwcu 2017 r. Sąd Okręgowy w Gdańsku przekazał do zasobu Oddziałowego Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej akta procesu o sprawstwo kierownicze masakry robotników w grudniu 1970 r., zwanego „procesem Kociołka". Są to niezwykle cenne źródła do badań nad rewoltą grudniową – zawierają zeznania tysięcy świadków wydarzeń, protokoły przesłuchania podejrzanych, dokumentację eksperymentów procesowych. Do akt dołączone są materiały z 1970 r.: protokoły sekcji zwłok ofiar, wykazy zatrzymanych, meldunki MO, notatki prokuratorskie, fotografie.

W jednym z tomów znajduje się relacja Wojciecha Jankowskiego (1927–2010) „7 dni". Ten dziennikarz Ośrodka TVP w Gdańsku w grudniu 1970 r. dokumentował wydarzenia rozgrywające się na ulicach Gdańska i Gdyni. Materiały, które zebrał, zostały wykorzystane 20 lat później w filmie „Grudniowe taśmy". Jego relacja jest niezwykle cenna, gdyż miał możliwość zetknięcia się z obiema stronami – demonstrującymi robotnikami oraz milicjantami i żołnierzami.

17 grudnia rano Jankowski – wraz ze swoim operatorem dźwięku – znalazł się w rejonie wiaduktu przy przystanku Gdynia-Stocznia. Jak wspominał: „Dojeżdżając do placu Konstytucji, usłyszeliśmy pierwsze serie strzałów broni automatycznej, a także nieczytelne z tej odległości dźwięki gigantofonów. Samochód postawiliśmy w bocznej ulicy i wyruszyliśmy w kierunku stoczni. Już na kilkaset metrów od wiaduktu Włodek uruchomił magnetofon. [...] Nadjechała pierwsza karetka pogotowia. Od wiaduktu dzieliło nas około 200 metrów. Przed nami zobaczyliśmy przelatujące kolorowe pociski – jednocześnie usłyszeliśmy strzały. Podbiegliśmy do betonowego płotu. Włodek nadal nagrywał. Było jeszcze za ciemno na zdjęcia. [...] Przyciągnąłem do siebie Włodka. Na wpół stojąc, wyciągał rękę z mikrofonem. [...] Szybko przebiegliśmy przez nasyp – za perony. Dużymi grupami stali tu robotnicy. Większość z nich młodzi. Otoczyli i nas. Wrogi nieprzychylny tłum. Zaczęli gadać jeden przez drugiego. Włodek nagrywał. Ja próbowałem dyskutować. Pogodziła nas następna seria pocisków".

Również w archiwistyce zdarzają się niezwykłe zbiegi okoliczności. Parę miesięcy przed przejęciem akt sądowych w lutym 2017 r. do zasobu Archiwum IPN w Gdańsku trafiła podarowana przez anonimową osobę stara taśma magnetofonowa. Zawiera ona nieco ponad 14 min nagrania, o którym Wojciech Jankowski wspomina w swej relacji. Można na nim usłyszeć nadawane przez gigantofony ogłoszenia o zawieszeniu pracy w stoczni, a także komunikaty o wstrzymaniu ruchu pociągów, w tle rozlegają się strzały, a nawet eksplozje (być może wystrzał z czołgu, o którym wspominają relacje i meldunki), słychać też uderzenia kamieni. Jednak najważniejsze są pełne emocji wypowiedzi robotników komentujących na bieżąco wydarzenia, których stali się uczestnikami. Przebija z nich ogromne wzburzenie (nie szczędzą obelg pod adresem milicji i wojska), pretensje do prasy i telewizji, że nie przekazują prawdy, żal na ciężkie warunki pracy oraz brutalną odpowiedź na pokojowy dotychczas protest robotniczy: „Z Niemcami się bratają, a do nas czołgi wysyłają! – A do Polaków strzelają! – Płakać się chce, jak morderców widzimy! – Prasa tendencyjna jest, tendencyjna jest prasa! – Tak ciężko, krwawo się zapracowaliśmy. Na uzbrojenie dajemy tyle milionów, i to są nasze pieniądze, które my na to ciężko zapracowali! A dzisiaj ta broń jest użyta na nas! Wstyd! Tak robi Polska Ludowa?! – Chleba się weźmie z margaryną i smalcem i ten chłop zasuwa dwanaście godzin, człowieku kochany, za co? Za co, bo nas nie stać, a dziecku to ja kupię bułkę, to mu musi starczyć do dwunastej, aż w przedszkolu obiad dostanie!".

Zapis dokonany przez Jankowskiego rankiem 17 grudnia stanowi jedno z najcenniejszych źródeł dotyczących Grudnia 1970, gdyż ukazuje uczucia i myśli uczestników rewolty robotniczej, które nie zdążyły ulec zatarciu z powodu upływu czasu ani nie zostały zniekształcone w wyniku konfrontacji z innymi relacjami.

FOT. ARCHIWUM IPN

eprasa.pl 236a0e0c90

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Nocne pogrzeby ofiar Grudnia '70

Paweł Miedziński

Pacyfikacja grudniowego buntu na ulicach Szczecina nie skończyła się w momencie użycia broni przez milicję i wojsko. Stosunek władz do ofiar – a dokładniej ofiar i ich rodzin – wymownie obrazuje kwestia pogrzebów osób zabitych w tamtych dniach



Pogrzeb jednej z ofiar

FOT. ZE ZBIORÓW IPN

17 grudnia 1970 r. Zbigniew Semczyszyn miał iść z matką na zakupy, ale niecodzienne wydarzenia, które działy się kilka ulic dalej, niezwykle pociągały 23-latka. Chciał zobaczyć, jak pali się „dom partii". Nie wrócił na noc. Rano matka zaczęła go szukać. Najpierw w jego pracy, potem wśród znajomych. 22 grudnia udała się na III Komisariat Milicji Obywatelskiej, aby zgłosić zaginięcie syna. Poproszono ją o zdjęcie, rysopis i opisanie, w co był ubrany. Obiecano, że milicja będzie szukać jej syna, mimo że kobieta zapytała wprost, czy nie wiedzą, czy żyje, czy też został zabity. Następnego dnia jedna z jej koleżanek, której mąż był funkcjonariuszem, poleciła jej, aby pojechała do Komendy Wojewódzkiej MO. Udała się tam wraz z mężem oraz jedną z córek. Tam byli zbywani. Dopiero gdy jej mąż zaczął wymyślać milicjantom od zbrodniarzy, przyniesiono albumy z fotografiami zwłok. W pierwszym z nich na drugiej stronie rozpoznali na zdjęciu Zbigniewa. Gdy minął pierwszy szok, rodzina zapytała o ciało, aby móc przygotować pogrzeb. Oficer napisał na kartce kontakt do pracownika cmentarza i powiedział, że tam się wszystkiego dowiedzą. Sądzili, że znajdą ciało w kostnicy. Poinformowano ich jednak, że zwłoki syna pochowano nocą z 22 na 23 grudnia.

Wskazano też miejsce, gdzie znajdował się grób. Grabarz okazał się dawnym znajomym rodziny. Zapewnił, że w grobie naprawdę leży ich syn. Matce te wyjaśnienia nie dawały spokoju. Zdecydowali się ekshumować ciało. Nielegalnie. W tajemnicy. W styczniu 1971 r. nocą koledzy zabitego po kryjomu odkopali trumnę. Otworzono wieko. Tego widoku matka nie była w stanie wytrzymać. Odciągnięto ją od wydobytej trumny. Identyfikacji podjęła się siostra zabitego. W jednej ręce trzymała fotografię brata, w drugiej rękawiczkę. Kiedy spojrzała na twarz ofiary, również wpadła w histerię. Aby zagłuszyć płacz, włożono jej tę rękawiczkę w usta. Potem zakopano trumnę, a każdy w odstępach czasowych skrycie opuścił cmentarz w innym kierunku. Nad ranem w mieszkaniu pojawili się funkcjonariusze. Powiedzieli, że nocą grób został rozkopany. Matka zabitego przyznała, że to zrobiła. Została wezwana na komendę. Nie stawiła się. Później jeszcze kilkukrotnie u Semczyszynów pojawiali się śledczy. Żądali nazwisk osób pomagających w ekshumacji. Nie otrzymali ich.

Nocne pogrzeby były organizowane przez Służbę Bezpieczeństwa. Jak to określono: „Jeździli nocą do wytypowanych rodzin, składając kondolencje i proponując udział w pogrzebie". Rodziny, które akurat były w domu, przywożono na cmentarz. Tam, w świetle reflektorów samochodów ciężarowych, w otoczeniu milicjantów z długą bronią, grabarze chowali w uprzednio przyszykowanych grobach kolejne ciała. Dochodziło do pomyłek, otwierano kolejne trumny, aby odnaleźć właściwą osobę. Nie wszystkie ciała były ubrane. W ostatniej drodze brał udział starszy wiekiem ksiądz. Wbrew późniejszym mitom nie był to przebrany funkcjonariusz, ale kapłan z kościoła garnizonowego. Ostatni pogrzeb zakończył się ok. piątej rano. W ramach zacierania śladów na grobach ofiar Grudnia '70 umieszczano tabliczki z fałszywą datą śmierci.

Wszystkie te działania odniosły jednak skutek odwrotny do zamierzonego. W powszechnej opinii liczba ofiar grudniowej rewolty sięgała setek, a może tysięcy zabitych. 18 stycznia 1971 r. Prokuratura Wojewódzka opublikowała komunikat z oficjalną listą ofiar z podaniem adresów zamieszkania, co miało ją uwiarygadniać. I choć paradoksalnie jego treść była prawdziwa, to niczego nie zmieniło. Napisano w nim również, że „pogrzeb odbył się na koszt Skarbu Państwa z udziałem rodzin osób zmarłych", a „rodziny zmarłych otoczone zostały wszechstronną opieką i pomocą materialną władz państwowych".

eprasa.pl 236a0e0c90

Wolny świat wobec Grudnia '70

Tytus Jaskułowski

Opis międzynarodowego odbioru wydarzeń Grudnia '70 odnosi się do odpowiedzi na trzy pytania: skąd, głównie w Europie Zachodniej, czerpano informacje, co wiedziano, a także jaki wpływ miała uzyskana wiedza na decyzje polityczne



Znajomość faktografii była skromna. Nie mogło być inaczej z uwagi na blokadę informacyjną Wybrzeża, ograniczoną liczbę zachodnich konsulatów, np. w Szczecinie, tudzież brak kontaktu z nimi. Obok powielania oficjalnych komunikatów, np. Radia Wolna Europa, prasy z państw socjalistycznych, starano się – przy pomocy pracowników służb specjalnych NATO – przepytywać marynarzy ze statków cumujących w portach Wybrzeża albo indagować osoby wyjeżdżające z PRL. To samo robiono w środowiskach polskich emigrantów. Niemniej jednak nawet takie instytucje jak Departament Obrony USA przyznawały się do braku zweryfikowanych informacji o przebiegu wydarzeń.

Formalnie uznawano, że do rozpoczęcia protestów doszło 14 grudnia. Głównym instrumentarium sił bezpieczeństwa pacyfikujących demonstracje miały być... armatki wodne. Szczecin w doniesieniach sygnalizowany był dopiero dzień później. Potrafiono jednakże w jego kontekście używać takich słów jak „powstańcy", co dość radykalnie zmieniało optykę relacjonowanych zdarzeń. Tego typu zwrot jednak nie dziwił, gdy pamięta się o tym, że nawet zagraniczne rezydentury MSW czerpały z radia wiedzę o sytuacji w Polsce, a przepytywani marynarze nie zawsze mieli szansę opuszczenia terenów portowych Trójmiasta. Bez komentarza warto pozostawić także tezę z francuskich źródeł o rzekomym dobrowolnym odejściu Władysława Gomułki. Bardzo szybko uznano jednak, że władze kontrolują sytuację, niezależnie od gwałtowności starć.

Informacje gromadzone w trakcie przesilenia to nic innego jak zbiór plotek. Raportowano o demonstracjach gospodyń domowych w Szczecinie, ciężkich walkach w Sopocie. W dokumentach dyplomatycznych pojawia się przekonanie o celowym użyciu broni przez władze i ekonomicznym charakterze protestów. Wywołały go podwyżki, zaopatrzenie – określone mianem „najgorszego od czasów stalinizmu", ale też, zdaniem amerykańskich dyplomatów, obniżki płac, wzrost przewidywanych norm pracy (np. w stoczniach szczecińskich) czy nowe niekorzystne umowy handlowe z ZSRR. Istotne było również to, że mieszkańcy Wybrzeża mieli łatwiejszy kontakt z cudzoziemcami aniżeli Polacy w innych rejonach kraju. Mogło to ułatwić wybuch protestów, ale zarazem ograniczyć ich zasięg.

Kwestię sensu podwyżek oraz pytanie o świadomość władz co do ewentualnej gwałtownej reakcji na nie tłumaczono tym, że gdyby ich nie ogłoszono w grudniu, to ich późniejsze wprowadzenie spowodowałoby jeszcze większe turbulencje. Równie istotny miał być konflikt o władzę pomiędzy Edwardem Gierkiem, Mieczysławem Moczarem a Gomułką.

Pomimo ofiar śmiertelnych – szacowanych przez źródła brytyjskie nawet na 300 osób – Grudzień '70 nie zmienił zbytnio wstrzemięźliwej reakcji państw NATO na sytuację w Polsce. Dowodem tego było np. incydentalne miejsce PRL chociażby w informacjach dziennych CIA dla prezydenta USA z grudnia 1970 r. Przed wybuchem protestów Polska i RFN zawarły traktat normalizacyjny. Oba główne bloki militarne ówczesnego świata – NATO i Układ Warszawski – wchodziły w fazę odprężenia kontaktów. Dla Zachodu ważny był nie tyle robotniczy zryw, ile stabilność nowych władz PZPR (pod kierownictwem Gierka) i ich konsekwencja w realizacji procesu odprężenia. Tezy te uzupełniały dane wywiadowcze. I tak w trakcie przesilenia grudniowego Pentagon nie informował o zauważeniu zmian w dyslokacji jednostek Armii Radzieckiej, co przesądzało o ograniczeniu reakcji dyplomatycznych. Nie oczekiwano liberalizacji systemu politycznego PRL ani tym bardziej wyjaśnienia rzeczywistego przebiegu zajść przez władze. Ważne było to, że uznawano Edwarda Gierka za pragmatyka, z którym będzie można się porozumieć. Romantyzm protestu po raz kolejny przegrał zatem z twardymi realiami polityki światowej.

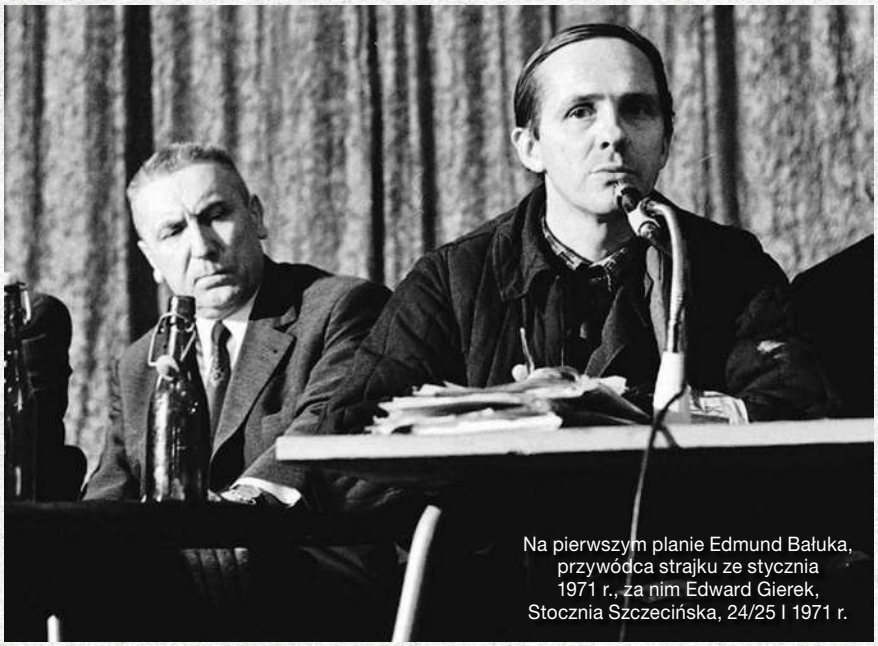
eprasa.pl 236a0e0c90

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Pogrudniowe protesty

Grzegorz Majchrzak

Po Grudniu '70 doszło do kolejnej dużej fali protestów, zresztą większej niż w ostatnim miesiącu 1970 r.



FOT. MACIEJ JASIECKI, ZE ZBIORÓW IPN

Na pierwszym planie Edmund Bałuka, przywódca strajku ze stycznia 1971 r., za nim Edward Gierek, Stocznia Szczecińska, 24/25 I 1971 r.

W styczniu 1971 r. „przerwy w pracy" – jak określały władze PRL strajki – odbywały się w 60 zakładach pracy, miesiąc później już w 101, w marcu w 44, w kwietniu 16 i w maju w 9. Te dane są zresztą niepełne, zaniżone. Wzięło w nich udział – wedle szacunków Służby Bezpieczeństwa – 127 184 osoby z grona 562 158 ogółem zatrudnionych w objętych protestami zakładach. Geografia tych protestów zmieniała się. W styczniu najwięcej przedsiębiorstw przerwało pracę w woj. gdańskim (według szacunków SB –12), bydgoskim (9) i szczecińskim (8), w lutym strajkowało głównie miasto Łódź (38) oraz woj. łódzkie (19), a także woj. warszawskie (10), a w marcu ponownie łódzkie (7) i Łódź (6) oraz woj. koszalińskie (5). Fala strajkowa opadła wyraźnie w kwietniu i maju 1971 r. W tym pierwszym miesiącu strajkowało w całym kraju 16 zakładów (z czego prawie co trzeci – 5 – w woj. zielonogórskim), a drugim już tylko 9 – w tym 3 w woj. poznańskim.

Strajki te były bacznie obserwowane przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa – czego efektem były raporty bieżące, ogólne zestawienia oraz szczegółowe analizy. To łącznie kilka tysięcy stron z informacjami o przyczynach protestów, z danymi (w tym biograficznymi) ich przywódców czy osób najbardziej w ich trakcie aktywnych, zgłaszane postulaty i sposób ich załatwienia, a także informacje o represjach. Funkcjonariusze SB „ustalili" 782 inspiratorów protestów z pierwszego półrocza 1971 r., spośród których 157 (czyli ponad 20 proc.) było członkami PZPR. W MSW oszacowano również liczbę utraconych w wyniku protestów roboczogodzin (2 256 226) oraz spowodowane nimi straty finansowe (187 211 873 zł).

Jeśli chodzi o postulaty, to w styczniu 1971 r. do najważniejszych – szczególnie w przypadku Gdańska, Elbląga czy Szczecina – należały: zrealizowanie postulatów z grudnia 1970 r., wyciągnięcie wniosków personalnych wobec winnych Grudnia '70 czy żądanie ogłoszenia listy zabitych. Chyba jednak najczęstszymi były podniesienie płac oraz cofnięcie podwyżek z grudnia 1970 r. Z kolei powodami strajków łódzkich – według Służby Bezpieczeństwa – były: grudniowa podwyżka cen, „zmiany norm roboczych, przy jednoczesnym braku wzrostów zarobków", czyli realna obniżka zarobków na początku 1971 r. w stosunku do tych z końca 1970 r., „liczne niedociągnięcia administracyjne" w zakresie spraw socjalnych, „niedowład adm[inistracyjno]-organizacyjny" kierownictw zakładów pracy „w rozwiązywaniu palących potrzeb załóg robotniczych", „przewlekłe" nieprzestrzeganie przez dyrekcje przepisów BHP, a także „solidaryzowanie się z innymi zakładami". Ewidentnie zatem te protesty miały podłoże ekonomiczne i socjalne.

W woj. łódzkim strajkował co trzeci zatrudniony, a w samej Łodzi już niemal co drugi. Władze PRL były więc zmuszone podjąć z nimi rozmowy, a także wycofać się z grudniowych podwyżek. Postanowiły również doinwestować to zaniedbane miasto, a na inwestycje przemysłowe i komunalne w Łodzi w latach 1971–1975 zamierzano przeznaczyć blisko 36 mld zł.

Jednak protesty z początku 1971 r. to nie tylko strajki, lecz również ulotki, anonimowe wiersze, „wrogie napisy". Rzadziej dochodziło do manifestacji ulicznych, choć np. 15 lutego w Łodzi miały miejsce starcia, kiedy grupa kilkuset (od 700 do 1 tys. osób) zgromadziła się pod Zakładami Przemysłu Bawełnianego im. Marchlewskiego, zaczęła zatrzymywać pojazdy i blokować pobliskie ulice. Funkcjonariusze MO zatrzymali 30 osób. W tym przypadku iskrą była pogłoska o przymiarkach władz do wyłączenia ogrzewania. Z kolei kilkanaście tygodni później (1 maja) w Gdańsku i Szczecinie doszło do oddania hołdu ofiarom Grudnia '70 podczas oficjalnych pochodów pierwszomajowych, i to przed trybuną honorową.

Strony powstały we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej | 22/0920/F

eprasa.pl 236a0e0c90



GRZEGORZ GÓRNY



Powrót polskości

Po II wojnie światowej Polacy wbrew swej woli znaleźli się w sowieckiej strefie wpływów. Decyzją zwycięskich mocarstw ich państwo radykalnie zmieniło swoje granice, przesuwając się ze wschodu na zachód. W efekcie niemal połowa terytorium kraju składała się z ziem, które przed 1939 r. należały do Niemiec. Były to co prawda tereny, które niegdyś wchodziły w skład Polski, ale zostały od niej oderwane przed wiekami i pozostawały poza nią długo, np. Olsztyn 173 lata, Wrocław 610 lat, Szczecin zaś 760 lat. Ostatnie z tych miast w ciągu swej ponadtysiącletniej historii zaledwie przez stulecie uznawało zwierzchność Polski.

Po 1945 r. Ziemie Zachodnie i Północne, zwane Odzyskanymi, zasiedlone zostały przez polskich przybyszów z Kresów Wschodnich, których majątki pozostały z kolei na terenach wcielonych w skład ZSRS. W nowym otoczeniu czuli się obco i tymczasowo. Poczucie prowizorium potęgowało to, że nie podpisano traktatu kończącego II wojnę światową, powstała w 1949 r. RFN nie uznawała zaś zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie. W każdej chwili spodziewano się też wybuchu III wojny światowej, która znów mogła zmienić przebieg granic i doprowadzić do nowych przesiedleń. Z tego powodu wielu kresowiaków osiedlało się w pobliżu dworców i stacji kolejowych, by być gotowymi na szybkie opuszczenie tych miejsc.

Polska stała się ofiarą geopolitycznej rozgrywki Moskwy, która jawiła się jedynym gwarantem zachodnich granic Polski. W sytuacji, gdy większość Polaków nie aprobowała komunizmu, to właśnie obrona integralności terytorialnej państwa miała się stać czynnikiem, który rzuci ich w objęcia Sowietów. Komuniści, wykorzystując rzeczywisty strach przed Germanami, rozniecali nastroje antyniemieckie, potęgując atmosferę zagrożenia. To z kolei utrudniało możliwość pojednania z Niemcami, tym bardziej że RFN odmawiała uznania zachodnich granic PRL.

W tej sytuacji uwidoczniła się niezwykła rola Kościoła, który nie tylko bronił integralności terytorialnej kraju i stawiał opór komunistycznej ideologii, lecz także w największym stopniu przyczynił się do wyrwania napływowej ludności z izolacji i poczucia tymczasowości, do zintegrowania tej zróżnicowanej i zatomizowanej społeczności oraz do obudzenia w niej przywiązania do nowych ziem. Jak pisał prof. Jan Żaryn: „Biskupi polscy po wojnie musieli przede wszystkim zająć się odbudową życia katolickiego w kraju zniszczonym i zdziesiątkowanym; brakowało kapłanów, świątyń. Należało natychmiast zorganizować życie parafialne na Ziemiach Zachodnich i Północnych, gdyż bez polskiego kapłana tamtejsza ludność polska nie chciała się instalować na stałe. Kościół katolicki polonizował, a nie komunizował tamte ziemie, choć ewidentnie stawał się beneficjentem – wraz z całym Kościołem Powszechnym – wejścia administracji państwa polskiego na tamte tereny, niegdyś w większości protestanckie. Jednakże głównym powodem polonizacji tamtych ziem była konieczność niesienia pomocy duszpasterskiej rozbitej ludności Kresowej, oderwanej od Macierzy i złączonej ze sobą jedynie za sprawą Kościoła i wiary katolickiej”.

PRYMAS STEFAN WYSZYŃSKI W SWEJ WROCŁAWSKIEJ HOMILII Z 1965 r. MÓWIŁ O ŚWIĄTYNIACH NA OSTROWIE TUMSKIM: „TO SĄ ŚWIADKOWIE NASZEJ PRASTAREJ TU OBECNOŚCI”

Kościół integrował Polaków z Ziemiami Odzyskanymi, przypominając im dawną przeszłość tych terenów, jak prymas Stefan Wyszyński w swej wrocławskiej homilii z 1965 r.: „Spójrzcie wokół siebie! Spójrzcie na wspaniałe świątynie, które nas otaczają na Ostrowie Tumskim. To są świadkowie naszej prastarej tu obecności. Całe dzisiejsze śródmieście Wrocławia – jego chluba – powstało za czasów polskich. [...] Byliśmy tutaj! I znowu jesteśmy! Wróciliśmy w dom ojczysty, rozpoznaliśmy ocalałe znaki, rozumiemy je. Rozumiemy tę mowę! To nasza mowa! Kamienie wołają do nas ze ścian! Patrząc na świątynie piastowskie, wczuwając się w ich wymowę, wiemy: na pewno nie jest to »dobro poniemieckie«, to jest dusza polska!”.

Podstawą integracji stało się jednak stworzenie nowej administracji kościelnej. Polacy bowiem wiedzieli, że tam, gdzie jest kościół, tam jest ich dom.

FOT. EMERYK III/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl 236a0e0c90

Listopad



MICHAŁ KOMUDA

1 XI 1705

W trakcie wojny północnej król August II Mocny ustanowił Order Orła Białego. Obecnie jest to najstarsze i najwyższe odznaczenie nadawane za zasługi dla Rzeczypospolitej Polskiej.



3 XI 1920

Sto lat temu urodził się batorak, jeden z najwybitniejszych uczestników Małego Sabotażu i członek warszawskich Grup Szturmowych, Maciej Aleksy Dawidowski. W trakcie akcji pod Arsenałem 26 marca 1943 r. otrzymał ranę postrzałową w brzuch, na skutek której cztery dni później zmarł.

4 XI 1915

Na terenie obecnej Słowacji przyszedł na świat czechosłowacki pilot Imrich Gablech. W 1939 r. uprowadzonym przez siebie samolotem przedostał się do Polski, a następnie wziął udział w kampanii wrześniowej po polskiej stronie.



11 XI 1940

W Wielkiej Brytanii znajdujące się na uchodźstwie rządy Polski i Czechosłowacji podpisały deklarację, w myśl której – odcinając się od wzajemnych konfliktów z okresu przedwojennego – zapowiadały ścisłą współpracę.

15 XI 1620

Czterysta lat temu chory umysłowo szlachcic Michał Piekarski dokonał bezprecedensowego w historii Polski ataku na króla Zygmunta III Wazę. Raniony władca został uratowany dzięki szybkiej i odważnej reakcji swojego syna, królewicza Władysława.



25 XI 1795

W Grodnie odbyła się abdykacja ostatniego króla Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Akt ten dokonał się miesiąc po III rozbiorze, w dniu imienin carycy Katarzyny II.

30 XI 1960

W Waszyngtonie na emigracji zmarł dowódca powstania warszawskiego, gen. Antoni Chruściel „Monter". Komunistyczne władze nie tylko pozbawiły go obywatelstwa polskiego, lecz również nigdy nie zezwoliły na powrót do kraju.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA X2, ARCH USTR. NAC. ARCHIWUM

eprasa.pl 236a0e0c90



5 XI 1940

W szkockim porcie Greenock dokonano podniesienia polskiej bandery na niszczycielu ORP „Piorun". Tak rozpoczęła się historia okrętu, który wyśledził i doprowadził do zatopienia dumy Kriegsmarine, pływającej twierdzy, pancernika „Bismarck".

Pół roku po zatopieniu przez Niemców u brzegów Norwegii niszczyciela ORP „Grom", Royal Navy, w myśl zawartego między sojusznikami porozumienia, przekazała polskiej Marynarce Wojennej nowo zbudowaną jednostkę HMS „Nerissa". Pierwszym dowódcą okrętu, przemianowanego na ORP „Piorun", został były podwodniak, kmdr por. Eugeniusz Pławski. Pomimo skierowania na trzymiesięczne przeszkolenie okręt już na początku grudnia 1940 r. otrzymał rozkaz wykonania pierwszej misji. To zawrotne tempo działania polska jednostka utrzymała do końca wojny. Jak wspominał dowódca niszczyciela, 26 maja 1941 r., mimo sztormowej pogody i nocnych ciemności „»Piorun« był [...] pierwszy, który w ostatniej fazie tego słynnego pościgu za »Bismarckiem«, odnalazł go i nawiązał z nim kontakt bojowy. Pierwszy go dojrzał i pierwszy wymienił z nim salwy. Dysproporcja sił obydwu okrętów była ogromna. Z jednej strony polski niszczyciel, z drugiej pancerny kolos, chluba i duma marynarki niemieckiej. [...] Zaczął się nierówny pojedynek, w którym »Piorun« mógł liczyć jedynie na swoją zwrotność i zasłony dymowe. Potężny »Bismarck« przez całą godzinę okładał »Pioruna« pociskami artylerii średniej i najcięższej. Pociski »Pioruna« nie mogły uszkodzić »Bismarcka« [...]". Dzięki tej zuchwałej postawie Polaków brytyjskie siły zyskały czas na osaczenie giganta i ostatecznie jego zatopienie. Pięć miesięcy później „Piorun", jako pierwszy polski niszczyciel, przeszedł wraz z ORP „Garland" przez Ocean Atlantycki do wybrzeży Ameryki. Oprócz Atlantyku operował na Morzu Północnym i Śródziemnym. W trakcie tych działań wielokrotnie eskortował alianckie konwoje, wykonywał patrole oraz ostrzeliwał pozycje wrogiej artylerii nadbrzeżnej. W 1943 r. osłaniał działania desantowe na Sycylii i we Włoszech, a rok później w Normandii. Bezpośrednio po tej ostatniej operacji, u wybrzeży Francji wziął udział w dwóch zwycięskich bitwach morskich, pod Ushant oraz pod Jersey. Wcześniej w kwietniu i maju 1944 r. kilkukrotnie uczestniczył w działaniach mających na celu wyeliminowanie największego niemieckiego pancernika „Tirpitz". Natomiast 13 sierpnia torpeda wystrzelona przez ORP „Piorun" posłała na dno niemiecki okręt „Sperrbrecher 7". Łącznie w trakcie II wojny światowej przepłynął niemal 220 tys. mil morskich, co dawało mu pierwsze miejsce wśród wszystkich polskich okrętów. Po prawie sześciu latach ofiarnej służby 28 września 1946 r. jednostka została zwrócona Royal Navy, przyjmując nazwę HMS „Noble".

14 XI 1920

Sto lat temu na pl. Zamkowym w Warszawie rozległ się uroczysty huk salw armatnich. Przy ich akompaniamencie Naczelnik Państwa Józef Piłsudski jako pierwszy w historii odebrał polską buławę marszałkowską.

Osiem miesięcy wcześniej, 19 marca, w dniu swoich imienin Naczelny Wódz zaaprobował przedłożoną mu przez przedstawicieli Ogólnej Komisji Weryfikacyjnej prośbę przyjęcia nominacji na Pierwszego Marszałka Polski. W kolejnych miesiącach zorganizowano konkurs, którego na drodze wyłoniono zwycięski projekt srebrno-złotej buławy. Jego autorem był profesor działu złotnictwa i grafiki Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie Mieczysław Kotarbiński. Ceremonia wręczenia tego atrybutu stopnia marszałka odbyła się już po zawarciu rozejmu z bolszewikami, w trakcie obchodów pierwszego Święta Niepodległości. Na potrzeby uroczystości udekorowano ulice, a wzdłuż trasy z Belwederu na pl. Zamkowy stanął szpaler żołnierzy. Ceremonię rozpoczęło nabożeństwo celebrowane przez biskupa polowego Wojska Polskiego Stanisława Galla. Kard. Aleksander Kakowski dokonał poświęcenia buławy, a najstarszy generał WP Karol Trzaska-Durski wygłosił mowę laudacyjną. Samego wręczenia buławy dokonał najmłodszy kawaler Virtuti Militari, po czym Marszałek przyjął na Krakowskim Przedmieściu defiladę wojskową. II Rzeczpospolita jeszcze dwukrotnie była świadkiem nominacji na stopień marszałka Polski. 13 kwietnia 1923 r. otrzymał ją za zasługi Ferdynand Foch, a 10 listopada 1936 r. buławę wręczono Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu.



eprasa.pl 236a0e0c90

Grudzień

2 XII 1805

Napoleon Bonaparte pomimo dowodzenia skromniejszymi siłami zdołał zupełnie rozbić połączone wojska austriacko-rosyjskie pod Austerlitz. To jedno z najbardziej błyskotliwych zwycięstw w historii położyło kres istnieniu III koalicji antyfrancuskiej.



8 XII 1920

Sto lat temu dokonano uroczystego otwarcia Szkoły Morskiej w Tczewie, której kontynuatorem jest Uniwersytet Morski w Gdyni.

10 XII 1850

W syryjskim Aleppo, do którego trafił po upadku powstania węgierskiego, zmarł kawaler Złotego Krzyża Orderu Virtuti Militari, Krzyża Kawalerskiego Legii Honorowej oraz Krzyża Wielkiego Orderu św. Stefana, gen. Józef Bem. Pomniki upamiętniające jego osobę stoją w Polsce, na Węgrzech oraz na terenach dzisiejszej Rumunii.



14 XII 1990

Podjęto decyzję o wydzieleniu do udziału w operacji „Pustynna burza" dwóch, zmodernizowanych w tym celu, polskich okrętów ORP „Wodnik" i ORP „Piast". Ta symboliczna obecność u boku antyirackiej koalicji była jednym z przejawów wychodzenia Polski z Układu Warszawskiego i aspiracji związanych ze strukturami NATO.

16 XII 1980

W 10. rocznicę Grudnia '70, mimo przeszkód ze strony komunistycznego reżimu, przed Bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej odsłonięto pomnik Poległych Stoczniowców 1970. Budowa monumentu była możliwa dzięki współdziałaniu kilkunastu zakładów i instytucji.



23 XII 1750

W Dreźnie przyszedł na świat wnuk Augusta III Sasa oraz praprawnuk Jana III Sobieskiego, Fryderyk August I. W trakcie swojego panowania władał nie tylko dziedziczną Saksonią, lecz podczas wojen napoleońskich był księciem warszawskim i niedoszłym królem Polski.

27 XII 1355

Książę mazowiecki Siemowit III złożył hołd lenny królowi Kazimierzowi Wielkiemu. Ta zależność wygasła wraz z bezpotomną śmiercią polskiego monarchy.

29 XII 1820

Dwieście lat temu w Radomiu urodził się międzynarodowej sławy lekarz, przyrodnik, wielki miłośnik i popularyzator Tatr, Podhala oraz Zakopanego, dr Tytus Chałubiński.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA X3, NAC. IPN

eprasa.pl 236a0e0c90



7 XII 1550

Na Wawelu odbyła się z wielkim przepychem koronacja ukochanej żony Zygmunta Augusta, Barbary Radziwiłłówny. Ceremonia była uwieńczeniem kilkuletnich zmagań monarchy ze wszystkimi siłami politycznymi, które nie chciały uznać królewskiej wybranki.

Gdy pod koniec 1543 r. młody król poznał Radziwiłłównę, była wdową po wojewodzie trockim. Współcześni pisali o niej, że jest „piękna na schwał niby Helena". Monarcha, który kilka miesięcy wcześniej poślubił Elżbietę Habsburżankę, szybko uległ wdziękom Barbary, wdając się w potajemny romans. Związek był jednak tak płomienny, że zaczęto o nim szeptać, a sekretarz królewskiej matki, Bony, Stanisław Górski z niepokojem pisał: „oddał się całkowicie wielkiej nierządnicy litewskiej [...]". Ostatecznie po przedwczesnej śmierci żony Zygmunt August zdecydował się w 1547 r. na skryte zawarcie ślubu z kochanką. Barbara nie tylko nie pochodziła z dynastycznego rodu, lecz była również poddaną króla. Nie zważając na mezalians, władca ujawnił wiadomość o zawartym ślubie, co spotkało się z wrogą postawą jego ojca Zygmunta Starego, możnowładztwa, szlachty, ale przede wszystkim matki. W Koronie oraz na Litwie zawrzało. Barbara stała się obiektem niezliczonych ataków i paszkwili, a młody król wszechobecnej krytyki. Ostatecznie po trzech latach zmagań, ryzykowania utratą korony i budowania własnego obozu Zygmunt August nie tylko zdołał oddalić wezwania do unieważnienia ślubu, lecz również doprowadził do koronacji żony. Nałożenie korony na skronie Barbary było wielkim sukcesem monarchy. Radość jednak nie trwała długo. Wyniszczana od dłuższego czasu przez chorobę królowa zmarła zaledwie pięć miesięcy później.



17 XII 1970

Pięćdziesiąt lat temu ulicami Gdyni przeszedł pochód mieszkańców niosących na drzwiach ciało Zbigniewa Godlewskiego. Był jedną z 18 osób zamordowanych tego dnia przez komunistyczne wojsko.

Trzy dni wcześniej w gdańskiej stoczni rozpoczął się strajk, który następnie rozprzestrzenił się na kolejne zakłady na Wybrzeżu, w tym został poparty przez stoczniowców z Gdyni. Dążąc do zatrzymania protestu, wicepremier rządu PRL Stanisław Kociołek z zaangażowaniem wzywał robotników 16 grudnia za pośrednictwem radia i telewizji: „odpowiedź na pytanie, co uczynić, jest tylko jedna. Powrócić do normalnej pracy. Od jutra. Od zaraz". Mimo to następnego dnia przed szóstą rano wojsko otworzyło ogień z broni maszynowej do pracowników chcących wejść do odgrodzonej kordonem gdyńskiej stoczni. Padli zabici, a wśród nich zaledwie 18-letni Godlewski, który niedawno rozpoczął pracę przy przeładunku statków. Jego ciało zostało położone na drzwiach i przeniesione wraz z zakrwawionym sztandarem na czele pochodu, głównymi ulicami Gdyni pod gmach Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Uczestnicy marszu jeszcze kilkukrotnie byli ostrzeliwani i rozpędzani przez interweniujące oddziały. Rodzice Godlewskiego zostali poinformowani o jego śmierci dzień później. Wiadomość otrzymali od przyjaciela Zbigniewa. Nie pozwolono im jednak obejrzeć ciała ani nawet godnie pożegnać syna, ponieważ miejsce i godzina pochówku zostały wymuszone przez Urząd Wojewódzki w Gdańsku. W ten sposób „przygotowany pogrzeb" został przeprowadzony w asyście kordonu milicji 20 grudnia w nocy. Rodzice Godlewskiego dożyli ogłoszenia wyroku w trwającym prawie 20 lat procesie osób odpowiedzialnych za jego i innych robotników śmierć. W 2013 i 2014 r. sąd uniewinnił wicepremiera Kociołka, a dowódcy oddziałów, które strzelały do strajkujących, otrzymali jedynie kary w zawieszeniu. Tylko 17 grudnia 1970 r., nazwanego „czarnym czwartkiem", na gdyńskich ulicach oprócz Godlewskiego zostali zamordowani: Brunon Drywa, Apolinary Formela, Zygmunt Gliniecki, Jan Kałużny, Jerzy Kuchcik, Stanisław Lewandowski, Zbigniew Nastały, Józef Pawłowski, Ludwik Piernicki, Jan Polechoński, Zygmunt Polito, Stanisław Sieradzan, Jerzy Skonieczka, Marian Wójcik, Zbigniew Wycichowski, Waldemar Zajczonko oraz Janusz Żebrowski. W większości byli to młodzi ludzie w wieku od 15 do 20 lat. Masakra w Gdyni była najkrwawszym aktem Grudnia '70, który łącznie pochłonął aż 45 ofiar śmiertelnych, a ponad 1,1 tys. osób zostało rannych. Tragiczna historia Zbyszka Godlewskiego jako symbolu wszystkich poległych została uwieczniona przez Krzysztofa Dowgiałłę w pieśni „Ballada o Janku Wiśniewskim" oraz w filmie Antoniego Krauzego „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł".

Opracował Michał Komuda

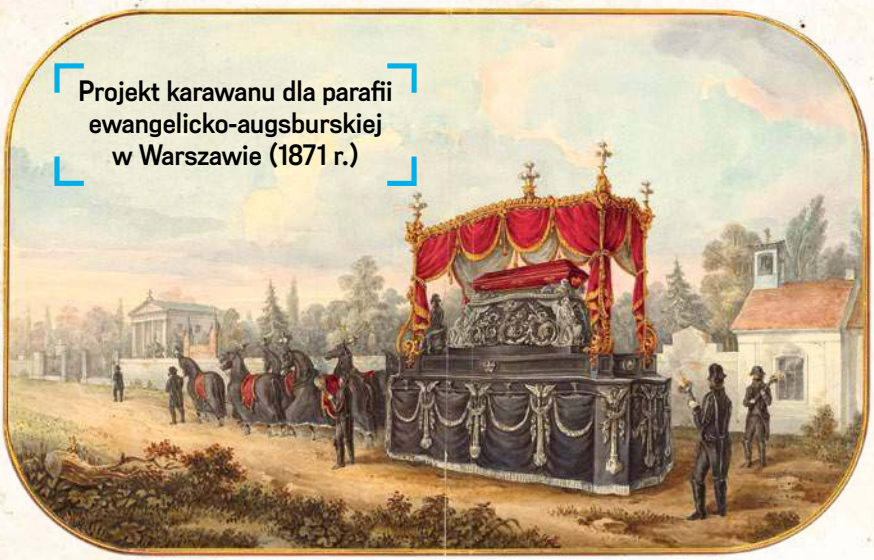
eprasa.pl 236a0e0c90

ARCHIWIŚCI

DZIEŃ ZADUSZNY SKŁANIA DO REFLEKSJI I PRZYPOMNIENIA OSÓB NAJBARDZIEJ ZASŁUŻONYCH W PONAD 200-LETNICH DZIEJACH ARCHIWUM GŁÓWNEGO AKT DAWNYCH. BEZ OFIARNEJ PRACY WIELU POKOLEŃ ARCHIWISTÓW NIEMOŻLIWE BYŁOBY ZACHOWANIE DO NASZYCH CZASÓW DZIEDZICTWA RZECZYPOSPOLITEJ



JACEK KROCHMAL



Projekt karawanu dla parafii ewangelicko-augsburskiej w Warszawie (1871 r.)

Historia AGAD rozpoczyna się w epoce Księstwa Warszawskiego. Jego władze utworzyły centralne archiwum państwa polskiego kierowane przez Walentego Skorochóda Majewskiego (1764–1835). Ten paleograf i poliglota był uczestnikiem powstania kościuszkowskiego, podczas którego odniósł ranę w bitwie pod Maciejowicami. W 1797 r. został tłumaczem w Komisji Trzech Dworów do Likwidacji Długów Rzeczypospolitej i Królewskich Stanisława Augusta. Zetknął się tam z problemami archiwów wywiezionych z Polski przez zaborców. Od 1800 r. kierował pruskim Głównym Archiwum Krajowym w Warszawie. Wiosną 1807 r. wystosował memoriał do władz Księstwa Warszawskiego, wskazując na potrzebę utworzenia polskiego archiwum. Zostało nim Archiwum Metryk Krajowych z siedzibą na Zamku Królewskim w Warszawie, które we wrześniu 1808 r. przemianowano na Archiwum Ogólne Krajowe. Gromadzono w nim akta pozostałe z Metryki Koronnej i Litewskiej oraz dokumentację dawnej Rzeczypospolitej. Było to pierwsze polskie archiwum publiczne udostępniające zbiory badaczom. Jego powstanie otworzyło nową epokę w długich dziejach archiwów polskich.

Pracami archiwum Walenty Skorochód Majewski kierował przez 35 lat aż do śmierci w 1835 r. Jego następcą został prof. Feliks Bentkowski (1781–1852), bibliograf i historyk literatury. Również on pełnił swoją funkcję do śmierci, która przyszła niespodziewanie podczas epidemii cholery w 1852 r. Rekordowo długi związek z archiwum był udziałem Walentego Huberta (1792–1880), bo przepracował w nim aż 65 lat. Był to spolonizowany Francuz, który do warszawskiego archiwum przybył w 1810 r. wraz z transportem akt przywiezionych z Krakowa. Po śmierci Majewskiego przez trzy lata tymczasowo kierował pracami archiwum, a jego naczelnikiem został dopiero w 1852 r. Funkcję tę pełnił do 1875 r., gdy w wieku 83 lat przeszedł na zasłużoną emeryturę. Z archiwum nieetatowo był związany jego syn Leopold Hubert (1832–1884), pomagający ojcu przy inwentaryzowaniu i kopiowaniu dokumentów. Zdobytą wiedzę wykorzystał w „Pamiętnikach Historycznych" – pierwszym polskim czasopiśmie poświęconym edycji źródeł archiwalnych. Dzięki opublikowanym tam materiałom przetrwały zawarte w nich informacje. Oryginały wielu z tych dokumentów dzisiaj nie istnieją, uległy bowiem zniszczeniu podczas II wojny światowej. Za działalność konspiracyjną w powstaniu styczniowym Leopold Hubert został zesłany na Syberię.

Już wcześniej patriotyzmem wykazali się inni archiwiści. W wojnach napoleońskich walczył por. Ignacy Niemojewski. Uwolniony z rosyjskiej niewoli, w 1815 r. rozpoczął pracę w warszawskim archiwum. Swoje doświadczenie wojskowe wykorzystał podczas powstania listopadowego jako adiutant w sztabie gwardii narodowej, a następnie komisarz w korpusie gen. Józefa Dwernickiego. W tym samym powstaniu, służąc w gwardii narodowej w Warszawie, uczestniczył też Walenty Hubert. Archiwum podlegało wówczas władzom powstania, a wszyscy jego pracownicy złożyli przysięgę na wierność ojczyźnie.

W 1875 r. rozpoczęła się kolejna epoka w dziejach Archiwum Głównego. Nowym naczelnikiem został Adolf Pawiński (1840–1896), wybitny historyk i wydawca źródeł. Opublikował siedem tomów „Źródeł Dziejowych", wydał pamiętniki Marcina Matuszewicza, a kolejne przygotowane przez niego edycje ukazywały się już pośmiertnie w „Tekach Pawińskiego". Jego patriotyczna postawa zaniepokoiła władze rosyjskie, które oskarżały go

eprasa.pl 236a0e0c90


Adolf Pawiński (ok. 1880 r.)

o działalność propolską. Pawińskiemu zarzucano, że jako dyrektor Archiwum Głównego udostępnia zbiory profesorom uniwersytetów z Krakowa i ze Lwowa, dostarczając im materiałów do syntez dziejów Polski. Pawiński kierował archiwum do swej przedwczesnej śmierci w 1896 r. Jego następcą został również wybitny historyk i wydawca źródeł. Był nim profesor Uniwersytetu Warszawskiego Teodor Wierzbowski (1853–1923). Pod jego kierownictwem Archiwum Główne stało się ważną placówką naukową, zatrudniającą pracowników naukowych i publikującą źródła archiwalne wprowadzające zasób do obiegu naukowego. Najbardziej znaną serią wydawniczą są regesty ksiąg kancelarii królewskiej, czyli Metryki Koronnej, wydane pod tytułem „Matricularum Regni Poloniae summaria". Ukazywały się one w latach 1905–1919 dzięki staraniom Wierzbowskiego oraz Wacława Granicznego (1877–1937) i Adolfa Mysłowskiego (1876–1954). Wierzbowski wydał też słynne „Vademecum. Podręcznik do studiów archiwalnych dla historyków i prawników polskich" (1908). Pracami archiwum kierował do 1919 r. Podczas I wojny światowej zasób Archiwum Głównego ewakuowano w głąb Rosji. Wywiezione w 1915 r. zbiory znajdowały się pod opieką W. Granicznego i A. Mysłowskiego, którzy wraz z aktami przebywali najpierw w Moskwie (do 1917 r.), następnie w Szepietówce na Wołyniu, by powrócić z nimi do Warszawy wiosną 1918 r.

Archiwiści mieli swój udział przy narodzinach niepodległej Polski i w walce o prawne zagwarantowanie jej granic. Współautorem ustaw tworzących sieć polskich archiwów państwowych, wydanych przez Radę Regencyjną w 1918 r. i Naczelnika Państwa w 1919 r., był Stefan Ehrenkreutz, który w latach 1911–1918 pracował w Archiwum Głównym. Natomiast w zespole naukowym przygotowującym dokumenty potwierdzające prawa terytorialne i polityczne państwa polskiego, wykorzystane podczas rokowań pokojowych w Wersalu, pracował Józef Siemieński (1882–1941). Stanowisko dyrektora AGAD powierzono mu w trudnym dla Polski czasie – 1 sierpnia 1920 r., gdy do Warszawy zbliżały się wojska bolszewickie. Siemieński miał za sobą praktykę archiwalną zdobytą we Lwowie i w Bibliotece Ordynacji Zamojskiej w Warszawie, w której przygotował do druku edycję Archiwum Jana Zamoyskiego. Dyrektorem AGAD był przez 19 lat, podczas których przekształcił archiwum w nowoczesną placówkę, usystematyzował i zinwentaryzował jego zasób, szeroko udostępniając go badaczom z kraju i zagranicy. Po traktacie ryskim był ekspertem komisji do spraw rewindykacji archiwaliów polskich z Rosji radzieckiej. Pomysły Siemieńskiego dotyczące niepodzielności zespołu archiwalnego są dziś podstawową zasadą archiwistyki. W 1938 r. został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale we wrześniu 1939 r. wrócił do Warszawy i brał udział w ratowaniu AGAD przed spaleniem. Wiosną 1941 r. na polecenie Delegatury Rządu na Kraj przygotował memoriał o polskich zbiorach rękopiśmiennych i ustroju powojennej Polski. Został aresztowany i osadzony w niemieckim obozie koncentracyjnym KL Auschwitz jako więzień nr 21944. Zmarł 14 listopada 1941 r.

W 1939 r. dyrektorem AGAD został Adam Stebelski (1894–1969). Usunięty ze stanowiska przez niemieckie władze okupacyjne, nadal nieoficjalnie sprawował pieczę nad archiwum, którym ponownie zarządzał po wojnie. W latach 1947–1949 brał udział w misji rewindykacyjnej polskich dóbr kultury. Jej wynikiem był zwrot do Polski 19 wagonów akt z Niemiec i ok. 250 m akt z Austrii.


Prof. Józef Siemieński (ok. 1938 r.)

Najtragiczniejszym doświadczeniem w dziejach archiwów polskich była II wojna światowa. Bezpowrotnej zagładzie uległa większość zasobu archiwów warszawskich. Losy zbiorów dzielili ich kustosze. Nazwiska 47 warszawskich archiwistów, zmarłych w latach 1939–1945, upamiętnia tablica w holu Archiwum Głównego Akt Dawnych.

Tablica w AGAD upamiętniająca archiwistów warszawskich zmarłych podczas II wojny światowej



FOT. KAROL ZBIŃSKI

eprasa.pl 236a0e0c90

DESANTY KANAŁAMI I ULICZNE RAJDY SAMOCHODÓW...

Archiwum Akt Nowych

ORLĘTA LWOWSKIE, CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI I LWY TRZYMAJĄCE TABLICE Z NAPISEM „ZAWSZE WIERNY – TOBIE POLSKO" TO MOTYWY KOJARZONE PRZEZ KAŻDEGO POLAKA ZNAJĄCEGO CHOĆ TROCHĘ HISTORIĘ SWOJEGO KRAJU



Grupa „Cytadela" – pododdział sił polskich broniących Lwowa



RAFAŁ KIERZKOWSKI

Nocą i świtem 1 listopada 1918 r. siły ukraińskie pod dowództwem Dmytra Witowskiego wtargnęły do miasta, opanowując w ciemnościach jego wschodnie rejony i znaczną część centrum oraz liczne gmachy publiczne. Społeczność Lwowa wczesnym rankiem ze zdumieniem i z przerażeniem spostrzegła powiewające nad miastem niebiesko-żółte flagi. Pierwsze ośrodki polskiej obrony zawiązały się spontanicznie. Były nimi Dom Akademicki przy ul. Senatorskiej w południowej części centrum oraz Szkoła Sienkiewicza przy ul. Polnej w zachodniej części miasta. Garstka polskich oficerów z załogi szkoły śmiałym wypadem pod dowództwem kpt. Zdzisława Trześniowskiego i ppor. Tadeusza Feldsteina z ochotnikami z Polskiej Organizacji Wojskowej już w czasie akcji ukraińskiej za pomocą jednego rewolweru (!) rozbroiła austriackich policjantów, pozyskując broń.

To właśnie inicjatywa, zdolność zebrania grup ochotników, kombinowanego wyposażania w broń i obsadzania węzłowych punktów, a następnie heroizm poszczególnych dowódców: kpt. Borutty-Spiechowicza, kpt. Trześniowskiego, ppor. Edwarda Sas-Świstelnickiego czy por. Romana Abrahama, którzy weszli następnie pod komendę kpt. Czesława Mączyńskiego, zadecydowały o tym, że udało się zorganizować i ustabilizować w ciągu kilku dni obronę miasta.

Skuteczny opór odbił się szerokim echem i nadzieją wśród polskiej ludności. Na polską stronę tworzącej się linii frontu zaczęły ciągnąć setki ochotników blokowanych przez ciągły ukraiński ostrzał ulic miasta. Pomocne w tej kryzysowej sytuacji okazały się... miejskie kanały, które podobnie jak 26 lat później podczas powstania warszawskiego stały się drogą komunikacji.

Kpt. Sulimirski koordynował przerzuty ochotników, którzy chcąc wstąpić do polskiego wojska, musieli pokonywać linię frontu podziemnymi trasami. Liczebność przeprowadzanych na zachodnią część miasta grup wynosiła od 2–3 do nawet 56 ludzi. Największa arteria komunikacyjna ciągnęła się ulicami Snopkowską i Wulecką.

Kanały stały się również korytarzem minerskim, za pomocą którego wysadzono podwórze tzw. Koszar Ferdynanda, silnie obsadzonego przez Ukraińców punktu. Na przełomie drugiego i trzeciego tygodnia walk podjęto nawet plany przeprowadzenia kanałowego desantu w rejonie ul. Romanowicza na tyłach wojsk ukraińskich. Kpt. Sulimirski



KOMENDA GŁÓWNA WOJSK POLSKICH.

Lwów, 1 listopada 1918.

ROZKAZ MOBILIZACYJNY!

Wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni Polacy w wieku od lat 17—35 zostają niniejszem powołani do służby w szeregach polskich.

Meldować się w domu techników (ul. Issakowicza), Szkole Sienkiewicza (ul. Polna), lub szkole Konarskiego (ul. Leona Sapiehy).

Komenda główna Wojsk Polskich.

Polski rozkaz mobilizacyjny z początku walk o Lwów

deklarował chęć poprowadzenia grupy desantowej i wyprowadzenia jej za zasłoną jednego z wozów transportowych maskujących właz kanałowy.

Wobec małej liczebności polskich sił i niemożności obsadzenia całej linii frontu zostały powołane zgodnie z koncepcją por. Romana Abrahama lotne oddziały wyposażone w samochody z załadowanymi karabinami maszynowymi i granatami. W dodatku do IV Komunikatu z 5 listopada 1918 r. czytamy: „Podporucznik Sas-Świ-

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 236a0e0c90



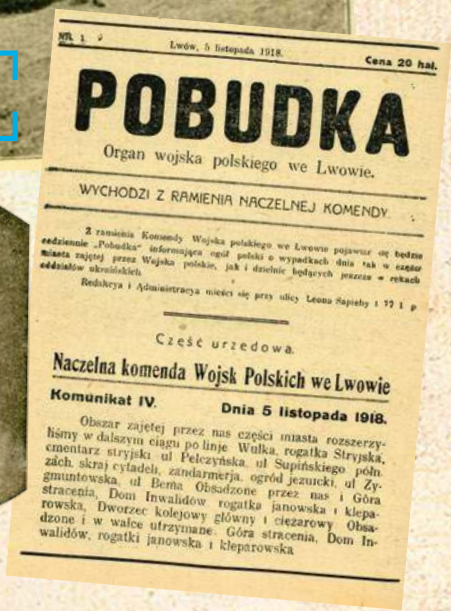
Szkoła Sienkiewicza – jeden z głównych punktów polskiego oporu



Polski automobil pancerny „Tank Józef Piłsudski"



Kpt. Zdzisław Trześniowski, jeden z głównych organizatorów obrony Lwowa



NR. 1. Lwów, 5 listopada 1918. Cena 20 hal.

POBUDKA

Organ wojska polskiego we Lwowie.

WYCHODZI Z RAMIENIA NACZELNEJ KOMENDY

Część urzędowa.

Naczelna komenda Wojsk Polskich we Lwowie

Komunikat IV. Dnia 5 listopada 1918.

Obszar zajętej przez nas części miasta rozszerzyliśmy w dalszym ciągu po linje Wulka, rogatka Stryjska, cmentarz stryjski, ul Pelczyńska, ul Supińskiego półn. zach. skraj cytadeli, żandarmerja, ogród jezucki, ul Zygmuntowska, ul Bema. Obsadzone przez nas i Góra stracenia, Dom Inwalidów rogatka janowska i kleparowska, Dworzec kolejowy główny i cłezarowy. Obsadzone i w walce utrzymane: Góra stracenia, Dom Inwalidów, rogatki janowska i kleparowska.

Pierwszy egzemplarz „Pobudki"

stelnicki z korpusu gen. Dowbor-Muśnickiego z chor. Edwardem Wydrzyńskim, podjechawszy automobilem, wykonali śmiały atak na Dyrekcyę policyi. Dzięki brawurowej odwadze zniszczyli wspomniany budynek granatami ręcznymi, skutkiem czego rozbili i zmusili do ucieczki znajdujący się tam oddział Ukraińców".

Na początku walk Polacy nie posiadali żadnej artylerii. Dopiero 4 listopada kpt. Trześniowski przyprowadził trzy austriackie armaty, do których nie było jednak amunicji. Armaty wykorzystano więc w celach... propagandowych. Pchor. Grzegorz Kierski objeżdżał ulice miasta, dla podniesienia morale rozgłaszając, że przybyły znaczne posiłki. W tym samym czasie zdobyto w rejonie dworca kolejowego dwa wagony amunicji artyleryjskiej innego kalibru. W zorganizowanym naprędce warsztacie amunicyjnym por. Królikiewicz wraz z braćmi dokonywał skrócenia ładunków, a łuski obwijał warstwami materiału, aby pasowały do zamków posiadanych armat. Już 6 listopada działa wykorzystano tym sposobem do ostrzeliwania ogniem na wprost zajętej przez Ukraińców Cytadeli.

Bój toczono również w wymiarze informacyjnym. W mieszkanku należącym do Drukarni Chęcińskiego przy ul. Sapiehy 77 już 5 listopada powstał polski organ prasowy „Pobudka" walczący z dezinformacją i podnoszący ludność na duchu. W skład redakcji weszli: Artur Schroder, Janina Walicka, Ludwik Szczepański, Jan Szarota i Jan Przybył. Przenoszona potajemnie na teren zajęty przez nieprzyjaciela i na wysunięte polskie posterunki „Pobudka" stała się szybko głównym źródłem informacji dla odciętych od świata mieszkańców.

Obie strony prowadziły również walkę na plakaty. Komenda ukraińska zalepiała ściany budynków zarządzeniami sabotowanymi masowo przez ludność polską. Zdarzało się, że polskie afisze mobilizacyjne wiszące na szybie słynnej Kawiarni Szkockiej przy pl. Akademickim czytane tłumnie przez przechodniów nie były zrywane przez spłoszone masowością polskiego wystąpienia patrole ukraińskie.

Już po kilku dniach walk miejskich pojawił się pomysł zbudowania pancernego automobilu. Głównym jego konstruktorem został za aprobatą kpt. Boruty-Spiechowicza prof. Antoni Markowski, nadzorujący osobiście prace prowadzone w montowni dworca głównego zajętego przez Polaków. Dowództwo „pancerki" objął por. Edward Sas-Świstelnicki.

„Automobil pancerny" nazwany potem „Tankiem Piłsudskiego" pierwszy bój stoczył już 9 listopada, wspierając atak sił polskich w ogrodzie Jezuickim. Tank w trakcie natarcia ściągnął na siebie większość ognia broni maszynowej nieprzyjaciela i pomimo uszkodzenia aż trzech z czterech karabinów maszynowych i licznych przestrzelin pancerza skutecznie niszczył gniazda ukraińskich ckm-ów w Pałacu Gołuchowskich i osłaniał ewakuację rannych. W dalszych dniach, po niezbędnych naprawach, pełnił funkcję pomocniczą i podnoszącą morale na różnych odcinkach.

* * *

Powyższe przykłady z pierwszych trzech tygodni walk o Lwów obrazują, jak złożonymi działaniami i pomysłowością cechowała się jego obrona. To dzięki tego rodzaju taktycznym koncepcjom dotrwano do przybycia 20 listopada prowadzonej przez ppłk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego odsieczy, która po dwóch dniach walk wyparła ostatecznie Ukraińców z centrum miasta. Szczegóły te, jakże ważne dla polskiej historiografii, zachowały się tylko dzięki kronikarskiej oraz archiwistycznej pracy uczestników walk i orędowników sprawy lwowskiej. Prawdziwe unikaty kryją się w archiwum gen. Mieczysława Boruty-Spiechowicza – w 1918 r. jednego z oficerów koordynujących obronę miasta, czy w aktach Tymczasowego Komitetu Rządzącego we Lwowie, wszystko to w zasobie Archiwum Akt Nowych. Znaleźć można tam unikatowe opracowania i relacje z walk, jak „Ruski Miesiąc 1/XI–22/XI 1918. Ilustrowany opis walk listopadowych we Lwowie", wybitnego dziennikarza Jana Gelli. Zawarto w nich wiele informacji o metodach taktyki godnych współczesnych wojsk specjalnych, a stosowanych przez polskie siły podczas improwizowanej obrony miasta już ponad sto lat temu!

eprasa.pl 236a0e0c90

DAWID Z GRODNA – BOHATER CZY ZBRODNIARZ?



ZACHOWANY W ŹRÓDŁACH WIZERUNEK DAWIDA ODBIEGA OD NAKREŚLONEGO PRZEZ STRONĘ BIAŁORUSKĄ OBRAZU, KTÓRY STANOWI POŁĄCZENIE SIENKIEWICZOWSKIEGO JURANDA ZE SPYCHOWA Z NA WPÓŁ LEGENDARNYM ROLANDEM



MACIEJ MACIEJOWSKI

Żyjący na przełomie XIII i XIV w. namiestnik grodzieński Dawid, podwładny wielkiego księcia litewskiego Giedymina (1316–1341), zaciekły wróg Krzyżaków – ale też Polaków – stał się ostatnio elementem budowania nowej tożsamości białoruskiej. Świadczyć może o tym wyemitowanie przez Narodowy Bank Białorusi okolicznościowej monety z wizerunkiem Dawida. W maju 2018 r. dzięki finansowemu wsparciu grodzieńskiej diecezji Białoruskiej Cerkwi Prawosławnej został ustawiony również pomnik Dawida z zamieszczonym napisem o propagandowej i anachronicznej wymowie: „Dawid Grodzieński (ok. 1283–1326). Wybitna postać Wielkiego Księstwa Litewskiego, starosta grodzieński, utalentowany dowódca, niezwyciężony rycerz i obrońca ziemi białoruskiej".

Kim był zatem Dawid z Grodna? Jego imię nie jest litewskie i wskazuje na ruskie pochodzenie namiestnika grodzieńskiego. Imię Dawid było często spotykane wśród książąt na północy Rusi (m.in. w Toropcu, Smoleńsku, Muromiu czy Połocku). Być może Dawid był synem poległego w bitwie pod Twerem w 1285 r. księcia pskowskiego Dowmonta-Tymofieja. Tłumaczyłoby to późniejszą popularność Dawida w Pskowie. Większość historyków widzi w namiestniku grodzieńskim potomka litewskich drobnych książąt, możnowładców (tzw. kunigasów). Wydaje się jednak, że mógłby być on powinowatym wielkiego księcia Giedymina. Stwierdza to wyraźnie Maciej Stryjkowski, który podkreśla zarazem wysoki status Dawida jako: „męża wielce w Litwie sławnego i pana na ten czas po wielkim Xięciu Gediminie pierwszego (którego też za sobą w małżeństwie córkę własną miał)". Przekaz Stryjkowskiego, chociaż późny (druga połowa XVI w.), ze względu na dobrą orientację autora w dziejach Wielkiego Księstwa Litewskiego nie powinien, moim zdaniem, być lekceważony.

Skuteczny zarządca, sprawny wódz

Na temat kluczowej pozycji Dawida u boku Giedymina dowiadujemy się również z treści listu rady miejskiej Rygi do wielkiego księcia litewskiego z 29 listopada 1322 r., w którym rajcy określają namiestnika grodzieńskiego mianem szczególnego przyjaciela (amici speciales) władcy. Jeszcze istotniejsze wydaje się to, że patrycjat Rygi tytułuje Dawida mianem księcia pskowskiego. O rządach Dawida w Pskowie w latach 1322–1323 wspominają ponadto źródła ruskie, które opisują sukcesy namiestnika grodzieńskiego w walkach z konkurencyjnym Nowogrodem, gdzie nawet krótko sprawował władzę, w odpieraniu Krzyżaków spod Pskowa oraz najazd na duńską Estonię. Dzięki ówczesnej aktywności Dawida na północy Giedymin zdobył w 1323 r. Memel (obecnie Kłajpeda) leżący u ujścia Niemna. W rządach Dawida w Pskowie należy upatrywać element szerszej polityki Giedymina, który budował potęgę Litwy opartą na przemyślanej strategii. Jej częścią było oddawanie ziem podbitych bądź uzależnionych w ręce braci lub krewnych w charakterze swoich wasali.

Dawid swoją pozycję osiągnął przede wszystkim jako wyróżniający się wódz w ciężkich zmaganiach z Krzyżakami. Od września 1314 r. pojawia się w źródłach, głównie w krzyżackiej kronice Piotra z Dusburga, jako czołowy dowódca Giedymina kierujący obroną Litwy, a także podejmujący niszczycielskie wyprawy odwetowe na ziemie Zakonu. W tym roku Dawid odparł najazd krzyżacki w głąb Wielkiego Księstwa, który dotarł aż do Nowogródka. Dawidowi udało się wówczas zdobyć obóz krzyżacki, w którym Litwini zniszczyli zapasy żywności oraz uprowadzili 1,5 tys. koni. Działania te miały kluczowe znaczenie dla losów krzyżackiej wyprawy trwającej łącznie sześć tygodni. Dusburg przyznaje, że

eprasa.pl 236a0e0c90



Kamień upamiętniający Dawida, Grodno, Białoruś

w trakcie odwrotu wielu jej uczestników zmarło z wycieńczenia i głodu. W 1319 r. Dawid na czele 800 ludzi wtargnął na ziemie krzyżackie. Tam, dowodząc osobiście zwiadem, poniósł jednak porażkę z rąk ścigających go Krzyżaków dowodzonych przez komtura z Tapiawy. Krzyżacy m.in. zerwali most, przez który zwiad Dawida zamierzał się wycofać, oraz zabili 55 Litwinów (z 80). Ostatecznie z całej wyprawy litewskiej, zdaniem Dusburga „niewielu [...] cało powróciło do siebie".

W lutym 1323 r. namiestnik grodzieński oraz książę pskowski przeprowadził niszczący najazd na duńską Estonię. Według Piotra z Dusburga liczba zamordowanych i wziętych do niewoli miała wówczas sięgnąć 5 tys. Krzyżacki kronikarz szczególnie podkreśla krzywdy wyrządzone lokalnemu Kościołowi: „Wymordował także wielu kapłanów, świeckich i zakonnych. Jak barbarzyńca zbezcześcił i spalił sakramenty, kościoły, szaty liturgiczne, naczynia, ołtarze i wszystko, co służy praktykowaniu kultu Bożego". W odwecie Krzyżacy próbowali też ugodzić Dawida osobiście. W 1324 r. najechali jego ziemską posiadłość (allodium) i doszczętnie spalili, zabili przy tym 38 ludzi, uprowadzili 100 koni oraz bydło. O tym, że wyprawa była szeroko zakrojona, świadczyć może to, że wzięło w niej udział 140 rycerzy krzyżackich i 600 Prusów z Natangii.

Dawid dał się również poznać jako groźny i okrutny sąsiad dla obszarów pod władaniem Piastów: ziemi dobrzyńskiej i Mazowsza. Wykorzystując spory pomiędzy Piastami, Giedymin wydał Dawidowi rozkaz najechania ziemi dobrzyńskiej rządzonej przez księżnę regentkę Anastazję, wdowę po księciu Siemowicie, bracie Władysława Łokietka. Najazd litewski rozpoczęty 14 września 1323 r. doprowadził do niemal zagłady niewielkiego księstwa dobrzyńskiego. Piotr z Dusburga używa nawet w odniesieniu do tragicznego losu tej ziemi sformułowania „unicestwienie". Krzyżacki kronikarz pisze, że w trakcie najazdu Dawida zginęło bądź zostało wziętych do niewoli 6 tys. osób, w tym siedmiu proboszczów, dwóch zakonników benedyktyńskich, 60 innych duchownych, w tym wielu kleryków. Ten sam kronikarz wspomina również, że wszystkie wsie w ziemi dobrzyńskiej zostały spalone. W trakcie najazdu został zdobyty i spalony główny ośrodek księstwa Dobrzyń, w którym zginęło bądź zostało uprowadzonych 2 tys. mieszkańców. W jego obronie zginęli kasztelan dobrzyński Włost oraz sędzia sieradzki Piotr Świnka, bratanek słynnego arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnki (1283–1314). W związku z powyższymi wydarzeniami Dawid został określony przez książąt mazowieckich jako prophanus dux („pogański, bezbożny książę").

Rok później 21 listopada 1324 r. „niewierny" (infidelis) książę Dawid najechał ziemie diecezji płockiej oraz księstw czerskiego i rawskiego na Mazowszu. Tym razem w wyniku litewskiej napaści zniszczeniu i złupieniu uległo miasto biskupie Pułtusk, 37 wsi biskupich (w tym 30 kościołów parafialnych) i wiele wsi klasztornych. Straty nie ominęły także dóbr świeckich. Litwini zniszczyli 80 wsi należących do książąt mazowieckich. Liczbę ofiar wśród poddanych książęta szacowali na 2 tys. zamordowanych i uprowadzonych. Dwukrotnie większą liczbę podaje Piotr z Dusburga.

Najazd na Brandenburgię

Świeżo zawarty w 1325 r. sojusz polsko-litewski król Polski Władysław Łokietek zamierzał przetestować, dokonując wielkiego najazdu na Brandenburgię. Dodajmy, że władca Polski działał »

FOT. OKSANA PH/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl 236a0e0c90

» z pełnym poparciem papieża pragnącego ugodzić swego największego wroga – króla niemieckiego (rzymskiego), do którego należała wówczas Nowa Marchia. Piotr z Dusburga pisze, że Giedymin na prośbę Łokietka dostarczył silny kontyngent liczący 1,2 tys. konnicy. Oddział ten z rozkazu króla został dołączony do wojsk polskich, liczebnie zapewne zbliżonych do sił litewskich. Jan Długosz podaje skład etniczny wojsk Dawida, w których oprócz Litwinów mieli się znaleźć również Rusini i Wołosi. Kontyngent egzotycznych Wołochów (zamieszkałych w obecnej południowej Rumunii) przysłał prawdopodobnie król Węgier Karol I Robert (1308–1342), sojusznik i zięć Łokietka.

Wyruszając na wyprawę do brandenburskiej Nowej Marchii (obecnie północna część ziemi lubuskiej i Pojezierze Drawskie), Dawid był już doświadczonym dowódcą, który przetestował litewską taktykę w licznych wojnach i najazdach. Nie można wykluczyć, że wśród motywacji namiestnika grodzieńskiego i księcia Pskowa oprócz celów politycznych i materialnych należy dostrzec również dążenie do zdobycia sławy wielkiego wodza, siejącego strach od Zatoki Fińskiej po Odrę. Jednocześnie trzeba pamiętać, że przez chrześcijańskie ofiary krwawych najazdów był postrzegany przede wszystkim, niezależnie od ruskich konotacji, jako pogański barbarzyńca. Dawid mógł się zatem spodziewać, że prędzej czy później jego osoba stanie się obiektem odwetu.

Większość źródeł podaje, że wyprawa polsko-litewska dotarła do Frankfurtu, a więc do linii Odry. Najazd dotknął również najprawdopodobniej północno-wschodniego pogranicza Wielkopolski i Nowej Marchii. Na Pojezierzu Drawskim jeszcze 10 lat później podczas inwentaryzacji dochodów wykazano 31 opuszczonych wsi. Zniszczenia objęły więc obszar diecezji lubuskiej (ziemię torzymską i Frankfurt) oraz ziemie strzelecką, choszczeńską i drawską. Mniej prawdopodobne jest przekroczenie linii Odry przez najeźdźców, choć w tradycji lokalnej ludności zachował się późniejszy przekaz na ten temat.

O zachowaniu najeźdźców w Nowej Marchii Piotr z Dusburga pisał: „Całą tę prowincję, która obejmowała ponad sto czterdzieści wsi i tyleż samo kościołów parafialnych, trzy wspólnoty mnichów zakonu cysterskiego, dwa klasztory żeńskie oraz wiele kościołów zakonnych i świeckich, ograbili i zniszczyli ogniem. W nieludzki sposób wyciągali z klasztorów zakonników i dziewice poświęcone Bogu [...]. Mężczyzn wymordowali, natomiast do niewoli wzięli wiele kobiet i żon szlachciców razem z dziewczętami i chłopcami. Wśród tych dziewcząt jedna pochodziła ze szlachetnego rodu, a z powodu doskonałej urody nie miała sobie równej. Z tej przyczyny powstała wśród Litwinów wielka kłótnia. Aby spór ten nie przybrał na sile, jeden z nich podszedł do niej, rozciął ją na połowę i powiedział: »Podzieliłem ją na dwie części, każdy niech weźmie z niej przypadający na niego udział«. I kiedy w ten sposób zniszczyli tę ziemię oraz zabili i wzięli do niewoli więcej niż sześć tysięcy ludzi, wycofali się".

PRZEZ CHRZEŚCIJAŃSKIE OFIARY KRWAWYCH NAJAZDÓW BYŁ POSTRZEGANY PRZEDE WSZYSTKIM JAKO POGAŃSKI BARBARZYŃCA

Jan Długosz, choć życzliwy Łokietkowi, sprawiedliwie przyznaje, że: „Król polski Władysław nie zabraniał bynajmniej tych świętokradzkich i niegodziwych wybryków. Mordowano zarówno dzieci, jak starców". Historyk Edward Rymar identyfikuje najechane i ograbione klasztory cysterskie. Były to najprawdopodobniej: Bledzew, Paradyż, Bierzwnik, dwór cystersów z Kołbacza w Mironicach oraz zgromadzenia żeńskie: Recz, Pełczyce, Cedynia.

Śmierć w zemście

W trakcie odwrotu wojsk litewskich doszło do nieoczekiwanego incydentu. Rycerz z Mazowsza Andrzej Gost, prawdopodobnie uczestniczący w wyprawie, dokonał zabójstwa Dawida. Dostępne źródła wskazują na osobiste motywacje Andrzeja Gosta, jak też szersze przyczyny związane z poczuciem wielkiej krzywdy wyrządzonej chrześcijanom przez Dawida. Piotr z Dusburga określił go jako człowieka, który „[...] wyrządził wierze i wiernym ogrom zła". Trzeba pamiętać, że Nowa Marchia leżała na terenie diecezji lubuskiej wchodzącej w skład polskiej metropolii kościelnej – arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Andrzej Gost mógł być ponadto świadkiem zniszczenia ziemi dobrzyńskiej przez Litwinów w 1323 r. oraz spustoszenia Mazowsza rok później. Niewykluczone, że wśród ofiar obu najazdów znajdowali się krewni i bliscy Andrzeja Gosta.

Niewątpliwą zagadką pozostaje to, że śmierć Dawida – znaczącej osoby w ścisłym otoczeniu Giedymina – nie wpłynęła w żaden sposób na trwałość ówczesnego sojuszu polsko-litewskiego. Jest to o tyle dziwne, że zabójstwo zostało dokonane publicznie, sam sprawca natomiast zbiegł. Można zadać jednocześnie pytanie: czy śmierć Dawida nie leżała również w interesie Giedymina? W oczach wielkiego księcia litewskiego namiestnik grodzieński dzięki swoim osiągnięciom politycznym i militarnym wyrósł tak wysoko, że mógł stanowić zagrożenie jako potencjalny konkurent do władzy. Dawid – reprezentant nieprzejednanej frakcji antychrześcijańskich lub może bardziej antyłacińskich „jastrzębi", stanowił dodatkowy, niewygodny problem dla Giedymina szukającego sojuszników wśród chrześcijańskich władców, a także rozważającego chrystianizację Litwy.

Czy Dawid zasługuje współcześnie na pomnik? Niewątpliwie był postacią wyróżniającą się. Wysoką pozycję u boku Giedymina namiestnik Grodna zawdzięczał swojej energii oraz inklinacjom militarnym sprawdzonym w licznych wojnach, przede wszystkim z Krzyżakami, lecz także z Nowogrodem i duńską Estonią. Agresywnych działań Dawida doświadczyły boleśnie również ziemia dobrzyńska oraz Mazowsze. Należy podkreślić, że brutalność i okrucieństwo wyróżniały namiestnika grodzieńskiego nawet na tle surowych obyczajów i warunków epoki. Los Dawida dopełnił się podczas powrotu z najazdu na brandenburską Nową Marchię, w trakcie wyjątkowo brudnej wojny wymierzonej w chrześcijan, toczonej pod patronatem przez papieża, a przeprowadzonej przez króla Polski w przymierzu z pogańskimi Litwinami.

eprasa.pl 236a0e0c90

DZIEŁO ZYGMUNTA AUGUSTA

W 2020 r. OBCHODZIMY 500. ROCZNICĘ URODZIN KRÓLA PAMIĘTANEGO PRZEDE WSZYSTKIM JAKO BOHATERA „KRÓLEWSKIEGO ROMANSU" I MĘŻA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY



HENRYK LITWIN

Zapisał się też w świadomości Polaków jako ostatni król z dynastii Jagiellonów. Powyższe określenie – jak to często bywa ze schematami – jest zresztą całkowicie błędne. Ostatnim bowiem królem – tak, królem – z dynastii Jagiellonów była jego siostra Anna. Dzisiaj historia interesuje już tylko nielicznych i 500. jubileusz Zygmunta Augusta przechodzi prawie bez echa. A na pewno warto poświęcić tej postaci chwilę zadumy, bo syn Bony Sforzy był osobistością, która silnie wpłynęła na dzieje Polski, Europy Środkowo-Wschodniej, a przez to całego kontynentu.

Można wymienić wiele osiągnięć króla, który choć zyskał sobie u współczesnych miano „dojutrka", to jednak potrafił cierpliwie i konsekwentnie realizować swe plany, a także dostosowywać się do okoliczności, a w niektórych – uzasadnionych – przypadkach nawet zmieniać zdanie i istotnie korygować swe zamierzenia. Spróbujmy się przyjrzeć tylko niektórym z jego wielkich projektów. »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zmiana układu sił

Zygmunt August wytrwale pracował nad skonstruowaniem trwałego związku Polski i Litwy. Rezultatem tej pracy była unia lubelska, która doprowadziła do istotnej geopolitycznej zmiany w Europie Środkowo-Wschodniej. Porządek polityczny w tej części kontynentu był pochodną rywalizacji o dominację w przestrzeni będącej spuścizną po dawnej Rusi Kijowskiej, która upadła w XIII w. pod naporem ludów mongolskich czy – jak kto woli – tatarskich. Przez ponad 100 lat, do końca XV w., wygrywającą w tej konkurencji siłą było Wielkie Księstwo Litewskie. Jednak od końcowych lat XV stulecia aż po lata 60. następnego wieku trwał okres zwycięstw i ekspansji Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, a jej spektakularną kulminacją było zdobycie przez Moskwę Połocka w 1563 r. Nad Litwą zawisło wówczas wielkie niebezpieczeństwo. Nie na darmo Mikołaj Rudy Radziwiłł porównywał w tym czasie zdolność WXL do ofensywy przeciwko Moskwie z „rzucaniem się z motyką na słońce". Unia lubelska, będąca w znacznym stopniu dziełem Zygmunta Augusta, zmieniła na długo proporcje sił w tej rywalizacji. Przez niemal 80 lat trwał czas zwycięstw państwa polsko-litewskiego nad Moskwą, odzyskiwania utraconych wcześniej ziem ruskich i jeszcze car Michał Romanow (+1645) u progu połowy XVII w. zalecał swemu synowi Aleksemu, aby pod żadnym pozorem nie wszczynał wojny z zachodnim sąsiadem. Nie ma wątpliwości, że dzieło „ostatniego króla, który nosił kołpak Witoldowy" – stworzenie siły odpornej przeciw ekspansji moskiewskiej – sprawdziło się i dało czas na umocnienie się innych dzieł autorstwa tego monarchy.

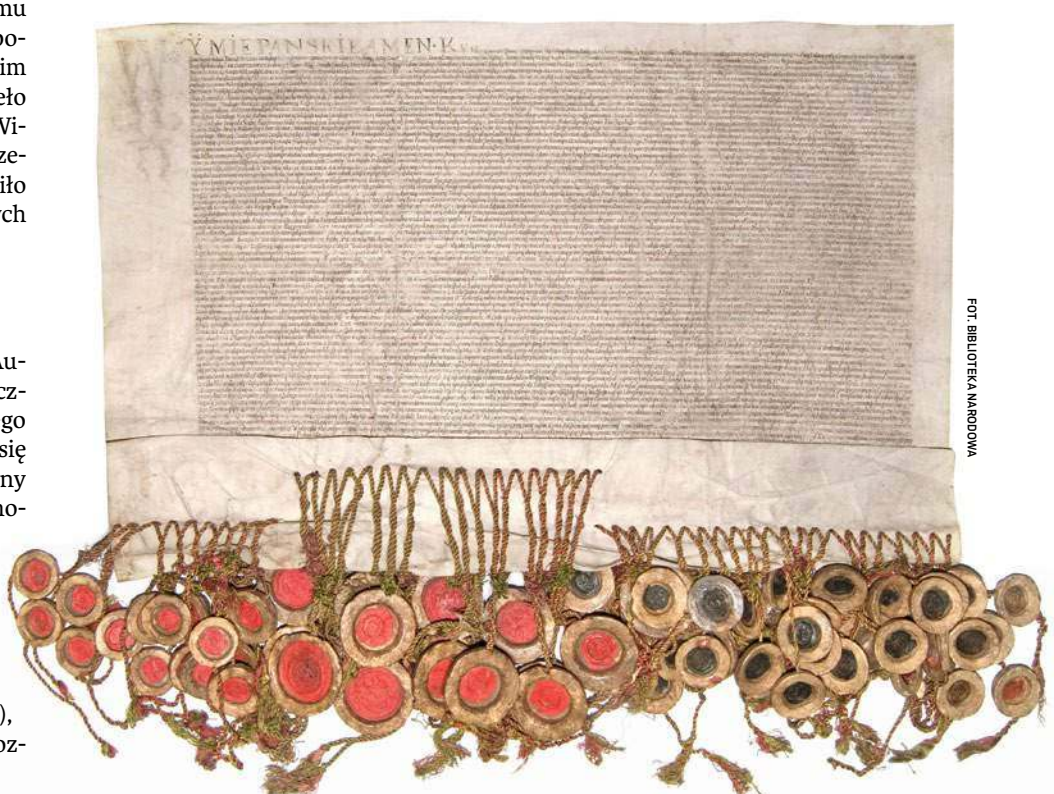
Ku morzu

Ważnym osiągnięciem Zygmunta Augusta było też zwrócenie geopolitycznej energii państwa polsko-litewskiego ku Bałtykowi. Ten proces realizował się poprzez regulację stosunków Korony z potężnym i w znacznej mierze autonomicznym Gdańskiem, poprzez aktywność floty królewskiej na morzu, ale przede wszystkim poprzez czynny udział w rozstrzygnięciu losów dziedzictwa po państwie Kawalerów Mieczowych (w Polsce wówczas i później opisywano je określeniem Inflantów), które na początku II połowy XVI w. rozpadało się pod wewnętrznym naporem ruchu reformacyjnego i zewnętrznym naciskiem potężnych sąsiadów zainteresowanych powiększeniem swoich terytoriów. Do tej rywalizacji stanęły Moskwa, Szwecja i Dania, podejmując działania zbrojne, a poważne plany aneksyjne mieli też Hohenzollernowie z Prus Książęcych. Jednocześnie włączył się do gry Zygmunt August, który podjął skomplikowane przedsięwzięcie mediacyjne zmierzające do włączenia całych Inflant do swych domen. Zakończyło się ono po wielu latach sukcesem, choć nie pełnym. Część Inflant włączono najpierw do Litwy, potem do Rzeczypospolitej jako prowincję o pewnej autonomii, z części utworzono Księstwo Kurlandii i Semigalii pozostające w zależności lennej od Rzeczypospolitej, jeszcze inne części uległy trwałemu podbojowi Szwecji i Danii. Istotne było to, że dzięki Zygmuntowi Augustowi „przy głosie" pozostał czynnik lokalny, a szlachta inflancka i mieszczaństwo Rygi skorzystali z dobrodziejstw ustrojowych płynących z połączenia z Rzecząpospolitą. Część Inflant i Kurlandia podlegały tym wpływom przez ponad 200 lat, co zaowocowało skutkami oddziałującymi pośrednio jeszcze i dziś, gdy region państw bałtyckich jest częścią Unii Europejskiej.

Federacja

Obrona granic i ich rozszerzanie były ważnym dorobkiem Zygmunta Augusta, ale większe konsekwencje miało stworzenie państwa wielonarodowego, którego system prawny chronił etniczno-terytorialne odrębności. Przypomnijmy, że dorobek legislacyjny króla i sejmu lubelskiego obejmował nie tylko akt unii polsko-litewskiej, lecz także tzw. przywileje inkorporacyjne dla Wołynia i Kijowszczyzny oraz regulacje konserwujące umiarkowaną odrębność Prus Królewskich i Inflant. Umowa unijna z 1 lipca 1569 r. tworzyła nowe państwo – Rzeczpospolitą Obojga Narodów, nie likwidując jednak atrybutów odrębności państwowej Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Uprawnia to do nazwania utworzonego w 1569 r. państwa polsko-litewskiego federacyjnym. Tak zwane przywileje inkorporacyjne dla Wołynia i Kijowszczyzny, wydane przez Zygmunta Augusta, były w istocie zatwierdzeniem dwustronnych umów, które gwarantowały autonomię przyłączanych prowincji w ramach Królestwa Polskiego. Ziemie „przywrócone" – jak wówczas mówiono – zachowały własny język urzędowy –

Akt unii lubelskiej



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 236a0e0c90

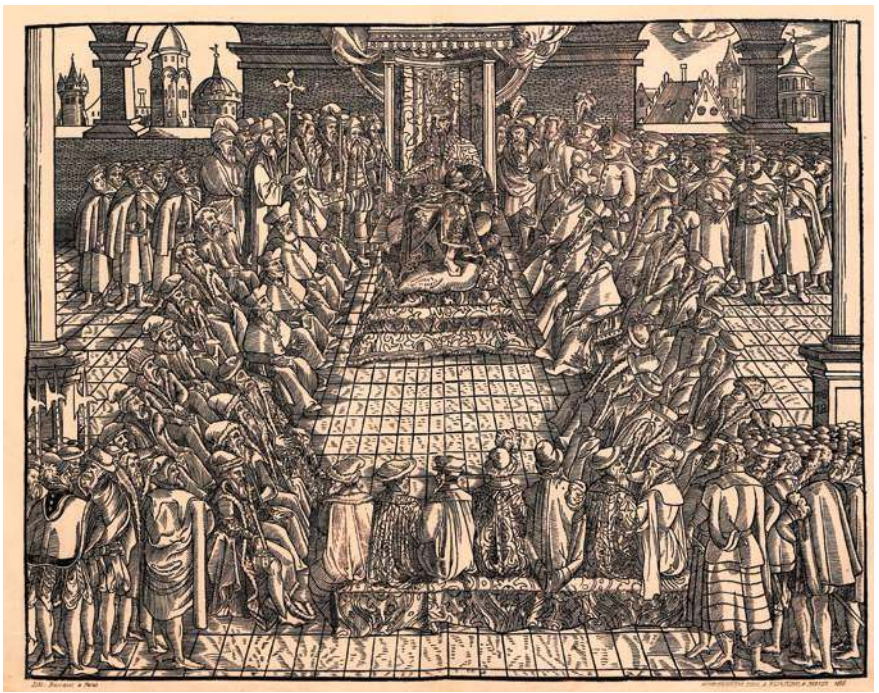


ruski, własny system prawa sądowego – II Statut Litewski, odrębną strukturę wewnętrzną stanu uprzywilejowanego – uznanie tytułów książęcych arystokracji ruskiej, przyznano im też terytorialną integralność. Można powiedzieć, że sejm lubelski utworzył Rzeczpospolitą Obojga Narodów i zrobił wielki krok w kierunku utworzenia państwa trzech narodów. Na terenach Wołynia i Kijowszczyzny przez kolejne 80 lat szlachta ruska konsekwentnie odwoływała się do przywilejów lubelskich, nazywając je najczęściej „przywilejami uniej". Sejm 1569 r. przesądził też o zachowaniu odrębności Prus Królewskich i Inflant, gdzie stosowano lokalne prawo sądowe, a status języka niemieckiego jako jednego z urzędowych został utrzymany. Prawna podbudowa wskazanych odrębności miała istotne znaczenie dla przebiegu procesów narodotwórczych w naszej części Europy, szczególnie zaś w dziejach wyodrębniania się Ukraińców i Białorusinów.

Obywatelskość i wolność

Zygmunt August miał też decydujący wpływ na ustanowienie Rzeczypospolitej Obojga Narodów jako państwa obywatelskiego i republikańskiego. Zawarcie unii lubelskiej było bowiem »

eprasa.pl 236a0e0c90



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Sejm koronny za panowania Zygmunta II Augusta, grafika z dzieła Jana Herburta, „Statuta y Przywileie Koronne" z 1570 r.

» równoznaczne z zaprowadzeniem wypracowanego w Polsce porządku ustrojowego w całym, nowo utworzonym państwie. Na ziemiach polskich ukształtował się on w ciągu XV i XVI w. Można wskazać na kilka fundamentów owego ładu prawnego. Były nimi podporządkowanie władzy królewskiej prawu, dominująca rola sejmu w rządzeniu państwem, równowaga „stanów sejmujących", czyli króla, senatu i izby poselskiej, w parlamencie, która ukształtowała się w ciągu XVI w. w epoce tzw. ruchu egzekucyjnego, oraz wynikająca ze znaczenia izby poselskiej silna pozycja ustrojowa lokalnych samorządów szlacheckich, zinstytucjonalizowanych w sejmikach. W efekcie w polskim systemie politycznym utrzymywała się przewaga lokalnych samorządów nad władzą centralną, a kluczowymi pojęciami kultury politycznej były obywatelskość i wolność. Oczywiście korzystanie z dobrodziejstw systemu ograniczało się do stanu uprzywilejowanego – szlachty, ale dostęp do szlachectwa nie był wcale hermetycznie zamknięty i szeregi herbowego ludu uzupełniały się poprzez kariery w stanie duchownym i wojsku. W świadomości szlachty polskiej epoki renesansowej „wolność polska" była darem, którym należało się dzielić. Stosunek króla do tych idei zmieniał się w czasie, ale w chwili otwarcia pierwszego sejmu egzekucyjnego stało się jasne, że monarcha opowiedział się za wizją państwa proponowaną przez ruch egzekucyjny. Oznaczało to nie tylko królewskie wsparcie dla uporządkowania spraw skarbowych i stworzenia stałej armii dla ochrony pogranicza, lecz przede wszystkim akceptację dla wspomnianego wyżej systemu równowagi stanów sejmowych, a w konsekwencji dla państwa obywatelskiego. Zamanifestował to zresztą, pojawiając się na obradach sejmu nie – jak zwykle – w stroju włoskim, ale w szlacheckim. Na tymże sejmie wypowiedział pamiętne słowa, apelując do sejmujących, by „nie ostawiali potomkom swoim złota ani srebra, ani też rzeczy, które są czasowi i szczęściu poddane i u niewolników są w podziwieniu, ale zostawiali prawa, sprawiedliwości i wolności doskonałe". Unia lubelska, będąca w znacznej mierze także dziełem Zygmunta Augusta, sprawiła, że „polska wolność" w istocie rozprzestrzeniła się na terytorium całego wielonarodowego państwa i stała się przywilejem także tych, którzy określali siebie jako Litwinów, Rusinów, obywateli Prus czy Inflant. Dziedzictwo tej ustrojowej ekspansji wpłynęło na ukształtowanie się trwałych podstaw tworzenia się społeczeństw obywatelskich w przestrzeni Europy Środkowo-Wschodniej, a oznaki jego trwałości możemy odczytywać jeszcze dziś, obserwując przebieg granic między krajami – tymi, w których sprawy jednostki podporządkowane są potrzebom państwa, i tymi, w których uznaje się, że państwo powinno zabezpieczać realizację potrzeb jednostek.

* * *

Historycy wielu pokoleń nie szczędzili Zygmuntowi Augustowi krytycznych ocen, wskazując na wady jego charakteru i słabości, które doprowadziły monarchę do żenujących sytuacji w schyłkowym okresie życia. Niemniej prywatnie zupełnie „rozbity" Zygmunt August w ostatnich latach panowania przeprowadził niezwykle istotne działania i pozostawił po sobie wspaniałe dziedzictwo w postaci wielonarodowego i wielowyznaniowego państwa, które w Europie zmierzającej wówczas ku absolutyzmowi i dyktatowi większości w kwestiach wyznaniowych dawało przykład tolerancji i przestrzegania zasad państwa obywatelskiego. ■



FOT. NAC

Szczątki króla Zygmunta Augusta, 1930 r.

MATKA MAGDALENA MORTĘSKA

POLSKA PIONIERKA SZKOLNICTWA DLA DZIEWCZĄT



FOT. MATHIASREX MACIEJ SZCZEPAŃCZYK/WIKIPEDIA

eprasa.pl/2cade0e90



HENRYK LITWIN

WNUCZKA DE MORTANGENÓW WYCHOWAŁA SIĘ JUŻ W ŚRODOWISKU POLSKIM, A WYZWANIEM JEJ ŻYCIA OKAZAŁO SIĘ URZECZYWISTNIANIE W RZECZYPOSPOLITEJ REFORMY TRYDENCKIEJ

Początki dziejów rodu Mortęskich kryją się w cieniu lasów Pojezierza Iławskiego, na którym leżała jedna z krain bałtyckiego ludu Prusów – Pomezania. W XIII w. ziemie te uległy podbojowi Krzyżaków i rozpoczął się proces kulturowej, a w szczególności językowej, germanizacji miejscowej ludności. Lokalne elity przyjmowały obyczaje narzucane przez braci zakonnych i przekształcały się w niemieckojęzyczną szlachtę pruską. Przodkowie Mortęskich w latach 30. XIV w. otrzymali od ówczesnego wielkiego mistrza nadanie dóbr Mortęgi (Mortangen) w ziemi chełmińskiej i w konsekwencji zaczęli używać nazwiska de Mortangen. Fryderyk de Mortangen w 1422 r. uczestniczył w wojnie z Polską oczywiście po stronie krzyżackiej, ale już jego syn Ludwik był uczestnikiem Związku Pruskiego i zwolennikiem podporządkowania Prus królowi polskiemu, który po zwycięskiej wojnie trzynastoletniej nadał mu urząd wojewody chełmińskiego. Z kolei syn Ludwika, także Ludwik, wciąż jako de Mortangen, był lojalnym wobec Jagiellonów urzędnikiem Prus Królewskich i zwolennikiem pruskiej autonomii. To w jego czasach zaczęła być używana polska odmiana rodowego nazwiska – Mortęski. Synowie Ludwika – Stanisław i Melchior – używali już wyłącznie takiej formy nazwiska i wszystko wskazuje na to, że ich językiem domowym był polski. Córka Melchiora Magdalena, już całkowicie „polska" bohaterka niniejszej opowiastki, poświęciła się wprowadzeniu w Rzeczypospolitej reformy trydenckiej w kobiecym życiu monastycznym.

Zmagania z ojcem

Droga Magdaleny Mortęskiej do przekroczenia furty klasztornej była długa i ciernista. Ojciec, Melchior Mortęski, owdowiały rychło po urodzeniu córki, zdecydował się powierzyć wychowanie czteroletniej dziewczynki ciotce. Mała Magdalena trafiła do domu Wulkowskich, gdzie dbano o jej religijność i obyczajność, ale nie nauczono pisać ani czytać. Wróciła do domu rodzinnego w wieku 12 lat i w tym momencie rozpoczął się swoisty dramat rozgrywający się między ojcem dążącym do zaaranżowania małżeństwa dla Magdaleny a córką, która odczuwała stanowcze powołanie zakonne. Oparła się więc żądaniom rodzicielskim. Rozczarowany Melchior Mortęski nakazał wówczas utrzymywać Magdalenę w swego rodzaju areszcie domowym, zamkniętą w dworze w Mortęgach. Zakazał jej też nauki czytania i pisania. Przyszła benedyktyńska reformatorka znalazła jednak w sobie dość hartu ducha, by przetrwać to odosobnienie i poprzez potajemne lekcje, których udzielał jej przebłagany przez nią oficjalista ojca, zdobyć podstawy wykształcenia. Te zmagania woli między ojcem a córką trwały 12 lat i ukształtowały kobietę o wielkiej sile charakteru oraz niezłomnej stanowczości, zdolną też wszakże do taktycznych manewrów. W 1578 r. Magdalena zdołała wymóc na ojcu zgodę na odbycie rekolekcji u benedyktynek w Chełmnie. Kiedy znalazła się w klasztorze, natychmiast wstąpiła do zakonu. Melchior Mortęski nie zaakceptował tego kroku i zamierzał ponoć odbić córkę zbrojną ręką. Wówczas zaczęła się mediacja rodzinna. Krewni Magdaleny ze strony matki – Kostkowie, a przede wszystkim wuj Piotr, biskup chełmiński, zdołali w końcu wpłynąć na gniewnego ojca i wiosną 1579 r. Mortęski pogodził się ostatecznie z wyborem córki.



Ksieni z menedżerskim zacięciem

4 czerwca 1579 r. Magdalena złożyła śluby zakonne, a już tydzień później obrano ją przełożoną klasztoru. Trudno powiedzieć, co przekonało benedyktynki do tego kroku. Autorytet moralny czy zacne wiano, jakie wniosła zubożałemu wówczas klasztorowi chełmińskiemu, dzięki odsprzedaniu bratu swych praw do spadku po matce i spieniężeniu wszystkich materialnych dóbr osobistych?

W każdym razie nowo obrana ksieni szybko udowodniła, że była przywódczynią z prawdziwego zdarzenia. Niezwłocznie rozpoczęła działania zmierzające do odbudowy materialnego zaplecza klasztoru chełmińskiego, reformy reguły benedyktyńskiej, ale także stworzenia sieci placówek zakonnych poddanych jej nadzorowi.

Okazała się znakomitą i energiczną administratorką. Objęła zarząd nad klasztorami w Chełmnie i Toruniu, które na skutek rozwoju ruchu reformacyjnego utraciły większą część swych dóbr ziemskich. Szczególnie ucierpiała benedyktyńska placówka w mieście Kopernika, która już w czasach kontrreformacji utraciła uposażenie przejęte przez protestancką radę miejską Torunia. Mortęska potrafiła odbudować zaplecze majątkowe zakonu, zwiększając dzięki swemu autorytetowi liczbę powołań, a co za tym idzie – posagów na rzecz klasztorów, ale także prowadząc skuteczne działania rewindykacyjne w odniesieniu do dóbr utraconych wcześniej na skutek działań potomków dawnych donatorów ulegających wpływom reformacji.

Chełmińska ksieni rozciągnęła rychło swą kontrolę nad siecią placówek benedyktyńskich. Poza klasztorami w Chełmnie i Toruniu objęła także zarząd nad dawną placówką cysterską w Żarnowcu,

eprasa.pl 236a0e0c90

która przyjęła regułę benedyktyńską (1589). Znaczącym osiągnięciem było założenie klasztoru w radziwiłłowskim Nieświeżu pod patronatem księcia Mikołaja Krzysztofa „Sierotki" (1590). Z czasem przyszły inne sukcesy i już w XVII w. powstały klasztory we Lwowie i w Poznaniu. Istotną rolę odegrały w tym procesie rozgałęzione koligacje rodzinne. Placówkę w Bysławku ufundowała siostrzenica Magdaleny, Zofia Żalińska, a klasztor w Jarosławiu siostra wujeczna Anna z Kostków Ostrogska. Benedyktyńska kongregacja kierowana przez Mortęską rozwijała się i na początku lat 20. XVII w. objęła ok. 20 placówek.

Reguła dla mniszek

Najważniejszym dorobkiem ksieni chełmińskiej były jednak prace nad korektą reguły pamiętającej czasy św. Scholastyki (siostry bliźniaczki św. Benedykta). Trwały one długo, ale zostały uwieńczone sukcesem. Przygotowano nową wersję zasad życia zakonnego odwołującą się do Benedyktowego „ora et labora" (módl się i pracuj), dostosowaną jednak do kontrreformacyjnych wymogów obyczajowych i polskich warunków, choćby klimatycznych. Reguła uzyskała akceptację papieską w 1605, a rok później została opublikowana. Miały ją przyjąć wszystkie żeńskie klasztory benedyktyńskie w Rzeczypospolitej, a matka Mortęska była powołana do objęcia przewodnictwa nad tak stworzoną kongregacją.

Edukacja dla panien świeckich

Istotnym novum było przyjęcie zasady, że klasztory będą się zajmować edukacją panien świeckich. Kształcenie w szkołach benedyktynek reguły chełmińskiej nie sięgało rzecz jasna poziomów uniwersyteckich. Mortęskiej chodziło raczej o przygotowanie panien w taki sposób, by mogły wywierać pozytywny wpływ na życie rodziny, w której po zamążpójściu miały odgrywać ważną rolę. Z tego powodu w kongregacji benedyktyńskiej przestrzegano zasady, iż adeptki szkół nie mogą w żadnym wypadku stawać się siostrami zakonnymi. Nie poprzestawano jednak na nauce czytania, pisania, rachunków, śpiewu, wyszywania, nie tylko uczono zasad dobrego zachowania i towarzyskiej uprzejmości, lecz podejmowano też wysiłek formacyjny. Jak pisał niegdyś Karol Górski: „Ze szkoły klasztornej wychodziły kobiety, które umiały logicznie rozważać postawione zagadnienie i dyskutować w sprawach życia wewnętrznego...".

W szkołach panowała dyscyplina nie mniejsza niż w jezuickich kolegiach. Obowiązywała pobudka o piątej rano. Po niej udział w mszy św., a następnie pierwsza seria zajęć szkolnych kończąca się przerwą na śniadanie o dziewiątej. Po posiłku panny wracały do lekcji trwających do obiadu o 11.00. Czas poobiedni przeznaczano na odpoczynek, a od 12.30 do 16.00 trwała ostatnia seria zajęć. Po niej dwie godziny odpoczynku, kolacja o 18.00 i przygotowanie do snu. Oprócz zajęć lekcyjnych dziewczęta pracowały przy obsłudze szkoły i klasztoru w ramach regularnych dyżurów – zajmowały się sprzątaniem, przenoszeniem opału, wody i produktów żywnościowych, pomocą kuchenną.

4 CZERWCA 1579 r. MAGDALENA ZŁOŻYŁA ŚLUBY ZAKONNE, A JUŻ TYDZIEŃ PÓŹNIEJ OBRANO JĄ PRZEŁOŻONĄ KLASZTORU

Szkoły benedyktyńskie dla dziewcząt były nastawione na pracę w środowiskach szlachty średniej i dobrze sytuowanego mieszczaństwa, czyli dla warstw o silnym poczuciu obywatelskim. System klasztorów reguły Magdaleny Mortęskiej i zarazem sieć szkół dla panien powiększały się dość dynamicznie w pierwszej połowie XVII w. i w chwili największego rozwoju liczył sobie ponad 20 placówek działających w przestrzeni między Nieświeżem, Lwowem, Poznaniem i Chełmnem. Uznaje się, że benedyktyńskie wychowanie klasztorne poprzez oddziaływanie ukształtowanych przez nie kobiet miało istotny wpływ na uformowanie się kilku pokoleń szeroko pojętych elit Rzeczypospolitej Obojga Narodów w pierwszej połowie XVII w.

Potężnego ducha niewiasta

Choć wiemy dość dużo o dokonaniach życia Magdaleny Mortęskiej, to jednak jej osobowość pozostaje zagadką. Domyślamy się, że przeszła pewną ewolucję od surowej przełożonej, egzekwującej klasztorną dyscyplinę, do pełnej empatii matrony opiekującej się powierzoną jej trzódką. W stosunku do mężczyzn prezentowała – jak się zdaje – daleko idącą asertywność. Zademonstrowała to choćby w czasie sporu z ojcem. W późniejszych latach potrafiła odegrać rolę założycielki seminarium duchownego dla kapelanów klasztorów żeńskich, które powstało w Poznaniu w 1616 r., a dwa lata później zostało przeniesione do Torunia. Wiemy, że tworzyła teksty będące zapisem medytacji pasyjnych. Wśród zachowanych anonimowych prac tego typu są zapewne dzieła Matki Magdaleny, ale nie jesteśmy w stanie ich precyzyjnie zidentyfikować. Była też bez wątpienia estetką. Dbała o wyposażenie artystyczne nadzorowanych klasztorów. Zamawiała obrazy w pracowni znakomitego mistrza Hermana Hana, którego pryncypialne dzieło możemy do dziś podziwiać w ołtarzu głównym katedry w Pelplinie. Wiele wskazuje na to, że choć rodzina pozbawiła ją podstawowego wykształcenia, to jednak dzięki sile ducha i indywidualnej pracy stała się intelektualistką o głębokim życiu kontemplacyjnym, które potrafiła połączyć z życiem aktywnym.

Dzieło Magdaleny Mortęskiej doznało gwałtownego uszczerbku w czasie wojny szwedzkiej 1626–1629. Dobra klasztorne zostały doszczętnie splądrowane, a siostry musiały uchodzić przed napastnikami i schroniły się w Bydgoszczy. Po zawarciu rozejmu w Altmarku Mortęska powróciła do Chełmna i zajęła się energicznie odbudową. Nie dane jej jednak było dokończyć dzieła. Zmarła 15 lutego 1631 r. w Chełmnie „in odore sanctitatis". Jej lokalny kult zrodził się wkrótce potem. Kilkakrotnie były podejmowane próby doprowadzenia do jej beatyfikacji. Pierwsza, mało energiczna, miała miejsce zaraz po śmierci Magdaleny. Druga – w 1709 r., kolejna – w latach 40. XVIII w. W 1817 r. władze pruskie dokonały kasaty klasztoru benedyktynek w Chełmnie i Magdalena Mortęska poszła w zapomnienie. Dopiero w 2016 r. uruchomiony został formalnie jej proces beatyfikacyjny i trwa.

eprasa.pl 236a0e0c90



Na Zamku w Lublinie (na zdjęciu stan w 1939 r.) niemiecki okupant przetrzymywał zakładników. Tam zaczęła się 23 grudnia każdą dziesięciu przedstawicieli lubelskiej inteligencji

FOT. NAC

NIEMIECKIE „PRAWO ŻYCIA”

EKSTERMINACJA INTELIGENCJI LUBELSKIEJ W 1939 r.



TOMASZ PANFIL
Biuro Edukacji Narodowej IPN

„WYDAŁEM ROZKAZ..., ŻE CELEM WOJNY NIE JEST OSIĄGNIĘCIE JAKIEJŚ LINII GEOGRAFICZNEJ, ALE FIZYCZNA EKSTERMINACJA WROGÓW. OBECNIE TYLKO NA WSCHODZIE UMIEŚCIŁEM ODDZIAŁY SS TOTENKOPF, DAJĄC IM ROZKAZ NIEUGIĘTEGO I BEZLITOSNEGO ZABIJANIA WSZYSTKICH MĘŻCZYZN, KOBIET I DZIECI POLSKIEJ RASY I JĘZYKA, BO TYLKO TĄ DROGĄ ZDOBYĆ MOŻEMY POTRZEBNĄ NAM PRZESTRZEŃ ŻYCIOWĄ” – TAK W SIERPNIU 1939 r. DEFINIOWAŁ SWOJE CELE ADOLF HITLER

Realizację planu wyniszczania rozpoczęli Niemcy 1 września przed świtem, gdy zbombardowali zupełnie niebroniony Wieluń, potem Sulejów. Obłąkańczą koncepcję prowadzenia wojny – czy raczej wyniszczania narodu polskiego – rozwijał generał Luftwaffe Albert Kesselring w przemówieniu do absolwentów szkół lotniczych: „Krążąc nad miastami i polami wroga, winniście zdławić w sobie wszelkie uczucia. Musicie powiedzieć sobie, iż istoty, które widzicie, nie są ludźmi. Ludźmi są bowiem tylko walczący Niemcy”.

Gdy w desperackich walkach wykruszały się polskie skromne siły powietrzne, „nadludzie” z Luftwaffe bezkarnie krążyli nad miastami i wioskami, siejąc śmierć i zniszczenie. Niemiecki pilot Pohl tak opowiadał o swych uczuciach: „W drugim dniu wojny z Polską miałem zrzucić bomby na stację w Poznaniu. Osiem z 16 bomb spadło na miasto, pomiędzy domy, nie podobało mi się to. W trzecim dniu w ogóle się tym nie przejmowałem, a czwartego dnia sprawiało mi to przyjemność. To była nasza rozrywka przed śniadaniem – ścigaliśmy po polach pojedynczych żołnierzy, strzelaliśmy do nich z MG i zostawialiśmy leżących tam z kilkoma kulami w plecach”. Ze szczególną zaciętością atakowali Niemcy miejsca kultu – kościoły i synagogi – wiedząc, że tam zgromadzą się ludzie szukający schronienia i błagający Boga o miłosierdzie.

Niemcy miłosierdzia nie mieli: „W szpitalach zdejmujemy na gwałt wywieszone flagi Czerwonego Krzyża. Okazuje się, że Niemcy nie tylko nie oszczędzają szpitali, lecz przeciwnie – specjalnie je ostrzeliwują. Ranni zdenerwowani i zaniepokojeni dopytują się, czy już zdjęliśmy flagi z dachu” – wspominała poniedziałek 25 września Halina Regulska. Tego dnia zginęło w Warszawie 25 tys. ludzi.

Sonderfahndungsbuch

Już kilka miesięcy przed rozpoczęciem wojny Niemcy opracowali koncepcję zniewolenia Polaków i uczynienia

FOT. S.TATIANA/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl 236a0e0c90

z Polski rezerwuaru niewolniczej siły roboczej. Kluczowym elementem tego planu był zamiar dokonania swoistej dekapitacji polskiego społeczeństwa – wytępienie warstwy przywódczej, inteligencji, lokalnych autorytetów i liderów. Sowieci znali takie działania, praktykowali je w stosunku do zniewolonych nacji – nazywali to obezhołowieniem. Co najmniej od czerwca 1939 r. niemiecka agentura w Polsce – w tym dziennikarze i duchowni – przesyłała do berlińskiej centrali gestapo dane Polaków „wrogo nastawionych do Rzeszy". Z danych tych powstają Specjalne Listy Gończe dla Polski (Sonderfahndungliste Polen). W październiku z list gończych stworzono Sonderfahndungsbuch – księgę gończą. Rzecz znamienna: dziś znamy tylko zaledwie trzy egzemplarze tej księgi, lecz żadna niemiecka biblioteka ani niemieckie archiwum nie zachowały w swych zbiorach tego szczególnego zabytku.

Intelligenzaktion

Z nimi niemieckie Einsatzgruppen oraz oddziały Selbstchutzu ruszają na straszliwe łowy. Pomorskie Lasy Szpęgawskie, Lasy Piaśnickie, Doliny Śmierci bydgoska i chojnicka – tam spoczywają dziesiątki tysięcy Polaków wymordowanych w ramach oczyszczania terenów przeznaczonych na niemiecką przestrzeń życiową. W III Rzeszy słowa Führera stawały się prawem. Hitler już 7 września, w pierwszej fazie inwazji na Polskę, gdy losy wojny wciąż się ważyły, spotkał się z dowódcami policji niemieckiej działającymi na zajętych terenach, 12 września zaś na odprawie z członkami kierownictwa Niemiec w Jełowej z naciskiem nakazywał zniszczenie polskiej warstwy przywódczej, do której zaliczył duchowieństwo i szlachtę.

Wiernym wykonawcą poleceń Hitlera był prawnik Hans Frank. To on 26 października 1939 r. objął stanowisko generalnego gubernatora na okupowanych ziemiach Rzeczypospolitej, na których utworzono Generalne Gubernatorstwo. Hans Frank z energią przystąpił do dzieła planowego wyniszczania inteligencji polskiej. Narzędziem miały być sądy doraźne utworzone rozporządzeniem z 31 października: za wszelkie akcje wymierzone w okupantów miały orzekać one tylko jedną karę – karę śmierci. Specjalnie dla polskiej inteligencji w grudniu 1939 r. utworzono filię obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Znajdowała się ona w austriackiej miejscowości Gusen. Obóz ten Niemcy nazywali Vernichtungslager fur die polnische Intelligenz – Obóz Wyniszczenia dla Polskiej Inteligencji. Trafiali tam przedstawiciele polskich elit aresztowani w ramach Akcji AB, czyli Außerordentliche Befriedungsaktion – Nadzwyczajnej Akcji Pacyfikacyjnej.

20 czerwca 2001 r. na ul. Kalinowszczyzna w Lublinie odsłonięto pomnik upamiętniający dziesięciu wybitnych Polaków rozstrzelanych przez Niemców 23 grudnia 1939 r.



Bo żywią i nauczają

Niemieccy nazistowscy planiści pracujący nad koncepcjami imperialnej Rzeszy wciąż zwracali uwagę na Lubelszczyznę. Początkowo chciano tu przesiedlać Żydów z innych ziem zagarniętych przez III Rzeszę. Później widziano ją w roli prowincji pogranicznej i planowano budowę umocnień obronnych. Wreszcie doceniono żyzność tutejszych ziem, znaczącą obecność niemieckich kolonistów i postanowiono uczynić z tych terenów obszar osadnictwa dla Niemców, głównie z terenów ZSRS. Najpierw jednak trzeba było zabić, zastraszyć i wysiedlić Polaków. Roli tej z zapałem podjął się Austriak Odilo Globocnik, mianowany przez Himmlera szefem SS i policji na dystrykt lubelski. Stanowisko swe Globocnik objął 9 listopada i natychmiast ruszył do akcji – jeszcze tego samego dnia na ulicach Lublina aresztowano ok. 2 tys. ludzi, którzy jako zakładnicy trafili do więzienia na lubelskim Zamku. Wśród nich znaleźli się rektor KUL, ks. prof. Antoni Szymański, nauczyciele zwabieni zaproszeniem na naradę, lubelscy prawnicy.

O wyjątkowości Lublina decydowała nie tylko żyzność okolicznych ziem, lecz także istnienie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, promieniującego na cały kraj nauką uprawianą na tradycyjnych katolickich podstawach. W centrum nauki katolickiej był człowiek obdarzony przyrodzoną i niezbywalną godnością dziecka Bożego i z niej wynikającymi prawami naturalnymi: prawem do życia, prawem do wolności, prawem do dążenia do szczęścia. Nauka katolicka osadzona była na mocnym fundamencie moralności i etyki chrześcijańskiej. W przepiękny sposób zasady te przenosił na grunt prawa Czesław Martyniak, najmłodszy profesor prawa w Rzeczypospolitej, kierownik Katedry Filozofii Prawa. Opierając się na »

» św. Tomaszu z Akwinu, Martyniak definiował prawo jako rozumowy system, którego celem winno być dobro powszechne, wprowadzane przez rządzących poprzez nakazywanie czynności dobrych, a zabranianie złych. Refleksje swe prof. Martyniak ujął w formule, że „nie może być prawem dozwolone to, co jest moralnie naganne".

Pierwsze mordy

W polskie święto niepodległości, 11 listopada, Globocnik ponownie uderzył w lubelską inteligencję, aresztowano kolejne setki osób, z profesorami KUL włącznie. Dwa dni później, w odwecie za śmierć niemieckiego kolonisty, Niemcy dokonali pierwszej masowej egzekucji. Rozstrzelano mieszkańców wsi Siedliszcze – wśród nich byli lokalni przywódcy: proboszcz, wójt, nauczyciel, poważani rolnicy.

Spirala niemieckiego terroru rozkręcała się z dnia na dzień: w połowie listopada rozstrzelano wojewodę lubelskiego Jerzego de Tramecourta, 17 listopada żandarmi wpadli do lubelskiej Kurii i pod absurdalnym zarzutem posiadania broni aresztowali obu biskupów – ks. Mariana Fulmana i ks. Władysława Gorala. Sąd doraźny skazał ich na karę śmierci, którą – w drodze „łaski" – Hans Frank zamienił na dożywotnie więzienie. Biskup sufragan Władysław Goral przewieziony do KL Sachsenhausen przez ponad pięć lat trzymany był w pojedynczej betonowej celi. Został rozstrzelany w lutym 1945 r. Biskup Fulman doczekał wyzwolenia obozu, lecz lata w nim spędzone zniszczyły całkowicie jego zdrowie – zmarł w grudniu 1945 r. w Lublinie.

Krwawa Wigilia

Sądy doraźne wydawały wyroki śmierci jeden za drugim, ale i tego było Niemcom nie dość. W sobotni wieczór 23 grudnia z cel Zamku żandarmi ze 102. batalionu policji wywlekli 10 osób. Aresztanci na Zamku szykowali się do więziennej kolacji wigilijnej: w tym niezwykłym bowiem roku Wigilia przypadała nie 24 grudnia – była to bowiem niedziela – lecz zgodnie z prawem kanonicznym, właśnie w sobotę. Ustawiona przez Niemców na dziedzińcu Zamku choinka jawiła się jak okrutna ironia... Na pakę czekającej na dziedzińcu ciężarówki, przy wtórze przekleństw i uderzeń kolbą, wepchnięto dwóch sędziów, prezesów sądów – Stanisława Bryłę, prezesa Sądu Okręgowego, i Bolesława Sekutowicza, prezesa Sądu Apelacyjnego, dwóch adwokatów – Edwarda Lipskiego i Władysława Rutkowskiego, dwóch starostów: lubartowskiego Tadeusza Illukiewicza i lubelskiego Józefa Dańkowskiego, dwóch dyrektorów lubelskich gimnazjów: Antoniego Krzyżanowskiego i Tadeusza Moniewskiego, i wreszcie dwóch wykładowców KUL: Czesława Martyniaka i ks. Michała Niechaja.

HANS FRANK Z ENERGIĄ PRZYSTĄPIŁ DO DZIEŁA PLANOWEGO WYNISZCZANIA INTELIGENCJI POLSKIEJ

Do grupy dołączono dwóch więźniów kryminalnych. Więźniowie mogli myśleć, że zostaną uwolnieni, nie zabrano im niczego, sędzia Bryła i profesor Martyniak byli w futrach, inni w płaszczach, mieli zegarki i portfele...

Podróż nie była długa: z Zamku na uliczkę Sienną, biegnącą pod południowym murem starego kirkutu, jest w linii prostej kilkaset metrów. Ciężarówka musiała jechać okrężną drogą – o tyle dłużej trwało życie jej przymusowych pasażerów. Przy stojącej na Siennej kamienicy, ostatniej z szeregu, czekała już grupa żandarmów z kaemem ustawionym niemal na podwórzu. Czekał też dół wykopany wcześniej przez innych więźniów. Nowo przybyli widzieli go wyraźnie w świetle samochodowych reflektorów. Znów w ruch poszły kolby karabinów, Polaków ustawiono na krawędzi dołu, przed oczyma mieli czerwone cegły cmentarnego muru. Dowódca 2. kompanii 102. batalionu szczeknął krótką komendę, kaem wypluł długą serię...

Tej samej nocy, w Lubartowie, bandyci w mundurach tego samego 102. batalionu rozstrzelali 48 mieszkańców podlubelskich wsi. Ich winą było manifestowanie uczuć patriotycznych w Święto Niepodległości.

Dowódca 102. batalionu wyjaśniał później, że zakładników wybrano przypadkowo, a ich rozstrzelanie było spontaniczną – sąd doraźny nie miał bowiem okazji zająć się „winą" owych dziesięciu Polaków – reakcją żołnierzy na śmierć wachmistrza z batalionu. Czy ktokolwiek, widząc staranność i z góry powzięty zamysł doboru składu grupy rozstrzelanych inteligentów, może uwierzyć w takie tłumaczenie? Uwierzyć Niemcowi, zbrodniarzowi?

Prawdziwie barbarzyńsko

2 października 1940 r. Adolf Hitler spotkał się z Hansem Frankiem. Martin Bormann w swych notatkach z tego spotkania zanotował następującą wypowiedź: „Führer musi podkreślić jeszcze raz, że dla Polaków może być tylko jeden pan i jest nim Niemiec, dwóch panów obok siebie nie może być i nie ma na to zgody, dlatego wszyscy przedstawiciele polskiej inteligencji mają zostać zabici. To brzmi twardo, ale takie jest prawo życia". Prawo życia wedle niemieckiej wykładni oznaczało śmierć dla Polaków.

W czasie zamordowania dziesięciu z Lublina, 48 spod Lubartowa, a w następnych miesiącach i latach kolejnych setek, tysięcy i milionów Polaków oraz obywateli Rzeczypospolitej, Niemcy były sygnatariuszem IV konwencji haskiej. Ta zaś w art. 43 mówiła, że „Z chwilą faktycznego przejścia władzy z rąk rządu legalnego do rąk okupanta, tenże poweźmie wszystkie będące w jego mocy środki, celem przywrócenia i zapewnienia, o ile to jest możliwem, porządku i życia społecznego, przestrzegając, z wyjątkiem bezwzględnych przeszkód, prawa obowiązujące w tym kraju". Artykuł 46 zaś stanowił, że „Honor i prawa rodzinne, życie jednostek i własność prywatna, jak również przekonania religijne i wykonywanie obrządków religijnych, winny być uszanowane".

I smutna konstatacja na koniec: doczesne szczątki Dziesięciu wciąż pozostają w dole śmierci. Pytanie, czy jest to ten sam dół pod murem, do którego upadły ich ciała posieczone kulami niemieckich zbrodniarzy? Istnieje też podejrzenie, że po jednej z wizyt Hansa Franka w Lublinie ciała ofiar wigilijnej masakry ekshumowano i przeniesiono na któryś z cmentarzy. Odnajdujemy polskich żołnierzy mordowanych przez komunistów w latach 1944–1956. Pora wrócić również po tych, którzy byli przyszłością Polski, przyszłością unicestwioną przez Niemców.

eprasa.pl 236a0e0c90

O LIKWIDATORACH Z KONTRWYWIADU

WRAZ Z ROZPOCZĘCIEM W TVP1 EMISJI SERIALU HISTORYCZNEGO „LUDZIE I BOGOWIE" NA NOWO POWRÓCIŁO ZAINTERESOWANIE DZIAŁALNOŚCIĄ ODDZIAŁU 993/W KONTRWYWIADU ODDZIAŁU II KG AK ORAZ SAMYMI LIKWIDATORAMI ZAJMUJĄCYMI SIĘ W OKRESIE WOJNY WYKONYWANIEM WYROKÓW NA ZDRAJCACH

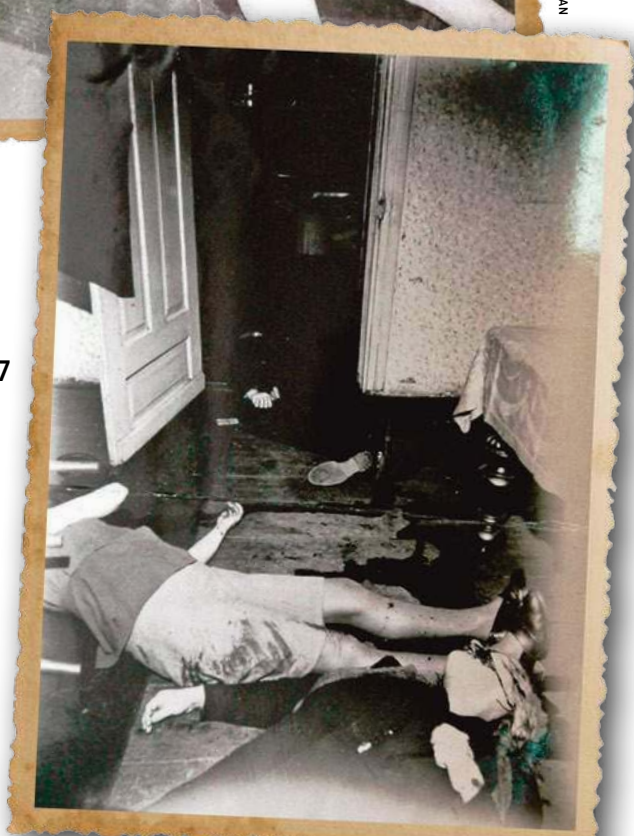


MARIUSZ OLCZAK





FOT. AAN



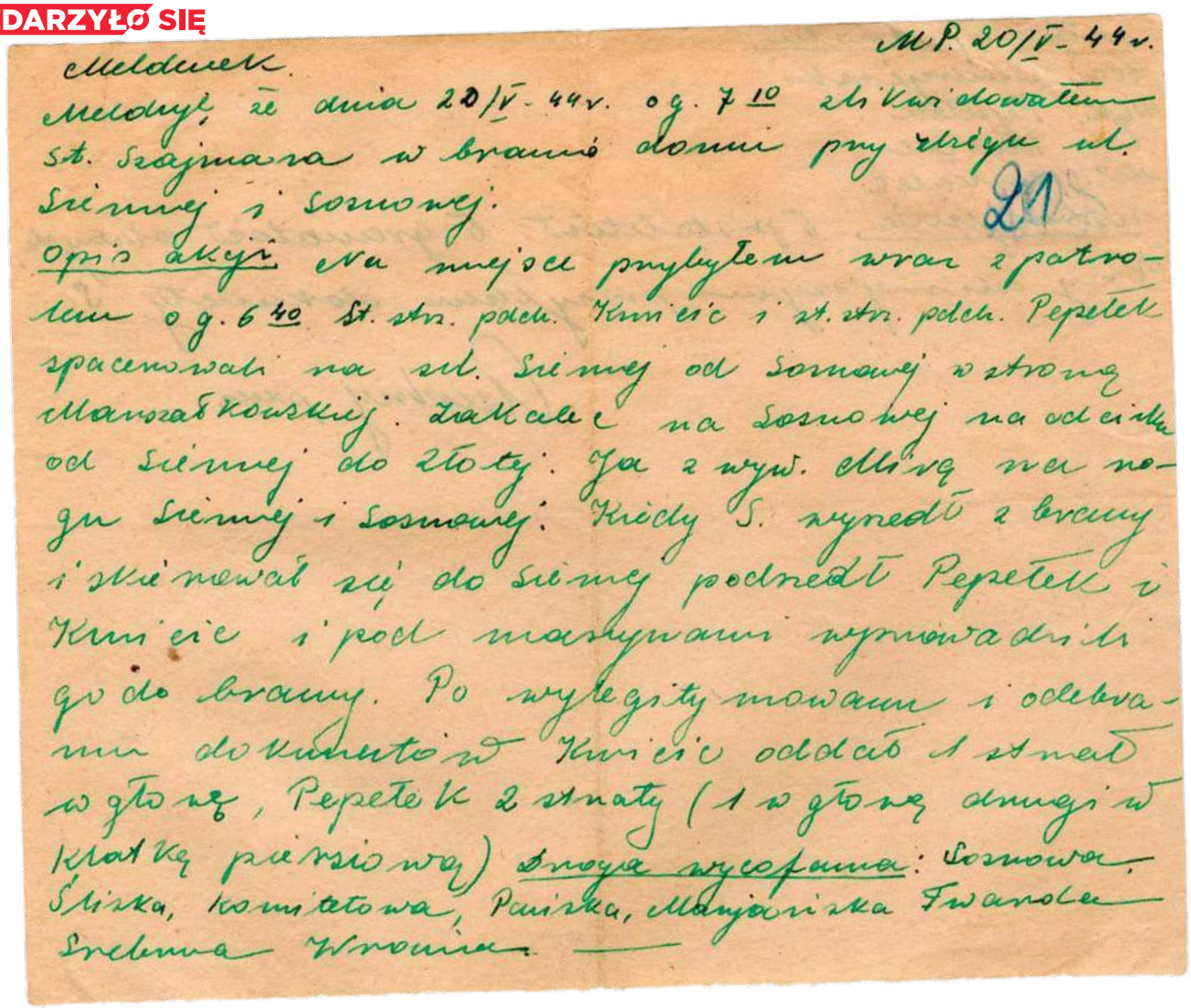
Unikatowe fotografie wykonane po likwidacji w lokalu Stanisławy Zalewskiej, w marcu 1944 r. przy ul. Szarej 6 m. 7 w Warszawie

Filmowy oddział „Pazur" to właśnie Wapiennik, 993/W, a wiele postaci, akcji, wydarzeń przedstawionych jest na kanwie jego działalności. Nie będę tutaj analizował ani wyliczał różnic między tym, co rzeczywiście się wydarzyło, i co zostało zekranizowane. „Ludzie i bogowie" to nie jest film dokumentalny i należy go oceniać w kategoriach sztuki filmowej, nie zaś pracy historycznej. Osobiście uważam serial w reżyserii Boda Koxa za udany.

Stan badań

W artykule nie opiszę na nowo znanych akcji oddziału 993/W, ale skieruję wzrok w stronę niektórych mało lub w ogóle nieznanych kart z wojennej i powojennej historii 993/W i jego dowódców. Ktoś może zapytać, dlaczego dotychczas nieznanych. Otóż wbrew pozorom, podobnie jak w przypadku wielu innych oddziałów Armii Krajowej, historia tej formacji nie doczekała się wnikliwej naukowej monografii. Na szczęście znaleźli się autorzy, którzy w ogóle poruszyli ten temat: powstaniec warszawski i badacz losów żołnierzy Juliusz Kulesza oraz nieżyjący już nieodżałowany historyk okresu napoleońskiego i AK dr Robert Bielecki. Opublikowali oni w 1996 r. bardzo dobrą, popularnonaukową książkę „Przeciw konfidentom i czołgom. Oddział 993/W Kontrwywiadu Komendy Głównej AK i batalion AK »Pięść« w konspiracji i Powstaniu Warszawskim 1944 roku", która do dzisiaj jest jedynym i cieszącym się »

eprasa.pl 236a0e0c90



Meldunek.
Melduję że dnia 20/V-44 r. o g. 7 10 zlikwidowałem
St. Szajmana w bramie domu przy zbiegu ul.
Siennej i Sosnowej.
21
Opis akcji. Na miejsce przybyłem wraz z patro-
lem o g. 6 40 St. wtm. polek. Kwieć i wt. wtm. polek. Pepetek
spacerowali na ul. Siennej od Sosnowej w stronę
Marszałkowskiej. Zlokalizowałem na Sosnowej na odcinku
od Siennej do Złotej. Ja z wyw. stoję na no-
gu Siennej i Sosnowej. Kiedy S. wyszedł z bramy
i skierował się do Siennej podszedł Pepetek i
Kwieć i pod maszynami wprowadzili
go do bramy. Po wylegitymowaniu i odebra-
niu dokumentów Kwieć oddał 1 strzał
w głowę, Pepetek 2 strzały (1 w głowę drugi w
klatkę piersiową) Swoją wycofaną: Sosnowa,
Ślizka, komitetowa, Pawiska, Majdanka Iwanowa
Srebrna Wronia.

Meldunek Andrzeja Zawadzkiego ps. Andrzejewski z 20 maja 1944 r. z likwidacji St. Szajmara u zbiegu ul. Siennej i ul. Sosnowej w Warszawie

» uznaniem opracowaniem dziejów 993/W – „Pięści" i ich żołnierzy. Kilka lat temu odnalazłem maszynopis „Pamiętników żołnierzy Baonu »Pięść«", które opracował również likwidator 993/W Andrzej Zawadzki ps. Andrzejewski. Ukazały się one następnie w 2016 r. drukiem wraz ze wstępem i z bogatą ikonografią. Poza nimi jest kilka edycji wspomnień poszczególnych żołnierzy oddziału. Książka Kuleszy i Bieleckiego była pierwszym krokiem do opisu historii oddziału 993/W. Obecnie przy pełnym dostępie do źródeł znajdujących się w IPN i WBH oraz nowych archiwów prywatnych żołnierzy oddziału, jak i ich relacji można znacznie uzupełnić opis jego historii.

Nowe źródła

Na pewno warto przeanalizować w zasadzie kompletnie zachowaną (sic!) dokumentację finansową, dzięki której znamy większość zakupów dokonywanych na potrzeby wykonywanych akcji, wynajmowanych lokali konspiracyjnych, ich wyposażenia, skrytek, numerów używanej broni, numerów maszyn do pisania, używanych samochodów itd. Zdarzają się też mniejsze wydatki, których odnotowanie było już konspiracyjną, ale niezbędną, buchalterią. Dokumentacja ta, czyli rachunki, zestawienia, kwity, sporządzana była i zachowała się w tak dużym stopniu szczegółowości, że opisuje nawet najdrobniejsze wydatki poszczególnych żołnierzy w postaci np. używanej odzieży czy toreb do przenoszenia broni. Wszystkie one są jednak istotne przy analizie akcji oddziału. Znamy dokumentację poszczególnych „spaleń" żołnierzy 993/W i związane z tym wydatki dotyczące zmian lokali, przygotowywania dla nich mieszkań na wsi, nowych kontaktów i innych zdarzeń. Często wydatkowane zapomogi udzielane żołnierzom przedstawiają jednostkowe historie codziennych, życiowych problemów likwidatorów, którzy – pamiętajmy – byli, jak można powiedzieć współczesnym językiem, zatrudnieni na pełnym etacie i otrzymywali uposażenie z kasy kontrwywiadu KG AK. Zachowały się kolejne listy płac żołnierzy z 993/W. Dla porównania w styczniu 1944 r. „Twardy" otrzymywał 2,7 tys. zł, „Prawy", „Naprawa", „Zadra", „Andrzejewski" po 2,3 tys., a liniowi żołnierze po 900 zł. W sumie budżet płacowy oddziału wynosił wtedy 70,8 tys. zł. Co ciekawe, zarobki łączniczek i wywiadowczyń zostały wyrównane do sumy 900 zł, choć początkowo kwota ich uposażeń wynosiła jedynie 450 zł. Pomagano także w przypadku chorób i rekonwalescencji potrzebnej po odniesieniu ran. Ciekawym przypadkiem jest tu zmarła nie tak dawno Danuta Hibner ps. Nina, ppor. AK, uczestniczka akcji Za Kotarą, za co otrzymała od dowódcy

eprasa.pl 236a0e0c90



Szef 29/K.G.

Rozkazem Nr. 113/BP z dn. 20 X b.r. Komendant Główny S.Z. w Kraju nadał niżej wymienionym żołnierzom P.Z.P. z 29/K.G.

I. Order Virtuti Militari V klasy:

ob. Porawie ppor. rez., ob. Ninie wywiadowczyni.

II. Krzyż Walecznych po raz pierwszy:

ob. Rysiowi ppor. rez., Krukowi plut. pchor., Zadrze sierż., Zofii - wywiadowczyni, Sokołowi strzelcowi.

Krzyż Walecznych po raz drugi:

ob. Szlakowi i Doktorowi kapralom.

Odwrotnie podajcie nazwiska rodowe i rok urodzenia.

Szef II BP.

26/X

Meldunek Antoniego Sanojcy ps. Kortum z 26 października 1943 r. z informacją o nadaniu odznaczeń żołnierzom 993/W po likwidacji Józefa Staszauera w akcji w lokalu „Za Kotarą"

AK Krzyż Virtuti Militari rozkazem z 20 października 1943 r. Otóż „Nina" została podczas tej akcji ciężko ranna w łokieć, przez co do końca życia była inwalidką, mając unieruchomioną rękę. Została potem wyeliminowana ze służby, jednak swoje nadal przysługujące jej uposażenie 450 zł przekazała filantropijnie „bardziej potrzebującym kolegom". Sama „Nina" otrzymała zresztą pomoc od oddziału na leczenie. Listy wydatków świątecznych dla żołnierzy pokazują nam z kolei dokładne składy osobowe poszczególnych plutonów. Dowództwo dzięki innym zestawieniom znało rodziny i osoby będące na utrzymaniu poszczególnych żołnierzy.

Ciekawe nowe informacje dotyczą zlikwidowanych przez oddział osób. Zachowały się bowiem dokumenty zdrajców zlikwidowanych przez 993/W. Co ważne – tych, których dotychczas nie podawano w wykazie zleconych likwidacji. Bliska wyjaśnienia jest również sprawa zidentyfikowania ppor. „Rysia", która w historii oddziału 993/W jest jedną z podstawowych zagadek z uwagi na jego wysoką funkcję w oddziale. Odnalazłem meldunek z zaszyfrowanym nazwiskiem „Rysia", podobnie wyjaśniła się sprawa przyczyn jego odejścia z oddziału. Wiemy, kiedy się urodził i skąd pochodził. W opinii o nim napisano: „ppor. rez. piechoty nom. 1936 r., przydział wojenny 58 pp. W konsp. od III 1941 w Obwodzie Mielec, od maja 1942 d-ca patrolu boj. w 993/W. Opinia: odważny, zdecydowany, uczciwy".

Likwidacje

Wystarczy spojrzeć na zachowane zestawienia chronologiczne różnych komórek AK, NSZ, PKB, a nawet GL, żeby się zorientować, że w Warszawie codziennie na ulicach ginęło nie tylko z rąk niemieckich wielu ludzi. Raporty policyjne pełne są informacji o zabiciu konkretnych osób, a raporty z Zakładu Medycyny Sądowej przy ul. Oczki zawierają opisy zwłok z ranami postrzałowymi, kłutymi i innymi. Oczywiście wiele z nich to typowe zabójstwa kryminalne, jednak z opisu okoliczności tych śmierci łatwo dojść do przekonania, że są one wynikiem działalności takich lub innych oddziałów likwidacyjnych albo dywersyjnych. Nie wszystkie akcje zostały odnotowane pomimo utrzymywanej dyscypliny i ponoszonej odpowiedzialności za samowolki. Tzw. wyroki prewencyjne, które według konspiracyjnych przepisów mógł zlecać funkcyjny od poziomu komendanta obwodu, miały miejsce w przypadkach, które groziły nagłą dekonspiracją, zagrożeniem struktur, niebezpiecznym dla dowództwa rozwojem sytuacji i w innych podobnych. Nie wszystko można było przeprowadzić tak jak w warunkach pokoju. Niemożliwa była normalna rozprawa sądowa z udziałem stron, prokuratora i obrońcy oraz składu sędziowskiego. Trzeba było przystosowywać rozprawy do warunków konspiracyjnych. To powodowało uproszczenie, przyśpieszanie procedur, które i tak w nagłych momentach stawały się zbyt wolne.

W oryginalnych dokumentach struktur AK pozostało stosunkowo niewiele śladów likwidacji prewencyjnych. Dla mnie dwa najbardziej klasyczne przypadki z najwyższego szczebla dowódczego to te dotyczące „Tekli" Borkowskiej i żony Jana Sawki ps. Zdzisław. W jednym przypadku dowódca Armii Krajowej Tadeusz Komorowski ps. Bór musiał działać w bezwzględny sposób, bo przecież czasy były bezwzględne. W rękopiśmiennym rozkazie z 8 lipca 1944 r. skierowanym do Oddziału II KG AK poinformował on, że uzgodnił z Delegatem Rządu RP wydanie współpracującej z gestapo aresztowanej wcześniej maszynistki i łączniczki Wydziału Informacji Oddziału VI KG AK Janiny Borkowskiej ps. Tekla. Bór napisał dalej, że: „Należy ją bezzwłocznie zlikwidować w sposób taki, by nie pozostał ślad i by o tym nikt nie wiedział, bo w przyszłości nikt by się więcej nie przyznał, gdyby wiedział, jaki koniec jest w takim przypadku. Doniesienie do sądu przedstawić dodatkowo, a likwidację wykonać bezzwłocznie, nie czekając na wyrok. Poleccie pilnować, by przy przeprowadzaniu nie uciekła ani nie zrobiła alarmu. Trzeba całą sprawę dobrze zorganizować". Widać tutaj zdecydowanie i pośpiech. Przypadek drugi dotyczył, co ciekawe, także wsypy w Oddziale VI KG AK i rozkazu wydanego przez Jana Rzepeckiego ps. Prezes. 24 kwietnia 1944 r. na zlecenie Rzepeckiego został najpierw zlikwidowany prewencyjnie oskarżony o zdradę kierownik drukarni nr 4 Jan Sawko ps. Zdzisław. Zlikwidował go »

eprasa.pl 236a0e0c90

» oddział „Podkowa" dowodzony przez cichociemnego Bolesława Kontryma ps. Żmudzin. Sawko został skazany na karę śmierci za współpracę z gestapo wyrokiem z 15 czerwca 1944 r. Akta sprawy WSS zachowały się do dzisiaj. Jak ważna to była sprawa i jak brutalny to był czas, niech świadczy bezpośrednie zlecenie krótko potem również przez Rzepeckiego prewencyjnej likwidacji partnerki Sawki. „Powinna być zlikwidowana, mimo że jeszcze nie ma nic na sumieniu" – napisał Rzepecki do WSS. Pamiętajmy również o sytuacjach związanych z likwidacjami, kiedy wobec pojawienia się niespodziewanych świadków podejmowano ad hoc decyzje o ich zabiciu, a to z uwagi na bezpieczeństwo wykonujących wyroki. Było tak choćby podczas akcji likwidacyjnej grupy Lolka Skosowskiego czy akcji na Kronenberżankę. Może to obecnie szokować czytelników wychowanych od kilku pokoleń w warunkach pokojowych, jednak w wojennej codzienności, przy codziennym terrorze, codziennym widoku śmierci, wreszcie nieustannym niebezpieczeństwie, ta bardzo niska cena życia była elementem rzeczywistości. Miało to też niewątpliwy wpływ na decyzje likwidatorów.

Wiele niewiadomych

Opisując i oceniając konspiracyjne wydarzenia związane z likwidacjami, należy zachować szczególną ostrożność w ostatecznym ich wartościowaniu i puentowaniu. W przypadku jednych spraw, w których zachowały się akta śledcze i procesowe, można to zrobić dość łatwo i wiarygodnie. Są natomiast sprawy, które do dzisiaj budzą kontrowersje, a także takie, w których z braku źródeł nie można ostatecznie wydać oceny w sytuacji, kiedy pragnie się kogoś po latach uniewinnić lub oskarżyć. Taką sprawą dla mnie jest np. znana sprawa Stanisława Jastera. Mimo publikacji, pojawiania się wielu nowych analiz czy zbicia niektórych obciążających go relacji, nadal brak przekonujących dla mnie dowodów mówiących nam, kiedy, z czyjej ręki i za co zginął lub został zlikwidowany. Nie wiemy na dobrą sprawę, czy zginął z rąk polskich czy niemieckich. Nie mamy podstawowych, wiarygodnych informacji związanych z jego śmiercią, a już zdążono nazwać tę śmierć „ofiarą domniemanej pomyłki Polskiego Państwa Podziemnego" czy „największą pomyłką PPP". Nic na ten temat nie wiemy. Uważam, że w takiej sytuacji lepiej zachować ostrożność i nie brązowić postaci, nawet jeśli za tym idą jak najlepsze intencje. Co wówczas, kiedy nagle odnajdziemy nowe źródła? Miałem okazję rozmawiać z kilkunastoma żołnierzami AK wykonującymi likwidacje zarówno z Kedywu, jak i kontrwywiadu. Kilku z nich zgodziło się nawet nagrać relacje o wykonywanych wyrokach. Ten podziemny świat pełen zagrożeń, napięcia, ryzyka generował najrozmaitsze sytuacje, które trudno było ograniczyć stosowanymi wówczas regulaminami i dyscypliną. Niektóre relacje były wstrząsające, szczególnie te pierwsze likwidacje, pełne ciężkich przeżyć, które zapamiętali do końca życia. Rozmowy z Antonim Sheybalem, Gustawem Budzyńskim czy Lucjanem Wiśniewskim uważam za najcenniejsze.

OBECNIE MOŻE TO SZOKOWAĆ CZYTELNIKÓW, JEDNAK W WOJENNEJ RZECZYWISTOŚCI TA BARDZO NISKA CENA ŻYCIA BYŁA ELEMENTEM CODZIENNOŚCI. MIAŁO TO TEŻ NIEWĄTPLIWY WPŁYW NA DECYZJE LIKWIDATORÓW

Inwigilacja i manipulacja

Żołnierze 993/W, tak jak samego kontrwywiadu KG AK, byli w PRL w obszarze szczególnego zainteresowania komunistycznych służb. Wielu z nich było nękanych i inwigilowanych jeszcze w latach 70. i 80. Niestety niektórych ich dowódców zmuszono do współpracy z reżimem. Przykładem niech będzie choćby sam dowódca Kontrwywiadu KG AK Bernard Zakrzewski ps. Oskar. Nie wiem, co wydarzyło się w budynku MBP, że 30 stycznia 1947 r. wobec płk. Czaplickiego napisał własnoręcznie zobowiązanie do współpracy: „Zobowiązuję się wobec ppłk. Czaplickiego do współpracy z organami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Współpracę swoją rozumiem w sposób następujący. Będę się starał informować organy bezpieczeństwa o wszelkich poczynaniach środowisk wrogich demokracji, z którymi będę się stykał, będę się starał wejść w kontakt z podziemiem reakcyjnym celem wykrycia, będę się starał rozszyfrowywać szpiegów szpiegujących na rzecz ościennych państw i w tym zakresie będę wykonywać wszystkie zlecenia MBP. Celem zachowania konspiracji będę się posługiwał w stosunkach służbowych z płk. Czaplickim kryptonimem 567". W 1949 r. został jednak aresztowany przez to samo UB i skazany na 15 lat więzienia. Sprawa „Oskara" na pewno czeka na dokładną analizę. Aresztowany został przez UB również zastępca „Oskara" Stefan Ryś ps. Fischer, któremu bezpośrednio podlegał oddział 993/W. Żołnierze 993/W byli niestety również obiektem manipulacyjnego ataku już w wolnej Polsce. Nie inaczej trzeba ocenić publikacje i wynurzenia duetu Wójcik–Marat w wydawałoby się a prima vista upamiętniającej żołnierzy 993/W książce „Ptaki drapieżne". W publikacji tej nie tylko zaprezentowano wiele niepotwierdzonych „faktów", lecz i wykorzystano w pewnym sensie zasłużonego żołnierza tego oddziału Lucjana Wiśniewskiego ps. Sęp do ataku na całą Armię Krajową.

4 października br. na Powązkach Wojskowych w Warszawie odsłonięto odnowioną kwaterę batalionu „Pięść". Było to dla tego środowiska miejsce szczególne, w którym spotykali się oni od zakończenia wojny, a które podobnie jak inne kwatery powstało z dużą zasługą Jana Mazurkiewicza ps. Radosław. Spotkania były zaś formą publicznego niesienia pamięci o oddziale mimo przeszkód, jakie stwarzała w PRL „komuna". Nadal potrzebna jest praca nad identyfikacją umieszczonych w kwaterze pseudonimów żołnierzy 993/W i „Pięści". Nie tylko „Ryś" nie został zidentyfikowany. Nie pozwólmy, aby przez następne dziesięciolecia niektórzy bohaterscy żołnierze tego oddziału pozostali bezimienni.

eprasa.pl 236a0e0c90

„ŚWIECA WDZIĘCZNOŚCI”

Z JOLANTĄ TOMIRĄ WOLSKI o jej tacie Henryku Zelickim, środowisku polonijno-żydowskim w Australii, Polakach ratujących Żydów rozmawia prezes Towarzystwa Naukowego Australii, Nowej Zelandii i Oceanii dr Dariusz Zdziech



Jolanta Wolski

studiowała politykę i filozofię na Manash University w Melbourne, jest dziennikarką, tłumaczem. Jest autorem i kuratorem dużych wystaw na temat Polaków w Australii „Orły w Krainie Kangurów" i „Polskie Gwiazdy pod Krzyżem Południa", która w wersji angielskiej podróżowała po Australii. Za swoją wieloletnią działalność na rzecz Polski i australijskiej Polonii została uhonorowana przez władze australijskie Orderem Australii, a przez Rzeczpospolitą Polską Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

Twój ojciec urodził się w Radoszycach. Czy wiesz coś o jego dzieciństwie, o jego rodzicach?

Jolanta Tomira Wolski: Niestety nic... Tata nie mówił wiele o swoim życiu, tak jakby chciał przeszłość zostawić za sobą i nie obarczać nią swoich dzieci. Gdzieś chodzi mi po głowie, że mieli interes z rowerami, ale pewności nie mam. Tata ciepło wspominał swoją starszą siostrę Esterę. Wiedziałam, że miał też dwóch braci, ale nie pamiętam, by o nich mówił, o rodzicach też nie. Cała czwórka urodziła się w Radoszycach, jak również taty mama, choć nie znalazłam jej metryki urodzenia. Natomiast z metryki urodzenia dziadka wiem, że urodził się w Przedborzu.

Kiedy tata opuścił Radoszyce?

Nie wiem. Tata nigdy nie mówił, a ja byłam mało przewidująca i nie pytałam wtedy, kiedy powinnam była. Wówczas unikałam jak ognia wszystkiego, co było związane z wojną.

Pamiętam tylko, jak tata mówił, że jego rodzice zginęli na jego oczach, a ja sobie dopowiedziałam, że byli rozstrzelani. Jednak wtedy nie wiedziałam, że w Radoszycach było getto i że z niego Niemcy wysyłali Żydów do Treblinki. Dopiero 12 lat temu zaczęłam szukać śladów po rodzinie taty i próbowałam skleić jakąś możliwie prawdopodobną wersję wydarzeń. Teraz sądzę, że byli wysłani do Treblinki. Moja babcia, mama mojej mamy, ponoć mówiła, że przez to, iż kapo wysłał tatę po coś, to tym uratował mu życie. Ale to też informacje z trzeciej ręki, nie wiem, na ile są prawdziwe. Niestety tata stracił całą rodzinę – bliższą i dalszą podczas wojny.

Pisałam do Muzeum w Treblince i w Majdanku, ale nie mieli dokumentacji o rodzinie taty.

Czy opowiadał komuś o swoich losach podczas II wojny światowej?

Wiem, że tata pracował w fabryce amunicji w czasie wojny. Tam Niemcy tatę mocno bili, wytłukli mu nerki, miał problemy też z wątrobą całe życie. On w tej fabryce, może więcej niż jednej, m.in. nauczył się złotnictwa. Kiedyś zrobił mi dwa pierścionki, mam je do dziś. Jeden jest małym srebrnym sygnetem z moimi inicjałami, a drugi złoty z oczkiem, chyba to kwarc.

W gminie żydowskiej w Łodzi nie mieli informacji ani dokumentacji o tacie, ale nie pamiętam, czy pytałam o Zelickiego, czy Wajmana. Wiedziałam, że zmienił nazwisko. Kiedy 12 lat temu dostałam zaświadczenie o zameldowaniu rodziny w Łodzi przed wyjazdem do Australii, znalazłam na tym piśmie imiona rodziców taty. To było niesamowite odkrycie! I to zapoczątkowało moje poszukiwania. Tata nie mówił, dlaczego i kiedy zmienił nazwisko na Zelicki. Nie wiem też, skąd ono pochodzi.

Czy tata opowiadał, jak Polacy go uratowali?

Mnie nie mówił, i chyba nikomu innemu również nie, parę lat temu pytałam ks. Wiesława Słowika w Melbourne. On tylko pamiętał, że tata mówił, iż zakonnice mu pomogły.

Tata nie wydawał się być religijny. Nigdy nie obchodziliśmy żydowskich świąt. Obchodziliśmy katolickie święta w domu, bo mama była katoliczką.

Tata znał hebrajski, pamiętam, jak byłam bardzo mała, zaczął mnie uczyć hebrajskiego – ale ja to takie „pięć minut” i nic dziś nie pamiętam. Uwielbiał muzykę klasyczną i operę, czytał filozoficzne książki. Poza tym zajmował się trochę naturoterapią.

Jak tata znalazł się w Łodzi po wojnie? Czym się zajmował? Kiedy poznał twoją mamę?

Nie wiem, przypuszczam tylko, że albo poznał kogoś z Łodzi w czasie wojny, albo dlatego, że Łódź była mniej zniszczona, wielokulturowa i łatwiej było o pracę. Poza tym jego cała rodzina wyginęła podczas wojny, Radoszyce były w dużej mierze spalone przez Niemców, jego dom też chyba był zniszczony, więc nie miał do czego wracać. Ale to są tylko moje przypuszczenia.

Moja mama urodziła się w Łodzi. Tata poznał mamę przez jej ciotkę, ale w jakich okolicznościach, nie wiem. Tata miał warsztat dziewiarski w Łodzi – nie wiem, czy zarejestrowany, bo pamiętam, że zawsze był strach, jak ktoś pukał do drzwi, i mama zawsze się denerwowała. Przed wyjazdem do Australii mieszkaliśmy na Narutowicza 56, blisko gmachu opery. Dziś mieszkanie stoi puste po pożarze sprzed kilkunastu lat. »

eprasa.pl 236a0e0c90



» ***Skąd pomysł wyjazdu z PRL?***
Pamiętam, że mówiło się w domu, iż tata starał się o paszport przez osiem lat, aż w końcu w 1960 r. dostaliśmy. Sądzę, że tacie było trudno żyć w powojennej Polsce, gdzie stracił całą rodzinę, tę dalszą też. Więc był sam. Poza tym te czasy nie były łaskawe dla Żydów, nadal na pewno cierpiał i przeżywał. Dużo przykrych wspomnień, a tata był wrażliwy. No i system szpicli w komunistycznym ustroju dla osób, które usiłowały prowadzić prywatny interes, nie był łatwy, mówiąc delikatnie.

Dlaczego wyjechaliście do Australii, a nie do USA czy Brazylii?
Nie wiem dokładnie, chyba była też mowa o Ameryce. Tata próbował do kilku miejsc. Może będzie o tym coś w archiwach. W przeciwieństwie do niektórych znajomych, ani tata, ani mama nie mieli żadnej rodziny za granicą. Padło na Australię, gdyż taty znajomy miał kolegę w Australii, który z dobrego serca przysłał zaproszenie dla nas – zupełnie obcych mu ludzi. To był polski Żyd, Tadeusz Pik, jego żona była australijską Żydówką. Mieli tzw. boarding house, gdzie wynajmowali pokoje. Jechaliśmy w ciemno do Melbourne, nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, bez grosza przy duszy.

Mama nie chciała opuszczać Polski, bo obawiała się, że nigdy więcej nie zobaczy swojej mamy i brata. Potem miała nadzieję sprowadzić do Melbourne brata z rodziną, ale nic z tego nie wyszło. W rzeczywistości tylko raz w 1974 r. przyjechała do Polski zobaczyć się z rodziną. Ale już wówczas była bardzo chora i chyba wiedziała, że pierwszy i ostatni raz się z nimi widzi.

Tata natomiast nigdy nie przyjechał do Polski.

10 KWIETNIA 1972 r. W MELBOURNE MIAŁA MIEJSCE PIERWSZA UROCZYSTOŚĆ ZAPALENIA „SIÓDMEJ ŚWIECY" W HOŁDZIE POLAKOM RATUJĄCYM ŻYDÓW

Jak wyglądały pierwsze lata pracy rodziców w Australii?
Na początku lat 60. było duże bezrobocie w Australii. Więc było trudno. Tata po jakimś czasie znalazł pracę w zakładzie dziewiarskim, u polskich Żydów. Mama natomiast dostała pracę w fabryce, gdzie szyli koszule, a potem wyrabiali pojemniki plastikowe. My to bardzo przeżywaliśmy, gdyż w Polsce od czasu zamążpójścia mama nie pracowała. Wcześniej pracowała w żłobku. Z siostrą chodziłyśmy na dworzec po mamę z termosem ciepłej herbaty, jak było zimno, lub zimnego picia, jak było gorąco. Mama nie była silna fizycznie, ona zmarła na białaczkę. Myślę, że musiała chorować przez lata, o czym może nie wiedziała. Mama też, przez krótki czas, była kelnerką w żydowskiej restauracji na Auckland Street, na St. Kilda (żydowska dzielnica Melbourne). Potem, kiedy zrobiła kurs księgowej i pracowała w rachunkowości w dużym biurze, było jej łatwiej. Po jakimś czasie tata znalazł pracę – miał zdolności manualne i naprawiał aparaty fotograficzne. Brał też pracę do domu, niestety jak nas okradli, to już nie brał zleceń do domu.

Kim byli wasi pierwsi znajomi – Żydzi, Polacy, a może polscy Żydzi?
Na początku rodzice mieli znajomych, którzy byli polskimi Żydami. Rodzina, która nas zaprosiła, to byli Żydzi. Przypłynęliśmy do Melbourne ze znajomymi rodziców, którzy byli Żydami z Łodzi, on był dziewiarzem. Im było o wiele łatwiej, bo przyjechali do rodziny w Melbourne. Wkrótce potem z Łodzi do Adelajdy przyjechał chrzestny mojej siostry. Z biegiem czasu poznaliśmy Polaków, no i nieraz chodziło się na polonijne spotkania. Początki dla emigrantów były bardzo trudne. Nie było wówczas zasiłku dla bezrobotnych ani darmowych lekcji angielskiego. Nie było takiej pomocy i wsparcia rządowego, jakie jest od lat 80.

Kiedy narodził się pomysł „Siódmej Świecy"?
Dokładnie nie jestem pewna. Ale w 1969 r. tata popadł w kliniczną depresję. Całymi dniami siedział w domu i płakał, płakał strasznie; był nie do życia. To był bardzo smutny okres. W dokumencie ze szpitala, w którym wówczas przebywał, napisano, że katalizatorem było to, iż ktoś w pracy powiedział coś o Żydach. Ja jednak myślę, że nie tylko. On był w takim stanie, że zaordynowano mu zabiegi elektrowstrząsów i wtedy psychiatrzy powiedzieli, że wypłynęły jego przeżycia z czasów wojny. Ja nie pamiętam, żeby w domu mówił coś o tym. Tłumił wszystko w so-

eprasa.pl 236a0e0c90

bie przez lata. Z tej depresji wygrzebał się po ponad roku. Może wówczas zdecydował, że chce coś zrobić dla innych, spłacić dług wdzięczności za to, że Polacy mu pomogli przeżyć podczas wojny. Myślę, że wtedy mógł powstać pomysł „Siódmej Świecy".

Ile osób przychodziło na te uroczystości, jak wyglądała ich organizacja?
Wówczas już nie mieszkałam w domu, dlatego nie wiem, jak tata przygotowywał uroczystość „Siódmej Świecy". Pierwszą zorganizował w 1972 r., w centrum Melbourne, na City Square (dziś Federation Square), tak jak plac Defilad w Warszawie. To była bardzo dostojna ceremonia – po wysłuchaniu hymnu polskiego, izraelskiego i australijskiego odbyła się ceremonia zapalenia świec: najpierw sześciu, a potem – Siódmej Świecy, i odegrany został „Marsz Żałobny" Chopina. Jakieś krótkie przemówienia, ale nie pamiętam, kto poza tatą i może politykiem australijskim przemawiał. Przyszło 130–150 osób, głównie z Polonii i organizacji polonijnych, paru polityków australijskich i garstka polskich Żydów. Żydowskie organizacje czy dyplomaci izraelscy nie byli zainteresowani tą uroczystością ani tematem, jak Polacy ratowali Żydów podczas wojny.

Czy zawsze wspomniane uroczystości były organizowane w tym samym miejscu?
Nie. Następne uroczystości tata organizował też w centrum Melbourne, ale już w gmachu YWCA (Young Women's Christian Association). Tam też były organizowane inne wydarzenia polonijne.

„Siódmą Świecę" tata organizował co roku, od 1972 do 1978 r. Przez ostatnie dwa–trzy lata uroczystości towarzyszyły występy okolicznościowe, w których brali udział członkowie Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego (PKKA), zarówno Polacy, jak i polscy Żydzi.

Tata nie tylko był pomysłodawcą „Siódmej Świecy", lecz również motorem i organizatorem przez te lata. Chyba też płacił za wynajęcie sali. Żadna organizacja, poza PKKA w ramach programu artystycznego, formalnie się nie dołączyła, mimo że czołowi działacze polonijni uczestniczyli w tych uroczystościach. Wiele osób, które były wówczas obecne czy pomagały, dziś niestety już nie żyją. Mój tata zmarł w 1981 r.

Jak układała się współpraca z ambasadą Izraela w tej sprawie?



MOŻE WÓWCZAS ZDECYDOWAŁ, ŻE CHCE COŚ ZROBIĆ DLA INNYCH, SPŁACIĆ DŁUG WDZIĘCZNOŚCI ZA TO, ŻE POLACY MU POMOGLI PRZEŻYĆ PODCZAS WOJNY

Nie było żadnej współpracy z izraelską dyplomacją. Stowarzyszenia żydowskie też nie były zainteresowane. Nawet rabin nie przyszedł odmówić modlitwy, choć wiem, że tata go prosił. Ale ks. Wiesław Słowik wspierał tatę i odmawiał modlitwę po polsku.

Tata miał bardzo duże wsparcie „Tygodnika Polskiego" i jego redaktora Romana Gronowskiego. Potem polskie sekcje radia 3ZZ i 3EA też się włączyły w promowaniu tej uroczystości. Nie pamiętam, czy były wzmianki w australijskiej prasie. Na zdjęciach, które mam, widać, że jednego roku ktoś kręcił film.

Jaki był zasięg tych obchodów – czy udało się wyjść poza obszar Australii?
Przez te siedem lat „Siódma Świeca" była organizowana tylko w Melbourne. Rozgłos o uroczystości za granicą prawdopodobnie był dzięki „Tygodnikowi Polskiemu", który był prenumerowany na całym świecie, a w którym ukazywały się artykuły i ogłoszenia w tej sprawie. Z tego, co wiem, nigdzie więcej na świecie nie było i nie ma takiej uroczystości.

Tata został uhonorowany za tę swoją działalność?
Tak, był uhonorowany Złotym Krzyżem Zasługi Polskiego Rządu na Uchodźstwie w 1976 r. Na wniosek Stefana Nowickiego, który był Delegatem Rządu RP na Uchodźstwie na Australię i który przychodził na taty „Siódme Świece".

W 1993 r. złożyłam propozycję corocznego stypendium im. Henryka Zelickiego i Siódmej Świecy dla młodzieży polonijnej, przy programie administrowanym przez Stowarzyszenie Techników i Profesjonalistów Polskich w Wiktorii (STPP), które co roku przydzielało stypendia fundowane przez różne organizacje dla młodzieży polonijnej. Niestety zarząd tej organizacji odrzucił moją propozycję.

Gdzie twój ojciec został pochowany?
Tata zmarł w 1981 r. po dłuższej chorobie. Pochowany jest na Żydowskim Cmentarzu w Springvale, dzielnicy Melbourne. Z pogrzebu nie pamiętam nic, nie pamiętam też, kto był i ilu przyjaciół przyszło go pożegnać. To był dla mnie bardzo trudny i smutny moment.

W poprzednim wydaniu „wSieci Historii" zamieściliśmy na str. 20–22 tekst dr. Dariusza Zdziecha „Wizyty Karola Wojtyły w Nowej Zelandii", opatrując go błędnym imieniem autora. Za tę niefortunną pomyłkę bardzo przepraszamy.

eprasa.pl 236a0e0c90



KTO WROBIŁ PROFESORA QUIGLEYA?

NIE MIAŁ SZANS, BY WKROCZYĆ ZE SWOIM WIZJONERSKIM SPOJRZENIEM NA KRYZYS ZACHODU DO GŁÓWNEGO NURTU DYSKUSJI. POGRĄŻYŁY GO REWOLUCYJNA LEWICA I RADYKALNA PRAWICA, A LOS JEGO MYŚLI JEST DOBRYM OSTRZEŻENIEM PRZED TEORIAMI SPISKOWYMI Z JEDNEJ STRONY I OBNIŻANIEM WYMOGÓW EDUKACJI Z DRUGIEJ



JAKUB MACIEJEWSKI

To, co utraciliśmy z dokonań prof. Carolla Quigleya (1910--1977), to wielka synteza funkcjonowania cywilizacji. Polski czytelnik zna zapewne Feliksa Konecznego, świat zaczytuje się w Arnoldzie Toynbeem, Oswaldzie Spenglerze, podstawą spojrzenia na świat jest też praca Samuela Huntingtona „Zderzenie cywilizacji", ale Quigley w poczcie badaczy cywilizacji nie istnieje – choć powinien.

Instrumenty Quigleya

Jego definicja Zachodu opisana w wydanej w 1961 r. „Ewolucji cywilizacji" rodziła się przez 30 lat zgłębiania dziejów, ale też z praktyki. Quigley przygotowywał tysiące amerykańskich żołnierzy do wyzwalania Europy z rąk nazistowskich Niemiec. Jeszcze po latach wspominał z uznaniem salę na kilkaset osób wypełnioną umundurowanymi chłopcami gotowymi do niesienia wolności za ocean.

Wykładowca Georgetown University, członek wielu państwowych instytucji (w tym jednej dotyczącej lotów kosmicznych), stawiał sobie za cel rozpracowanie przyczyn upadku cywilizacji i znalezienie klucza do ich uratowania, choć w duchu miał na myśli wsparcie tej jednej, zachodniej. W 1992 r. kandydat na prezydenta USA Bill Clinton oficjalnie przypomniał, że studiował u Quigleya, i przytoczył naukę, którą miał zapamiętać od profesora: zachodnia cywilizacja wygrała, bo jej ludzie „wierzą, że jutro może być lepsze niż dziś i każdy z nas ponosi moralną za to odpowiedzialność".

W pogłębionych studiach historyk wyjaśniał, jak augustianizm i tomizm wpłynęły na indywidualizm i wiarę w rozwój ludzkości. Uważał, że upadek cywilizacji nadchodzi, gdy „instrumenty" – grupy powołane do realizacji rozmaitych celów: obrony kraju (armia), nauczania młodzieży (uniwersytety), czynienia studentów zdrowszymi (zawody bejsbolowe) – zamieniają się w „instytucje": skostniałe, zajmujące się swoimi sprawami, rozdzierane walką grup interesów. Czyli armia, która połowę czasu spędza na funkcjach reprezentacyjnych, uniwersytet, który ideologizuje, zamiast nauczać, i zawody, które służą sponsorom oraz promowaniu miernot – to już instytucje, które przestały spełniać swoje zadania. Quigley opisywał, jak to naprawić, bez czego instytucje zaczną osłabiać społeczeństwo, aż nadejdzie inwazja z zewnątrz. Profesor wierzył, że można takie niedziałające mechanizmy zlikwidować, choć będą się one zaciekle bronić. Jeśli władza nie będzie miała na to dość sił – trzeba powołać instrumenty równoległe: te stare będą sobie gnić, te nowe zaś działać.

Autor „Evolution of civilization" zauważył, że jeśli cywilizacja zbytnio się przywiązuje do swoich „instytucji", to zmieniająca się rzeczywistość szybko wymusi poniesienie za to wysokich kosztów. Spośród wielu przykładów podajmy jeden z bardziej obrazowych – szablę. Kawalerzyści byli do niej przywiązani jako do oznaki honoru, prestiżu, pojedynków czy romantycznych wizualizacji – ale w drugiej połowie XIX w. była już przeżytkiem. Quigley przytacza prasowe dyskusje z czasów po wojnie krymskiej

eprasa.pl 236a0e0c90

– oficerowie brytyjscy wierzyli, że skuteczność szabli pokaże się w przyszłych (!) wojnach.

Amerykanin rozpisywał rozwój poszczególnych kręgów kulturowych świata na sześciu płaszczyznach: militarnej, ekonomicznej, społecznej, religijnej, politycznej (ustrój) oraz intelektualnej. Ale postawienie zarysu metodologicznego takiego ujęcia dziejów świata w „Ewolucji cywilizacji" nie wystarczyło – trzeba było pokazać, jak to działa. W 1966 r. ukazuje się gigantyczna praca „Tragedia i nadzieja. Historia świata naszych czasów", w której na 1,2 tys. stronach Quigley opisał przemiany na całym globie od końca XIX w. do końca lat 50. XX w. Od opisu gospodarki feudalnych Chin, przez brutalną transformację Japonii, autorefleksję brytyjskiej myśli imperialnej po wojnie burskiej (1899–1902), po międzynarodowe siły, które chciały urządzić świat po każdej z wojen światowych – cóż to było za monumentalne dzieło!

Jednak „Tragedia i nadzieja" musiała zostać pogrzebana, usunięta z listy poważnych syntez, a jej autor miał zostać skojarzony z tropicielem nieistniejących spisków.

Gdy historia zamienia się w histerię

Quigley był odkrywcą. „Tragedia i nadzieja" nie była tylko syntezą. Jednym z indywidualnych odkryć profesora były dzieje „Grupy Okrągłego Stołu", stowarzyszenia intelektualistów finansowanego przez słynnego kolonizatora Cecile'a Rhodesa. To ten wątek pogrążył historyka. Okrągłostołowcy mieli być zwolennikami przebudowania Imperium Brytyjskiego tak, by do utrzymania anglosaskiego świata nie była potrzebna armia, lecz oddziaływanie polityczne i kulturalne. Kolejne pokolenia tej niejawnej organizacji próbowały wypracować strategię utrzymania światowej dominacji Wielkiej Brytanii, później w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, przy rezygnacji z wojny jako narzędzia polityki.

Gdybyśmy mieli „Grupę Okrągłego Stołu" określić współczesnym słowem, nazwalibyśmy ją „think tankiem". Owi dyskutujący wpływowi uczeni i bogacze spierali się z sobą, zakładali gazety, tworzyli własny lobbing, przekonując polityków do swoich rozwiązań, ale wreszcie zaczęli się rozchodzić i podążać swoimi oddzielnymi polityczno-biznesowymi drogami.

Słowem gotowy materiał na spiskową teorię dziejów. Jednak to, co zrobiły protestanckie środowiska amerykańskiej prawicy, przebiło najbardziej paranoiczne wizje amatorów tajnych stowarzyszeń.

Kto rządzi światem?

Wątek dotyczący „Grupy Okrągłego Stołu" tak się spodobał amerykańskim wyznawcom spiskowych teorii, że w ciągu kilku lat po wydaniu „Tragedii i nadziei" ukazały się dwie prace z żywo skopiowanymi całymi stronami z Quigleya. Willard Cleon Skousen z organizacji John Birch Society w książce „Nagi komunista" i pisarz Gary Allen w książce o Richardzie Nixonie dopisali profesorowi z Georgetown rzekome odkrycia, że „Okrągłostołowcy" to tajna organizacja rządząca światem i planująca oddanie Ameryki w ręce sowieckich komunistów, samego Quigleya uznano zaś za członka tego gremium, który odważył się opisać spisek, ale nie chce przeciwdziałać zamachowi na USA.

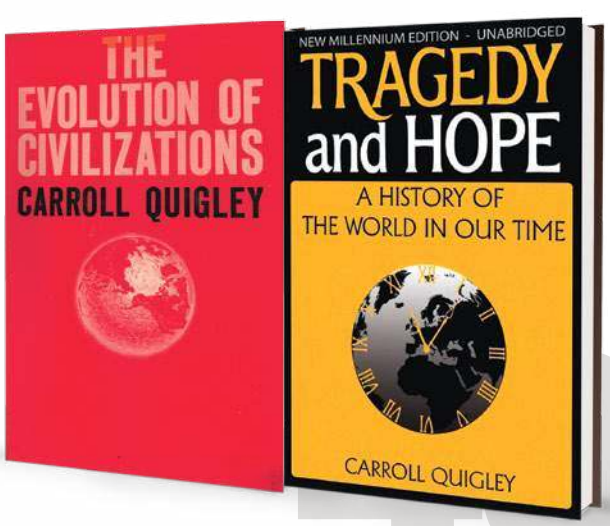
PRASA DORYSOWAŁA QUIGLEYOWI MASKĘ NIE DO KOŃCA RACJONALNEGO BADACZA

Takie postawienie sprawy zniszczyło reputację naukowca. W świecie bez internetu nie można było spopularyzować sprostowania, gdy pirackie wydania jego książek oraz przekłamane skróty i interpretacje były wydawane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Autorzy przyznający się do skrajnej prawicy udramatyzowali samego Quigleya jako demaskatora ponadczasowych spisków, łącząc „Okrągłostołowców" z Żydami, Iluminatami czy masonami. Historyk nie zaznał już normalnego życia. Jego biurko zapełniły listy z całego kraju, a telefon stał się przekleństwem. Obywatele USA dzwonili do niego z gratulacjami, z wyzwiskami albo prosili go o wyjawienie szczegółów spisku. Wyznawcy teorii, że cały świat może być trzymany w ryzach przez małą grupę ludzi, nie dawali się spławić uczciwymi wyjaśnieniami, a prasa dorysowała Quigleyowi maskę nie do końca racjonalnego badacza.

Lewica zrobiła swoje

Ten cios z prawicy zbiegł się z obstrukcją z lewej strony. Na przełomie lat 60. i 70. wybuchła bowiem studencka rewolucja. Domagano się zniesienia hierarchii, własności, wszelkich ograniczeń. Wymagający i konserwatywny Quigley był naciskany, by obniżać poziom zajęć, lewackie bojówki potrafiły nawet protestować i nie wpuszczać studentów na egzaminy. Nienawiść do wykładowcy przybrała tak bolesne rozmiary, że nawet po śmierci historyka w 1977 r. studenci napisali w nekrologu, że „więcej osób oblewał, niż przepuszczał na następny rok".

Jego prace nie istnieją dziś więc jako przedmiot poważnych dyskusji. Gdy w dodatku Bill Clinton powołał się na Quigleya w 1992 r., spiskowa prawica dostała kolejną porcję paliwa do swoich podejrzliwości. Wielosetstronicowe prace o ewolucji cywilizacji, wpływie uzbrojenia na społeczeństwa, anglosaskim establishmencie czy najnowszej historii nie doczekały się tłumaczeń na inne języki. Po polsku nie spotkamy ani jednego tekstu Carolla Quigleya. Kto by chciał publikować „psychoprawicę" konstruującą kolejne wszechwładne spiski?



FOT. GEORGETOWN UNIVERSITY LIBRARY

eprasa.pl 236a0e0c90



Spotkanie grupy pielgrzymów z Ojcem Świętym w ogrodach Castel Gandolfo. Autor artykułu rozmawia z Papieżem

PIESZO Z KRAKOWA DO RZYMU

40. ROCZNICA PIERWSZEJ PIESZEJ PIELGRZYMKI KRAKÓW–RZYM, 18 LIPCA–9 WRZEŚNIA 1980 r.

PRZEZ CAŁĄ DROGĘ MOJE MYŚLIWSKIE BUTY STARŁY SIĘ NA SPODZIE OSIEM MILIMETRÓW



MACIEJ KĘDZIOREK

Na pomysł wyruszenia pieszo do Rzymu wpadłem zaraz po wyborze papieża Jana Pawła II. Uznałem to za najlepszy sposób wyrażenia mojej ogromnej radości i wdzięczności, a miałem już za sobą pielgrzymkowy debiut w 1978 r. w 267. Warszawskiej Pieszej Pielgrzymce na Jasną Górę (tej prawie 50-tysięcznej). To samo wymyślił we Wrocławiu profesor tamtejszego Uniwersytetu Józef Łukaszewicz, wybitny matematyk, uczeń Hugona Steinhausa, kontynuator słynnej matematycznej szkoły lwowskiej. Połączenie sił nastąpiło dzięki wymianie informacji między biskupami, o czym poinformował mnie mój duszpasterz ks. Józef Maj.

W bazylice na Kawęczyńskiej w Warszawie miało się odbyć pierwsze robocze spotkanie. Niestety oo. salezjanie nieopatrznie zapraszali w czasie każdej niedzielnej mszy św. wszystkich chętnych i do bazyliki, oprócz grupki warszawskiej i wrocławskiej przyszło ponad 200 osób! Wiadomo było, że ze względu na sytuację polityczną w Polsce, a zwłaszcza w ówczesnej Czechosłowacji (komunizm), pielgrzymować może nas co najwyżej kilkunastu. Piszę kilkunastu, gdyż z licznych konsultacji z lekarzami wynikało, że nie wiedzą, czy człowiek (niesportowiec) jest w ogóle w stanie przejść 1,6 tys. km, a udział kobiet z medycznego punktu widzenia całkowicie wykluczają. Tymczasem w bazylice panie stanowiły znaczącą większość i profesor w tej sytuacji był zmuszony do odwrotu. Jedynym rozsądnym kryterium wyboru, jakie przyszło nam do głowy, była próba sił na 120-kilometrowej trasie między Częstochową a Krakowem, w trzy dni, z 25-kilogramowym obciążeniem na plecach.

eprasa.pl 236a0e0c90

Wreszcie ruszamy

Opatrzność sprawiła, że do Częstochowy przybyło tylko 20 osób! Nie było już potrzeby selekcji, więc przejście do Krakowa potraktowaliśmy jak próbę generalną. Zakończyła się ona całkowitą klęską! Pierwszego dnia przeszliśmy 40 km, a drugiego po przejściu 20 km nogi odmówiły nam posłuszeństwa. Było to jednak bardzo cenne doświadczenie, z którego wynikało, że musimy mieć w drodze do Rzymu samochód, który będzie wiózł przynajmniej część bagażu, oraz że pierwsze etapy nie mogą być tak długie. 18 lipca 1980 r. spotkaliśmy się na rynku w Krakowie. Wybór miejsca rozpoczęcia pielgrzymki był oczywisty. W skład grupy oprócz prof. Łukaszewicza, „ojca" naszej grupy, oraz ks. Ludwika Sosnowskiego z Jeleniej Góry wchodziły osoby ze Szczecina, z Płocka, Lublina i Warszawy. Okazałem się najmłodszym uczestnikiem. Ze względu na kłopoty paszportowo-wizowe liczba pielgrzymów ulegała ciągłym zmianom. Całą trasę przeszło 12 osób, a ostatecznie do Rzymu doszło nas 17. Samochód wiózł namioty i jedzenie oraz po 7 kg osobistego bagażu. Resztę każdy musiał dźwigać na plecach sam. Ja dźwigałem ok. 12 kg.

Nieśliśmy Ojcu Świętemu obraz namalowany na szkle przedstawiający Pana Jezusa na „żywym" drzewie krzyża (krzyż wypuszczał zielone liście), który służył nam w czasie pielgrzymki za ołtarz polowy. Nasza trasa wiodła przez Polskę, Czechosłowację, Austrię i Włochy – w sumie 1638 km liczonych bez uwzględnienia pokonywanych wysokości w Alpach i Apeninach. Z Krakowa przez Tyniec, Wadowice, Bielsko-Białą doszliśmy do Cieszyna. Granicę przekraczaliśmy w komunistyczne święto 22 lipca, licząc na ulgowe potraktowanie nas w tym dniu. Rzeczywiście poszło bardzo gładko, ale odnieśliśmy wrażenie, że wszyscy na granicy doskonale wiedzieli, co z nas za turyści (w Polsce i Czechosłowacji nie mieliśmy żadnych znaków pielgrzymkowych). Nie wiem, jak to się działo, ale ludzie po drodze często wyczuwali, dokąd idziemy, tak jak pewna pani w miejscowości Zagacie, która wyszła przed dom i powiedziała: „Pewnie do Rzymu idziecie", po czym okazało się, że wypowiedziane zdanie dla niej samej było zaskoczeniem...

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Konspiracja w Czechosłowacji

W Czechosłowacji nasza pielgrzymka nabrała ogromnego apostolskiego znaczenia. W przeciwieństwie do Polski prawie wszystkie kościoły u naszych południowych sąsiadów były pozamykane, a gdy już trafił się otwarty, to w środku widzieliśmy tylko osoby w bardzo podeszłym wieku. Staraliśmy się nocować na kempingach, aby nikomu nie sprawić kłopotu. Jednak bardzo często młodzi Czesi i Słowacy, nie wiadomo w jaki sposób dowiadując się o nas, uczestniczyli w naszych wieczornych i porannych modlitwach. Byli bardzo wzruszeni i przejęci taką niespodziewaną możliwością; często mieli łzy w oczach i wtedy naprawdę czuliśmy, że nasza pielgrzymka i nasz trud są dla nich ogromnie ważne.

NASZA TRASA WIODŁA PRZEZ POLSKĘ, CZECHOSŁOWACJĘ, AUSTRIĘ I WŁOCHY – W SUMIE 1638 km

Na jednym z kempingów pracująca tam pani okazała się osobą wierzącą. Wieczorem w recepcji wzięliśmy udział w niezwykłej mszy św. Przy zamkniętych drzwiach cały czas ktoś czuwał i kiedy ktokolwiek przechodził obok, na dany znak ksiądz natychmiast przerywał liturgię i zapadała całkowita cisza. Do końca życia zapamiętam tę konspiracyjną Eucharystię łączącą bardzo odległe i bardzo współczesne czasy prześladowania chrześcijan.

Ważnym prezentem, jaki chcieliśmy podarować Papieżowi, był album, w którym każda spotkana przez nas osoba mogła coś napisać do Ojca Świętego, i najbardziej wzruszające wpisy do niego zebraliśmy właśnie w Czechosłowacji. Dopiero po dojściu na Morawy, już blisko granicy z Austrią, odczuliśmy większą swobodę oraz wolność Kościoła i tam też spotkaliśmy się z otwartością i niezwykłą życzliwością. Szczególnie dwóch księży o tym samym imieniu Franciszek. Goszcząc nas na swojej plebanii, przez cały czas mówili do siebie: „Frantiszku, a co byśmy im jeszcze dali?".

Na Zachodzie

W Austrii i we Włoszech byliśmy już w pełni oznakowani (krzyże, flagi) i łatwo rozpoznawalni, ale tu z kolei ludziom trudno było pojąć, że człowiek może tyle kilometrów pokonać na piechotę. W jednej gazecie ktoś nawet napisał, że przechodzimy dziennie 100–150 km! Dla dziennikarza nasza rzeczywista dzienna trasa 30–40 km była tak samo abstrakcyjna jak ta wymieniona w prasie. W 1980 r. zderzenie cywilizacyjne między Europą Wschodnią a Zachodnią było przeogromne. Większość z nas była na Zachodzie pierwszy raz. Sklepy pełne towarów, wspaniałe samochody na ulicach, miasteczka czyste, zadbane i cudownie oświetlone robiły na nas ogromne wrażenie. Telewizory też wydawały się bardziej kolorowe (w porównaniu z sowieckimi rubinami), a jeden, u księdza proboszcza z Wiednia, okazał się „sterowany na odległość" (kto wtedy w Polsce słyszał o pilocie do telewizora?).

Staraliśmy się nocować przy kościołach i klasztorach, ale nie zawsze nam się to udawało. Na naszej pielgrzymce układało się jak w życiu: raz spaliśmy w wytwornych łóżkach, raz pod gołym niebem. Kilka szczególnych przypadków opisałem w swoim dzienniku: „Śpimy na materacach na torze wrotkowym, trochę pochyło" lub „Zgubiłem jeden kołek z materaca, ale użyłem długopisu, rano obudziłem się bez powietrza, komuś potrzebny był długopis" albo: „Apeniny – przełęcz Viamaggio, śpimy na rżysku pod gołym niebem, bardzo zimno, przykrywamy się tropikami od namiotów". Podobnie było z jedzeniem. Dosyć często jedliśmy nasze słynne zupy w proszku (o bliżej nieokreślonych zapachu i konsystencji), które w najmniejszym stopniu nie przypominały dzisiejszych. Dwa cytaty z dziennika: „Dziś na obiad zupa koperkowa (brrrrr)" oraz: „Włosi zgromadzeni wokół nas z wyrazem lekkiego niepokoju obserwują przygotowywaną zupę, gdy zabieramy się do jedzenia, niepokój zamienia się w gwałtowne protesty".

Ale bywaliśmy też po drodze zapraszani na wspaniałe posiłki. W miejscowości Agna witało nas całe kilkutysięczne >>

eprasa.pl 236a0e0c90

» miasteczko, po czym burmistrz zaprosił nas do najbardziej eleganckiej restauracji w mieście, co mocno kontrastowało z naszymi kreacjami pielgrzymkowymi. Nierzadko byliśmy po drodze częstowani winem i wodą, napojami lub owocami, które także doskonale gasiły pragnienie. Szliśmy przecież w lipcu i sierpniu, gdy temperatura często przekraczała 30, a czasem nawet 40 stopni.

Dajemy radę

Wracając do kobiet na tak długiej pielgrzymce, muszę szczerze przyznać, że wszystkie nasze panie wytrzymały trudy wędrówki znakomicie, często lepiej niż panowie. Po raz kolejny okazało się, która płeć jest słabsza. Ja sam miałem ogromne kłopoty ze stopami tylko przez pierwsze 20 dni (600 km), a potem już jakoś poszło. A tak na poważnie, to kilkanaście etapów przeszedłem na bąblach, w tym kilka z zaciśniętymi zębami. Przez całą trasę moje myśliwskie buty starły się na spodzie osiem milimetrów! Jednak w drugiej połowie pielgrzymki pozwalaliśmy już sobie często na takie ekstrawagancje jak rozgrywanie dwugodzinnych meczów piłkarskich lub siatkarskich (po przejściu wcześniej 40 km!). Kilkakrotnie na zakończenie etapów ostatnie kilka kilometrów przebiegaliśmy...

Mimo braku snu i ogólnego zmęczenia organizowaliśmy nocne czuwania. Często też z wieloma poznanymi ludźmi do późna w nocy rozmawialiśmy, graliśmy na gitarach, żartowaliśmy. W czasie naszej drogi dużo modliliśmy się i śpiewaliśmy (po kilka godzin dziennie). Wielokrotnie nasz ksiądz prowadził rozważania, które kończyły się wspólną dyskusją. Ale był także czas na żarty i zabawy towarzyskie. Mógłbym nawet wydać niezły zbiór: „Gry i zabawy w czasie pieszej wędrówki". Z naszym wielebnym ks. Ludwikiem łączyło się też wiele zabawnych zdarzeń, np. raz w kościele w czasie czytań, bardzo zmęczony chciał sobie na chwilę przysiąść i wybrał przez pomyłkę wyglądający na fotel rodzaj podwyższenia na Pismo Święte. Okazało się, że nie sięgał nogami do podłogi, a my popłakaliśmy się ze śmiechu, gdy machając nimi, w niezwykły sposób próbował wstać ze swojego „fotela".



FOT. ARCHIWUM AUTORA

Grażyna Nieduszyńska (córka profesora Nieduszyńskiego) wręcza Ojcu Świętemu pamiątkowy album. Autor artykułu w głębi

NA NASZEJ PIELGRZYMCE UKŁADAŁO SIĘ JAK W ŻYCIU: RAZ SPALIŚMY W WYTWORNYCH ŁÓŻKACH, RAZ POD GOŁYM NIEBEM

Nawiązaniem do moich późniejszych występów w sztukach Romana Brandstaettera w grupie teatralnej Duszpasterstwa Akademickiego Arka były wizyty w klasztorze w Ossiach przy grobie króla Bolesława Śmiałego (Pokutnik z Osiaku) oraz odwiedzenie grobu św. Franciszka i kościoła św. Klary ze słynnym krzyżem w Asyżu (Teatr św. Franciszka).

Docieramy!

Przez całą pielgrzymkę odczuwaliśmy ogromną moc płynącą z modlitw i myśli naszych rodzin i znajomych z Polski oraz wszystkich spotkanych po drodze ludzi, a były ich tysiące. Wielokrotnie w „cudowny" sposób odnajdowaliśmy się na trasie, wiele naszych życzeń było spełnianych jeszcze tego samego dnia. Szczególnie otoczeni byliśmy opieką przez imienników św. Franciszka. Oprócz wspomnianych dwóch Frantiszków na Morawach spotkaliśmy ogromną liczbę zakonników i zakonnic z zakonu franciszkańskiego, zawsze otrzymując od nich cenną pomoc, a wiele osób pomagających nam po drodze miało na imię Franciszek lub... Franciszka (Franka).

Największym jednak cudem było dojście naszej pielgrzymki do Rzymu po 1638 km i 54 dniach oraz spotkanie naszej grupy z Ojcem Świętym w ogrodach w Castel Gandolfo po mszy św. Wszyscy czuliśmy się jak w transie i praktycznie dopiero kilkanaście minut po jego zakończeniu dotarło do nas, że byliśmy tak blisko naszego Papieża, że rozmawialiśmy z Nim, mogliśmy Go ucałować, a On gładził nas po głowach i przytulał, że wręczyliśmy Mu obraz – nasz pielgrzymkowy ołtarz polowy i album zapełniony wpisami setek tak jak my kochających Go ludzi.

eprasa.pl 236a0e0c90

IGNACY JAN PADEREWSKI WŚRÓD GEJZERÓW





W 1927 r. PADEREWSKI PONOWNIE PRZYJECHAŁ DO NOWEJ ZELANDII. PO RAZ PIERWSZY BYŁ TUTAJ 23 LATA WCZEŚNIEJ



JACEK R. DRECKI

Przybył na kolejną serię koncertów pianistycznych. W ciągu tych lat los odcisnął swoje piętno na wizerunku Paderewskiego. Nie tylko ze względu na wiek, miał już 67 lat, lecz przede wszystkim ze względu na bagaż doświadczeń życiowych, szczególnie z okresu aktywności politycznej. W ciągu tych lat, jakie dzieliły Paderewskiego od pierwszego pobytu w Nowej Zelandii, przez świat przewaliła się I wojna światowa, której owocem był nowy układ sił na kontynencie europejskim. Polska odzyskała niepodległość, a Paderewski stał się niezaprzeczalnym współtwórcą jej odzyskania.

Tournée w 1927 r.

Jednak Paderewski przyjechał tutaj nie jako polityk, tylko jako muzyk. Pamiętając o tym, starał się unikać kontaktów z prasą, która mogłaby wykorzystać ewentualny wywiad jako okazję do indagowania go na tematy polityczne. Dla Paderewskiego, z natury bardzo delikatnego w kontaktach z ludźmi, byłoby bardzo niezręcznie wypowiadać się podczas tournée koncertowego na tematy niuansów polityki europejskiej, a szczególnie polskiej, której, w swoim czasie, był pierwszoplanowym kreatorem. Tym bardziej że zmiany w Polsce, jakie w ostatnich latach nastąpiły (zamach majowy), były dla niego na tyle bolesne, iż ten wielki patriota zdecydował się nie wracać do Polski, a nawet nie odwiedzać jej, lecz osiąść na stałe w Szwajcarii. Nie posiadał więc ani mandatu, ani chęci, aby dyskutować o polityce, dlatego zdecydował się unikać wywiadów.

Jako pianista Paderewski nie zmienił się tak bardzo. Wciąż zachwycał swoim stylem gry i interpretacją wykonywanych utworów. Nie stracił także nic z tak charakterystycznej dla niego umiejętności budowania nastroju i wciągania publiczności w mistrzowsko kreowany przez siebie spektakl muzyczny. Znów koniec każdego utworu oznaczał początek ogłuszających braw i owacji. Mimo dość podeszłego już wieku bez trudności wykonywał trwające po dwie i pół godziny koncerty, często wydłużone jeszcze dodatkowymi bisami. Znów sale koncertowe pękały w szwach, bilety rozchodziły się w rekordowym tempie, a wśród słuchaczy nie brakowało wszystkich najważniejszych osób z towarzystwa. Na występ w Christchurch w Theatre Royal przyszło tak dużo słuchaczy i zajęli oni obok wszystkich możliwych miejsc również całą scenę, przez co, jak później pisano, ucierpiała na tym akustyka sali. A mimo to przy grającym Paderewskim „wielu – jak donosiła prasa – mogłoby, bez wątpienia, pozostać w tej sali koncertowej przez całą noc".

Paderewski wciąż wzbudzał ogromne zainteresowanie, co warto podkreślić ze względu na odmienne warunki, »

eprasa.pl 236a0e0c90

» w jakich przyszło mu występować. Osłabła koniunktura ekonomiczna Nowej Zelandii, coraz wyraźniej dawała o sobie znać recesja gospodarcza. Natomiast w obszarze życia kulturalnego pojawiły się nowe, wcześniej nieistniejące oferty, konkurencyjne dla koncertów pianistycznych. Czasy, kiedy recitale muzyczne stanowiły podstawową atrakcję kulturalną, dawno się skończyły. Teraz kino weszło przebojem w świat rozrywki, zaspokajając masowe potrzeby kontaktu ze sztuką. Królowała tu niepodzielnie Pola Negri, gwiazda pierwszej wielkości wczesnej epoki kina ruchomego. Jednak oprócz kina nowym szybko rozpowszechniającym się wynalazkiem było radio, konkurując swymi programami muzycznymi z koncertami odbywanymi na żywo. Masowej rozrywki dostarczały też, dobrze już zorganizowane i bardzo popularne, rozgrywki i imprezy sportowe, wśród których krykiet, rugby i wyścigi konne wiodły prym. Na czas tournée 1927 r. przypadł także, organizowany po raz drugi w historii, konkurs Miss New Zealand, co sprawiało, że obok ogłoszeń o występach Paderewskiego w gazetach publikowano uśmiechnięte twarze młodych atrakcyjnych kobiet.

Dodatkowo, również na gruncie ściśle muzycznym, konkurencja znacznie się zaostrzyła. W tym samym 1927 r. we wszystkich większych nowozelandzkich ośrodkach koncertowało, poza Paderewskim, jeszcze dwóch z grona największych światowych pianistów tamtego okresu: Niemiec Wilhelm Backhouse i Polak Ignaz Friedmann.

Wszystko to nie przeszkodziło jednak Paderewskiemu w odniesieniu oszałamiającego sukcesu. Był przecież „poetą fortepianu", a teraz dodano mu nowy tytuł: „księcia wśród wykonawców". Miał on jeszcze jeden atut – koncertował tu już poprzednio i pamięć tamtego tournée z 1904 r. była ciągle żywa. Ludzie pamiętający tamte koncerty, tamte uniesienia i entuzjazm chcieli koniecznie zobaczyć i usłyszeć Paderewskiego ponownie. Tym razem owacje nie tylko kończyły koncerty, również je rozpoczynały. Publiczność brawami na stojąco przez kilka minut witała Paderewskiego, gdy tylko pojawił się na scenie.

Dziękczynna trasa

Trasa koncertowa rozpoczynała się tym razem w Wellington 9 czerwca 1927 r., wiodła następnie przez Christchurch, Dunedin i kończyła się w Auckland. Planowane było osiem koncertów: dwa w Wellington (Town Hall, 9 i 11 czerwca), dwa w Christchurch (Theatre Royal, 15 i 18 czerwca), jeden w Dunedin (His Majesty's Theatre, 21 czerwca) i trzy w Auckland (Town Hall, 29 czerwca oraz 2 i 4 lipca). Po drugim koncercie w Wellington ogłoszono, że artysta zagra jeszcze jeden koncert w tym mieście, po powrocie z Wyspy Południowej 25 czerwca. W sumie odbyło się dziewięć koncertów.



Paderewscy w Auckland, 28 lipca 1927 r.

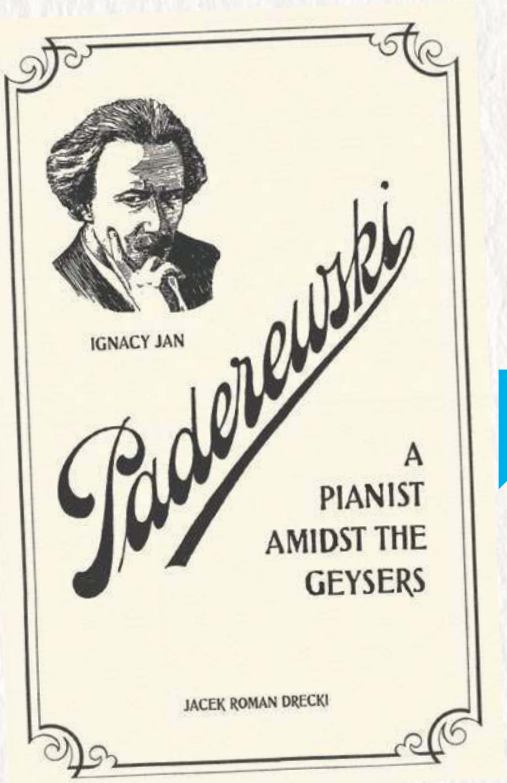
FOT. SPECIAL COLLECTION CENTRAL CITY LIBRARY AUCKLAND

Programy występów były w dużej mierze podobne do tych, które Paderewski grał przed 23 laty. Wyjątkiem były tylko programy trzeciego koncertu w Wellington i trzeciego koncertu w Auckland, w których Paderewski umieścił wyłącznie kompozycje Chopina.

Już pierwszy koncert zaszczyciła swą obecnością żona gubernatora generalnego Nowej Zelandii, lady Alice Fergusson ze świtą. Zarówno ten oraz wszystkie następne koncerty podczas tego tournée były, jak poprzednio, pasmem sukcesów i niezapomnianych wrażeń dla przychodzących tłumnie słuchaczy. Jednak szczególne miejsce w historii zajął ów dodatkowy występ w Wellington. Paderewski, chociaż przybył do Nowej Zelandii jako muzyk, a nie polityk, miał w planach uczynić gest, który mógłby być uznany za poniekąd polityczny, ale w istocie miał on wymiar moralny – był porywem wielkiego serca wielkiego Polaka. Paderewski koncertem tym dziękował Nowej Zelandii.

Dziękował Nowej Zelandii za jej wkład w zwycięstwo aliantów nad państwami centralnymi w I wojnie światowej. W wyniku tej wojny Polska odzyskała niepodległość. Dla Polaków ta wojna toczyła się o nowy ład w Europie, o taki ład, który gwarantowałby miejsce dla wolnej i niepodległej Polski. Dla żołnierzy z odległych krajów imperium brytyjskiego, z drugiego końca świata, ten cel wojny nie był taki jasny. Kojarzony był wyłącznie z obroną interesów brytyjskich. Jednak Nowa Zelandia i Australia, lojalne wobec Wielkiej Brytanii, wysyłały, mimo wszystko, niemałe kontyngenty wojskowe za ocean. Z samej Nowej Zelandii, kosztem sięgającym 82 mln funtów, w wojnie udział wzięło ponad 100 tys. żołnierzy. Stanowiło to niemal 45% wszystkich mężczyzn w wieku poborowym. Prawie 58 tys. zginęło lub zostało rannych. Ci żołnierze walczyli i ginęli, w pewnym sensie, za sprawę polską, rozumował Paderewski, i dlatego uznał, że należy im się jakiś gest z jego strony. Tym, którzy zginęli, pomóc już nie mógł, ale tym, którzy z wojny wrócili, i ich rodzinom, i w ogóle całemu społeczeństwu, mógł i pragnął ofiarować coś szczególnego. Zaproponował urządzenie koncertu charytatywnego na rzecz nowozelandzkich ofiar Wielkiej Wojny, na rzecz inwalidów wojennych. Paderewski wiedział, jak krwawa była ta wojna i jak wielu żołnierzy ucierpiało fizycznie w jej wyniku. W samym tylko Auckland, liczącym wraz z przedmieściami niecałe 200 tys. mieszkańców, w 1927 r. liczba inwalidów wojennych, łącznie z ich rodzinami, przekraczała 21 tys. osób. Mimo że działał tak zwany Patriotic Fund zbierający fundusze na pomoc dla tych rodzin, potrzeby były ogromne. Dlatego cały dochód z koncertu miał być przeznaczony dla weteranów wojny.

eprasa.pl 236a0e0c90



i z tego powodu król Jerzy w 1925 r. nadał Paderewskiemu tytuł szlachecki, którego wszakże pianista nie używał.

Cztery dni po tym specjalnym koncercie minister finansów rządu Nowej Zelandii pan W.D. Stewart otrzymał od sekretarza Paderewskiego czek na sumę 538 funtów 9 szylingów i 1 pensa, z prośbą o rozdysponowanie tej kwoty stosownie do potrzeb. W owych czasach suma ta wystarczyłaby na kupno niewielkiego domu mieszkalnego.

CZTERY DNI PO KONCERCIE MINISTER FINANSÓW RZĄDU NOWEJ ZELANDII PAN W.D. STEWART OTRZYMAŁ OD SEKRETARZA PADEREWSKIEGO CZEK NA SUMĘ 538 FUNTÓW 9 SZYLINGÓW I 1 PENSA, Z PROŚBĄ O ROZDYSPONOWANIE TEJ KWOTY STOSOWNIE DO POTRZEB

Idee Paderewskiego poparła cała elita polityczna kraju i na koncercie była ona licznie reprezentowana. Na występ przyszło prawie 4 tys. ludzi. Wśród nich obecny był gubernator Sir Charles Fergusson z rodziną i całym gronem pracowników jego urzędu, parlamentarzyści, liderzy ważniejszych organizacji i stowarzyszeń oraz wielu żołnierzy, uczestników tej wojny.

Paderewski, jak już wspomniano, zamieścił w programie wyłącznie utwory Chopina, w tym przekonaniu, że nie ma nic piękniejszego, nic bardziej polskiego, a zarazem uniwersalnego, co może ofiarować Nowozelandczykom, w darze za ich trud żołnierski i heroizm czasu wojny. Niecodzienny akcent dodatkowo podkreślił wyjątkowość tego koncertu. Ku zupełnemu zaskoczeniu wysokiego audytorium Paderewski na początku koncertu, a później także na zakończenie, odegrał hymn Wielkiej Brytanii „God Save the Queen" (wówczas będący również hymnem Nowej Zelandii, która swój hymn „God Defend New Zealand" zaadaptowała dopiero w 1940 r., a oficjalnie uznała dopiero w roku 1977). I uczynił to w iście mistrzowskim stylu.

Podobne koncerty specjalne, z których dochód przeznaczono na rzecz ofiar wojny, urządzał Paderewski już wcześniej w Europie, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i w Australii. W samej tylko Anglii zebrano dzięki temu ponad 8 tys. funtów

Wiadomość o hojności Paderewskiego szybko rozeszła się po kraju, i w Auckland, gdzie artysta koncertował później, zgotowano mu niespodziankę. Returned Service Association, czyli nowozelandzkie stowarzyszenie kombatantów, które za pośrednictwem ministra finansów ostatecznie otrzymało ten dar pieniężny od Paderewskiego, zdecydowało się nadać pianiście honorowe, dożywotnie członkostwo swojej organizacji. Był to przypadek bez precedensu, gdyż po raz pierwszy w historii tej organizacji wyróżnienie takie przyznano osobie cywilnej. Nietypowe było i to, że osoba ta była obywatelem obcego kraju, nienależącego nawet do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Również rodzaj nadanego wyróżnienia był czymś nowym dla nowozelandzkiej RSA i Paderewski był pierwszą osobą, którą uhonorowano w ten sposób. Specjalnie dla artysty, ze względu na jego cywilny status, musiano zaprojektować i wykonać nową odznakę, inną od nadawanych żołnierzom. Nadano jej kształt okrągłego medalu. Tak więc po drugim koncercie w Auckland polski pianista udekorowany został złotym medalem tej prestiżowej organizacji. Medal ten znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie.

Solidarność przetrwała

Dzięki temu dodatkowemu koncertowi, wielkodusznej hojności okazywanej z niezwykłą kurtuazją Paderewski dał wyraz swemu głębokiemu przekonaniu, że Polskę i Nową Zelandię ogromnie wiele łączy, że oba narody podzielają podobne ideały, w tym szczególne miejsce zajmuje umiłowanie wolności, i że Nowozelandczycy oraz Polacy są solidarni w walce ze złem na świecie. Z kolei życzliwość, jaką okazali mu Nowozelandczycy, nie tylko przy okazji tego koncertu, lecz podczas całej trasy koncertowej, była skierowana nie tyle do niego samego, ile do całego narodu polskiego. Ta sympatia do Polaków, dostrzegalna już wcześniej przed przyjazdem Paderewskiego dzięki temu dziękczynnemu koncertowi i uroczystości odznaczenia pianisty medalem RSA w Auckland, nabrała teraz nowych i szerszych wymiarów. Uwidoczniło się to później, podczas II wojny światowej i trwa do dziś.

5 lipca 1927 r. artysta odpłynął statkiem „Aorangi" przez Fidżi i Hawaje do Ameryki. Statek, udekorowany galą flagową, żegnany był w porcie przez kilkusetosobowy tłum.

Odświętna atmosfera tego pożegnania była ostatnim akordem pobytu Paderewskiego w Nowej Zelandii. Jednak pamięć o nim nie zaginęła, a ostatnio nawet pojawiło się ponowne, widoczne zainteresowanie jego osobą i związkami z Nową Zelandią.

Fragment książki Jacka R. Dreckiego pt. „Ignacy Jan Paderewski, pianista wśród gejzerów" („Ignacy Jan Paderewski, A Pianist Amidst the Geysers", 2018, Quo Vadis Publications, Auckland, Nowa Zelandia (www.quovadispublications.net), ISBN 978-0-473-43880-7).

eprasa.pl 236a0e0c90

POLITYK I WIRTUOZ

Ignacy Paderewski w prasie francuskiej w latach 1919–1941

„TA RĘKA, KTÓRA WYDOBYWAŁA MAGICZNE TONY W MUZYCE, PODPISYWAŁA TEŻ TRAKTAT POKOJOWY"







JOANNA METZGER

W czerwcu 1919 r., gdy w Wersalu podpisany zostaje traktat pokojowy, oczy całego świata skierowane są na Francję. Jedynym środkiem przekazu medialnego jest wówczas prasa. Na czoło wysuwają się dwa tytuły: „Le Matin" i „Le Petit Parisien". Należy do nich dodać „Le Temps", ponieważ był uważany za gazetę dyplomacji francuskiej, i „La Croix", dziennik katolicki, który jako jedyny z tej listy przetrwał do dziś.

Szef rządu, minister spraw zagranicznych, rok 1919

Ignacy Paderewski był osobą znaną dziennikarzom i czytelnikom już od lat 80. XIX w. Pojawiał się w prasie regularnie jako znakomity muzyk, pianista i kompozytor. Ale dopiero w 1919 r. gazety pisały o nim prawie codziennie. W wyżej wymienionych tytułach artykuły i wzmianki o nim pojawiają się ogółem ok. 250 razy.

I tu rekordzistą jest właśnie konserwatywny „Le Temps", który w 1919 r. pisał o Paderewskim 99 razy. W styczniu 1919 r. dziennik prawie codziennie donosi o rozmowach Paderewskiego z Piłsudskim o tworzeniu nowego rządu polskiego. „Piłsudski wykazał dużo rozsądku, powierzając tę misję Paderewskiemu... To jest ważne dla Polski i dla całej Europy Wschodniej".

eprasa.pl 236a0e0c90

W lutym i w marcu Paderewski gości często na pierwszej stronie gazety. Dziennik cytuje telegram amerykańskiego sekretarza stanu z gratulacjami dla nowego premiera rządu polskiego. Zamieszcza duże fragmenty z pierwszego posiedzenia Sejmu, nie zapominając o „gorących oklaskach dla Paderewskiego".

Podaje też wiadomość o jego nominacji na reprezentanta Polski na konferencję pokojową w Paryżu, która ma za zadanie przygotowanie traktatu. W kwietniu Paderewski przyjeżdża do Paryża. Gazeta publikuje duży artykuł „Polska stawia pierwsze kroki". Dziennikarz przypomina powrót Paderewskiego do Polski, „znakomitego muzyka i wielkiego patrioty". Stworzenie przez niego rządu jedności narodowej: „Miał poparcie Narodowej Demokracji, ale tak naprawdę niczego nie potrzebował, gdyż jest ponad partiami". 7 kwietnia Paderewski udziela wywiadu „Le Temps". Dziennikarz jest pod wrażeniem „wdzięku, swobody, elegancji i tego wszystkiego, czego dziś brakuje politykom. Jego prostota stwarza od razu atmosferę zaufania. Jego odpowiedzi są jasne i jednoznaczne". Na pytanie o sytuację w Polsce Paderewski odpowiada, że „w tej chwili najważniejsze są dwie sprawy: Gdańsk i Cieszyn".

Gazeta publikuje całe przemówienie Paderewskiego na konferencji pokojowej z podkreśleniem jego słów: „Polska od Bałtyku po Karpaty, niepodległa i niepodzielna".

Odnosi się wrażenie, że dziennik „śledzi" Paderewskiego przez cały 1919 r. od stworzenia rządu w styczniu do dymisji w grudniu. W kwietniu podaje informację o tym, że państwo Paderewscy spędzą Święta Wielkanocne w ich szwajcarskiej posiadłości w Morges k. Lozanny. W maju korespondent gazety „wita" Paderewskiego w Warszawie wspólnie z tłumem warszawiaków. Potem jedzie za nim do Pragi na spotkanie z prezydentem Masarykiem na rozmowy w sprawie Cieszyna.

W czerwcu wszystkie gazety zajmują się wyłącznie traktatem wersalskim (28 czerwca 1919). Nazwisko Paderewskiego pojawia się głównie w gronie delegatów. W sierpniu na pierwszej stronie jest obszerna relacja z posiedzenia polskiego Sejmu, który ratyfikuje traktat wersalski. Są także wyjątki z przemówienia Paderewskiego nagrodzonego długimi oklaskami. Następuje okres kilku kryzysów rządowych w Polsce, które kończą się dymisją rządu Ignacego Paderewskiego w końcu grudnia 1919 r. „A on sam zamierza wycofać się z życia politycznego i osiąść na stałe w Szwajcarii lub w Ameryce".

Ignacy Paderewski „króluje" więc na łamach pisma „Le Temps" w 1919 r. w związku z funkcją, jaką pełni. Głównym tematem wszystkich artykułów jest jednak Polska, a nie tylko jego osoba.

Trochę inaczej to wygląda w „Le Matin" – gazecie narodowców francuskich. Polska jest także tu obecna przez cały rok 1919, ale o samym Paderewskim pisze się więcej. Często na pierwszej stronie, na ogół z fotografią lub portretem, znajdziemy artykuł lub wywiad z nim. Na przykład w kwietniu pod dużym tytułem „Chodzi o życie 35 milionów osób" dziennikarz notuje wypowiedzi Paderewskiego, który „ze smutnym wyrazem w błękitnych oczach" mówi, że „Polska bez Gdańska nie jest państwem niepodległym". Dalej jest mowa o miłości Paderewskiego do sojuszniczej Francji, gdzie znakomity polski muzyk odnosił pierwsze sukcesy. Do końca roku jeszcze kilkakrotnie polityk będzie gościł na pierwszej stronie gazety.

W sposób jeszcze bardziej urozmaicony traktuje osobę Paderewskiego „La Croix". W styczniu 1919 r. dziennik katolików francuskich śledzi pilnie tworzenie polskiego rządu. 1 lutego ukazuje się duży artykuł o zjednoczeniu kraju, które dokonało się dzięki uznaniu rządu Paderewskiego przez wszystkie partie. Zdaniem gazety konferencja pokojowa w Paryżu powinna już tylko zatwierdzić ogół żądań Polski w sprawie granic. W marcu znajdziemy dokładny opis pierwszego posiedzenia Sejmu poprzedzonego mszą św. w bazylice warszawskiej. Dziennikarz pisze, że Ignacy Paderewski jest przyjęty z „radością przez wszystkich Polaków". I dalej o nim samym: „mimo iż ma w swoim rządzie kilku socjalistów, będzie potrafił – jako katolik – utrzymać kraj w tradycjach religijnych i narodowych". W kwietniu Paderewski walczy o polski Gdańsk na konferencji pokojowej w Paryżu i zdaniem gazety ma rację. Publikują to na pierwszej stronie w artykule „Wirtuoz i polityk".

28 czerwca gazeta, jak wszystkie inne, na czołówce relacjonuje podpisanie traktatu wersalskiego. Tuż obok umieszcza artykuł z pełnym poparciem dla listu Paderewskiego, który jest odpowiedzią szefa polskiego rządu na pismo prezydenta Wilsona w sprawie rzekomego prześladowania Żydów w Polsce. Gazeta uważa, że to „środowiska agitatorów żydowskich wywarły nacisk na prezydenta Ameryki i chciały nawet wysłać do Polski specjalną Komisję. Żydzi nigdy nie byli prześladowani w Polsce" – cytuje z listu Paderewskiego.

Popularna popołudniówka „Le Petit Parisien" ma swój dumny slogan na pierwszej stronie „Pismo o największym na świecie nakładzie". W stylu telegraficznym, ale codziennie, gazeta pisze o Paderewskim i o Polsce w styczniu 1919 r. W końcu lutego na pierwszej stronie czytamy o owacyjnym powitaniu premiera przez polski Sejm, a miesiąc później specjalny wysłannik gazety przeprowadza z nim wywiad w Warszawie. Najważniejszą wówczas sprawą dla Paderewskiego jest jak najszybsze przetransportowanie wojsk gen. Józefa Hallera z Francji do Polski. Dziennikarz uważa się chyba za specjalistę od Ignacego Paderewskiego. Pisze: „A potem z daleka obserwowałem, jak pracuje dla tej sprawy, urabiając opinię amerykańską i jej rząd. A teraz widzę go w Warszawie. Rządzenie państwem, które nie istniało przez 120 lat, nie jest spokojnym, miłym zajęciem. Ludzie, którzy biorą taką odpowiedzialność na siebie, czynią to zazwyczaj dla własnej chwały. Ale Paderewski zdobył już wszystko jako znakomity artysta. Nie, to nie chęć sławy popchnęła go do tej funkcji. To chęć bycia użytecznym, chęć służenia własnemu narodowi. To się nazywa patriotyzm".

„Le Petit Parisien" bije wszelkie rekordy, jeśli chodzi o liczbę zdjęć Paderewskiego. I w tej też gazecie znajdujemy opisy wyglądu zewnętrznego polityka: „srebrzysta grzywa, piękne błękitne oczy, blada twarz, wysoka smukła sylwetka...".

5 grudnia ukazuje się niezwykła reklama pastylek żelaza pod nazwą Fer Nuxate. Duży portret Paderewskiego i napis: „Wielki muzyk i patriota polski Ignacy Paderewski zażywa Fer Nuxate i dzięki temu utrzymuje się w doskonałej formie".

Artysta, lata 1920–1941

Od 1920 r. liczba artykułów poświęconych Paderewskiemu drastycznie się zmniejsza. Zmienia się także tematyka – występuje on jako artysta muzyk.

Wprawdzie do stycznia 1921 r. Paderewski pełni jeszcze jedną funkcję polityczną, gdyż reprezentuje Rzeczpospolitą w Lidze Narodów, ale mówi się o nim tylko wtedy, gdy państwo polskie jest w konflikcie z sąsiadami. Ciekawe »

eprasa.pl 236a0e0c90

» jest to, że wielkie wydarzenia w Polsce nie skłaniają dziennikarzy do kontaktu z byłym premierem. W kontekście wojny z bolszewikami tylko „Le Temps" i „Le Matin" piszą o nim. „Le Matin" zamieszcza na pierwszej stronie wywiad, w którym Paderewski stwierdza, że „tylko Francja jest prawdziwym sojusznikiem Polski w tej wojnie" (5 sierpnia 1920).

Dopiero najazd Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r. spowoduje ponowne pojawienie się Paderewskiego na scenie politycznej.

W końcu stycznia 1920 r. „La Croix" donosi, że państwo Paderewscy opuszczają Warszawę i przenoszą się na stałe do ich posiadłości w Morges w Szwajcarii. Od tej chwili w prasie francuskiej polityka zastępuje artysta. „Od dwóch lat i trzech miesięcy nie dotknąłem pianina... Jestem szczęśliwy, że mogłem poświęcić dla Ojczyzny to, co jest mi najdroższe – muzykę" – mówi Paderewski dziennikarzowi „Le Petit Parisien".

Wielki powrót pianisty następuje w czerwcu 1923 r. Seria koncertów, które mają się wtedy odbyć, jest zapowiadana w tej gazecie już od pierwszych dni miesiąca. „Paderewski, wielki wirtuoz, przybywa po wieloletniej przerwie... Ta ręka, która wydobywała magiczne tony w muzyce, podpisywała też traktat pokojowy". (7 czerwca 1923). Już przybył, już jest w hotelu. Mnóstwo kwiatów od „tej paryskiej publiczności, którą on tak lubi i która mu oddaje to uczucie z nawiązką". I wreszcie recenzja z pierwszego koncertu. Jest to dokładny opis triumfu Ignacego Paderewskiego od jego wejścia na scenę po ostatnią nutę. „Nic nie stracił ze swej sztuki, nic ze wspaniałej techniki ani stylu". Cała sala tonęła w kwiatach, a wzruszony tym przyjęciem artysta grał jeszcze długo Szopena, Liszta i Mendelssohna. I dalej od triumfu do triumfu. 18 czerwca recital w sali Champs Élysées i największy dochód z koncertu, jaki zarejestrował ten teatr (120 tys. franków).

Zaczyna się więc nowa „kariera" medialna Paderewskiego. Staje się on gwiazdą, i to we współczesnym znaczeniu tego słowa – lubiany przez prasę, uwielbiany przez publiczność. Także dlatego, że bardzo często dochody z jego koncertów są w całości przeznaczane na cele charytatywne. Prasa podkreśla szczodrość artysty, donosi o jego pięknych gestach. „La Croix" z 6 czerwca 1928 r. opisuje historię pewnego koncertu Paderewskiego w Minneapolis. W jednym z tamtejszych klasztorów siostry zakonne (muzykujące) bardzo chciały usłyszeć słynnego pianistę. Ale jak to zrobić, skoro klauzula zabrania uczestniczenia w publicznych spektaklach? Dowiedziawszy się o tym, Paderewski wstał trzy godziny wcześniej i mimo zmęczenia (ma 67 lat) pojechał do tego klasztoru i dał tam godzinny koncert. Radość i zachwyt sióstr!

Paderewski jest rzeczywiście gwiazdą. Czytelnicy chcą wiedzieć o nim wszystko. „Le Matin" zamieszcza sporą notatkę o śmierci pieska państwa Paderewskich i o anulowaniu z tego powodu jednego koncertu w Stanach (21 kwietnia 1924). Ten sam dziennik podaje informację o tym, że artysta nadwerężył sobie palec w czasie koncertu w Carnegie Hall w Nowym Jorku, ale nie przestał grać pomimo dotkliwego bólu. Pisze też o ubezpieczeniu palców pianisty na sumę 5 tys. franków. Wszystko na pierwszej stronie wydania z 14 grudnia 1925 r.

„LE TEMPS" PUBLIKUJE CAŁE PRZEMÓWIENIE PADEREWSKIEGO NA KONFERENCJI POKOJOWEJ Z PODKREŚLENIEM JEGO SŁÓW: „POLSKA OD BAŁTYKU PO KARPATY, NIEPODLEGŁA I NIEPODZIELNA"

We wrześniu 1929 r gazety informują o operacji wyrostka robaczkowego. Stan artysty jest dobry.

Jeszcze jedna reklama. Wszystkie gazety poza „Le Temps" drukują ją kilkakrotnie w latach 1924–1925. Piękny portret rysunkowy głowy pianisty, obok pianino i napis: „Możesz zostać szczęśliwym posiadaczem pianina PIANOLA, na którym gra sam Paderewski, za jedyne 4 tysiące franków".

W końcu lat 20. we Francji następuje rozkwit nowego środka przekazu medialnego – radia. Radiowe programy muzyczne są bardzo szczegółowe i często publikowane na pierwszej stronie „La Croix" oraz w innych gazetach. Królują w nich nagrania Ignacego Paderewskiego. Artykuły o nim są coraz rzadsze, ale jego muzyka jest wszędzie.

Czytelnicy są też informowani o honorach i odznaczeniach premiera. Legia Honorowa we Francji w maju 1929 r. Popiersie Paderewskiego w Konserwatorium Narodowym w Paryżu. „Warszawa nadaje jednemu ze swych najpiękniejszych parków nazwę Park Ignacego Paderewskiego" – donosi „La Croix" z 28 czerwca 1928 r. Odnotowuje także tytuły honorowego obywatela przyznane przez Poznań, Lozannę i Vevey w latach 1925–1933.

Ostatnia misja

Po wybuchu II wojny światowej 21 września 1939 r. gazety publikują „List otwarty Ignacego Paderewskiego do narodów cywilizowanego świata". Były premier pisze m.in.: „Polska po raz kolejny w swej historii staje się murem obronnym przed barbarzyństwem".

W październiku tego roku tworzy się Polski Rząd na Uchodźstwie z gen. Władysławem Sikorskim na czele. Oczywiście Paderewski jest zaproszony jako doradca i przyjęty z honorami – gazety publikują wyjątki z listu Sikorskiego. W styczniu 1940 r. „Le Temps" i „Le Matin" zamieszczają na pierwszej stronie relację z pierwszego posiedzenia gabinetu. Jest zdjęcie Paderewskiego z Raczkiewiczem i Sikorskim. Są fragmenty przemówienia Paderewskiego. W tym samym roku dzienniki poinformują jeszcze o podróży Paderewskiego do Stanów Zjednoczonych.

1 lipca 1941 r. prasa podaje wiadomość o śmierci „sławnego wirtuoza Ignacego Paderewskiego". Zmarł w Nowym Jorku w wieku 80 lat i został pochowany na cmentarzu w Arlington.

W zajętej przez Niemcy Francji „Le Temps" znika z rynku prasowego, „Le Matin" i „Le Petin Parisien" najwyraźniej stosują już autocenzurę: o śmierci artysty i byłego premiera Polski czytelnicy dowiadują się z niewielkich notatek na trzeciej stronie. „La Croix" natomiast poświęca mu pierwsze strony wydania z 1 i 3 lipca 1941 r.

eprasa.pl 236a0e0c90



PAWEŁ SKIBIŃSKI

1951 rok sowieckich szpiegów atomowych

6 marca 1951 r. przed nowojorskim sądem rozpoczął się proces małżeństwa – Juliusa i Ethel Rosenbergów, najbardziej znanych sowieckich szpiegów atomowych, którzy przekazali do Moskwy tajemnice związane z amerykańską bronią jądrową. 5 kwietnia Rosenbergowie zostali za szpiegostwo skazani na karę główną.

Urodzony w 1918 r. Julius Rosenberg pochodził z żydowskiej rodziny przybyłej do USA z Rosji. Był z zawodu inżynierem elektrykiem, a od wczesnej młodości działał w Lidze Młodzieży Komunistycznej, a potem był członkiem nielegalnej Partii Komunistycznej USA. Nie przeszkodziło mu to pracować w przemyśle przy realizacji rządowych projektów zbrojeniowych.

Od 1942 r. Julius podjął współpracę z wywiadem sowieckim, a więc został szpiegiem w okresie, gdy USA było formalnym sojusznikiem Związku Sowieckiego. Był prowadzony najpierw przez wybitnych sowieckich oficerów wywiadu – Siemiona Siemionowa, a następnie przez Aleksieja Fieklisowa. Rosenberg osobiście przekazywał informacje wywiadowcze, pośredniczył w kontaktach z innymi informatorami, a także werbował kolejnych współpracowników do siatki szpiegowskiej w Stanach Zjednoczonych.

Ethel wyszła za Juliusa w 1939 r. Trzy lata starsza od swego męża, była z pochodzenia Żydówką. Podobnie jak Julius była także działaczką komunistycznej młodzieżówki oraz należała do partii komunistycznej. Choć sama Ethel nie uczestniczyła w przekazywaniu informacji szpiegowskich, wiedziała o działalności męża, pomagała mu i wciągnęła do siatki szpiegowskiej swego brata – Davida Greenglassa, który został później głównym świadkiem oskarżenia w sprawie Rosenbergów.

Małżonkowie zostali aresztowani przez FBI latem 1950 r. – najpierw Julius, a następnie Ethel. Oboje do końca nie przyznawali się do winy. Ich proces budził pewne wątpliwości. Faktem były naciski na świadków oskarżenia, którzy mieli jak najbardziej obciążyć zwłaszcza Ethel, co do której winy dowody były nieprzekonujące.

Ostatecznie oboje – Julius i Ethel – zostali skazani na karę śmierci. Prezydent USA Dwight Eisenhower nie skorzystał w ich przypadku z prawa łaski. Egzekucja małżeństwa Rosenbergów została więc dokonana w więzieniu Sing-Sing w 1953 r.

Rosenbergowie odpowiadali przede wszystkim za pośrednictwo w przekazywaniu informacji na temat amerykańskiego programu atomowego „Manhattan". Jednak pierwotnym źródłem kluczowych danych był nie sam Rosenberg, lecz Klaus Fuchs, niemiecki fizyk i komunista, który w trakcie II wojny światowej uzyskał obywatelstwo brytyjskie, a jednocześnie stał się współpracownikiem wywiadu sowieckiego. Jednak sam Julius Rosenberg także zdobył i przekazał Sowietom cenne informacje zbrojeniowe – m.in. wysłał do Moskwy kompletną dokumentację tzw. zapalnika zbliżeniowego.

Współcześnie historycy uważają, że wina Juliusa i Ethel Rosenbergów nie podlega dyskusji. Potwierdziły ją depesze sowieckie rozszyfrowane przez Amerykanów w ramach tzw. projektu Venona, a także relacje Fieklisowa, opublikowane już w XXI w.

Julius i Ethel osierocili dwóch kilkuletnich synów – Michaela i Roberta, którzy przyjęli później nazwisko Meerpool. Pierwszy był lewicowym ekonomistą i wykładowcą akademickim, drugi – aktywistą antywojennym i działaczem socjalistycznym. Przez wiele lat twierdzili, że ich rodzice zostali skazani na podstawie sfałszowanych dowodów i byli niewinni. Dopiero w 2008 r. obaj przyznali, że przynajmniej ich ojciec był rzeczywiście sowieckim szpiegiem.

Wokół sprawy Rosenbergów komuniści na całym świecie rozpętali gwałtowną propagandową akcję wsparcia. W obronie skazanych występowali związani z partią komunistyczną intelektualiści i artyści, m.in. francuski filozof Jean Paul Sartre, niemiecki dramaturg Bertold Brecht, meksykańska malarka Frieda Kahlo, hiszpański malarz Pablo Picasso, a także niemiecki filmowiec Fritz Lang.

Sterowana z Sowietów kampania propagandowa nie skończyła się wraz z egzekucją Rosenbergów. Zaangażowani w jej realizację byli także polscy literaci. Komunistyczny dramatopisarz Leon Kruczkowski poświęcił Rosenbergom dramat „Julius i Ethel" z 1954 r., a uważany za „młodego gniewnego" pisarza Marek Hłasko napisał o nich opowiadanie „Wielki strach", opublikowane w 1955 r.

Ciekawe, że inni członkowie siatki Rosenbergów mieli o wiele więcej szczęścia od małżeństwa, które za współpracę z Moskwą zapłaciło życiem. Bezpośrednio odpowiedzialny za kradzież danych Fuchs wprawdzie trafił do amerykańskiego więzienia na dziewięć lat, ale zwolniony w 1959 r. wyjechał do NRD, gdzie żył w glorii sławy i zmarł w 1988 r. Inny z członków sowieckiej siatki szpiegowskiej – Morton Sobell – został zwolniony w 1969 r., stał się lewicowym aktywistą wielokrotnie odwiedzającym Wietnam, NRD i Kubę, a zmarł dopiero w 2018 r. w wieku 101 lat.



Julius i Ethel Rosenbergowie

FOT. EAST NEWS

ARCYBISKUP ROMUALD JAŁBRZYKOWSKI

– *ostatni rycerz kresowy*



W MARCU 1942 ARESZTOWANY PRZEZ GESTAPO, DO LATA 1944 INTERNOWANY NA TERENIE KLASZTORU W MARIAMPOLU. W STYCZNIU 1945 r. UWIĘZIONY PRZEZ SOWIETÓW NA ŁUKISZKACH. W CZERWCU 1945 r. DECYZJĄ MOSKIEWSKIEGO KOLEGIUM SPECJALNEGO DEPORTOWANY DO BIAŁEGOSTOKU, KTÓRY WRAZ Z OKRAWKIEM DIECEZJI WILEŃSKIEJ WSZEDŁ W SKŁAD POLSKI LUDOWEJ



MARTA CYWIŃSKA

To właśnie rządom pasterskim abp. Jałbrzykowskiego w archidiecezji wileńskiej zawdzięcza Kościół na Wileńszczyźnie swoje przetrwanie w trudnych czasach nie tylko po II wojnie światowej, lecz i do dziś.

Łomżyńskie początki

Przyszły arcybiskup przyszedł na świat 7 lutego 1876 r. w szlacheckim zaścianku Łętowo-Dąb. Jego rodzinna ziemia łomżyńska znana z pobożności i tradycyjnego modelu wychowania wydała wielu przyszłych księży oraz zakonników. Ród Jałbrzykowskich związany był z tą malowniczą okolicą z dziada pradziada. Rodzice – Rozalia z Krajewskich i Feliks Jałbrzykowski – na chrzcie świętym nadali synowi imię Romuald.

Niezwykle zdolny i bogobojny młodzieniec ukończył Klasyczne Gimnazjum Męskie w Łomży, następnie podjął naukę w seminarium duchownym w Sejnach. Był powszechnie lubiany – potrafił doradzić, wysłuchać, okazać serdeczność i zrozumienie. W latach 1898–1902 kontynuował studia w Akademii Duchownej w Petersburgu, po ich ukończeniu zaczął prowadzić zajęcia w seminarium duchownym w Sejnach, m.in. z języków łacińskiego, polskiego i rosyjskiego, homiletyki, teologii moralnej oraz patrologii. Od 1908 r. łączył funkcję wicerektora seminarium z działalnością dobroczynną, edukacyjną oraz społeczną. Z jego inicjatywy powstało stowarzyszenie Gospodarz prowadzące chrześcijańską stołówkę, sklep spożywczy, sklep z narzędziami rolniczymi, a także narodził się Związek Katolicki – mający emanować na dawne polskie Kresy, umacniając ducha katolickiego oraz narodowego. Dzięki inicjatywie ks. prof. Jałbrzykowskiego powstało także koło Polskiej Macierzy Szkolnej – przyczółek edukacji oraz wychowania ku wartościom narodowym.

Wojenna pożoga

Podczas I wojny światowej przebywał w Mohylewie, dokąd przeniesiono seminarium duchowne, a później w Mińsku, gdzie troszczył się o zaspokojenie potrzeb duchowych polskich wygnańców. Przy pomocy tamtejszych księży organizował wykłady popularyzatorskie z pogranicza teologii i filozofii oraz niósł opiekę duchowną we wszystkich szkołach i ochronkach. Należał do Polskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. bp Romuald Jałbrzykowski stanął na czele społecznego Komi-

FOT. NAC

eprasa.pl 236a0e0c90

tetu Obrony Łomży. Podczas okupacji Łomży przez nacierającą na Warszawę bolszewicką armię został na kilka dni aresztowany.

„Co w Ostrej świecisz Bramie"

24 czerwca 1926 r. został mianowany arcybiskupem metropolitą wileńskim. Miał świadomość, iż jego poprzednik – Jerzy Bolesław Matulewicz (beatyfikowany przez Jana Pawła II w 1987 r.) – zrzekł się urzędu, nie znalazłszy sposobu zażegnania konfliktów pomiędzy Polakami a Litwinami.

Za obecności abp. Jałbrzykowskiego w Wilnie życie zakonne rozkwitało. Większość czasu spędzał na wizytacji parafii: od Litwy Kowieńskiej po Mazowsze i Mińszczyznę. Przez pierwsze lata po ingresie objechał je wszystkie. Dbał o najwyższy poziom nauczania i angażował znamienitych pedagogów, np. w gimnazjum jezuickim w Wilnie uczył języka francuskiego o. Alfons Raes, późniejszy prefekt Biblioteki Apostolskiej.

Jednakże wielu Litwinów nie mogło się pogodzić z ingresem Jałbrzykowskiego, mimo że dobrze władając tym językiem, odprawiał nawet w nim msze św. Stosunki między Polską a Litwą stawały się podówczas bardziej napięte, natomiast abp Jałbrzykowski starał się niezmiennie o dobre relacje z innymi narodowościami w Wilnie – np. kiedy spotykał się z Litwinami, inicjował konwersację w ich języku. Już wtedy zarzucali mu działalność polonizacyjną, mimo że nakazał on księżom uczyć się tego języka, co miało im ułatwić posługę duszpasterską.

Wileńskie ścieżki

W 1927 r. abp Jałbrzykowski połączył Seminarium Wileńskie z Wydziałem Teologicznym USB. Podówczas inicjował tworzenie „klasztorków" przy wileńskich parafiach (opieka nad chorymi, samotnymi, pomaganie prefektowi w prowadzeniu lekcji religii, ochronki). Przez ponad 15 lat żył ze zdiagnozowanym nowotworem złośliwym, mimo to niestrudzenie prowadził działalność patriotyczną i posługę duszpasterską. Wilno było mu szczególnie bliskie: chodził wileńskimi ścieżkami, podziwiał dzieła architektury, ale i rozmawiał z jego mieszkańcami. W nauczaniu często odwoływał się do działalności filomatów oraz filaretów.

W tym samym roku doprowadził do koronacji cudownego wizerunku Matki Boskiej w Ostrej Bramie. Ta wspaniała uroczystość znacznie przyczyniła się do umocnienia roli Wilna w świadomości Polaków w II Rzeczypospolitej oraz zaowocowała licznymi pielgrzymkami, szczególnie młodzieży zdążającej wtedy na szlaki historyczne po Kresach. Patronował licznym wydawnictwom dewocyjnym i popularyzatorskim propagującym kult Ostrobramskiej i artyzm świątyń Wileńszczyzny.

Prześladowania i represje

Na przełomie listopada i grudnia 1939 r. rozpoczęła się – prowadzona na wielką skalę – lituanizacja Wilna, w tym nazw miejskich ulic, uliczek oraz placów (ulicę Mickiewicza przemianowano na Gedymino, Juliusza Słowackiego na Mindaugo, Wielką Pohulankę – na Jono Basanavičiaus). Usunięto ze szkół polskie godła i emblematy, a także Orła zdobiącego Ostrą Bramę.

W grudniu 1939 r. rząd litewski wysłał do Watykanu list, w którym domagał się odwołania abp. Jałbrzykowskiego i powołania w jego miejsce nowego administratora apostolskiego. W marcu 1942 r. arcybiskup został zatrzymany przez gestapo oraz osadzony w areszcie. W Mariampolu stoi barokowy klasztor – zamknięty przez władze carskie w 1863 r. Podczas II wojny światowej więziony był tu przez władze niemieckie w latach 1942–1944 Romuald Jałbrzykowski. Do Wilna powrócił w sierpniu 1944, już po zajęciu miasta przez Sowietów.

W styczniu 1945 r. arcybiskup został ponownie aresztowany – tym razem przez NKWD – i osadzony na Łukiszkach. Oskarżono go o współpracę z Armią Krajową oraz działalność na szkodę Związku Sowieckiego. Otrzymał czasowy zakaz opuszczania terytorium Litewskiej SRR. Operację nadzorował szef sowieckiej bezpieki na Litwie Aleksandras Guzevičius, który obsesyjnie demonstrował nienawiść wobec arcybiskupa.

Romuald Jałbrzykowski w czasie swojej wileńskiej posługi doceniony został nie tylko za działania na rzecz Kościoła. Komenda Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej przyznała mu Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Dzięki arcybiskupowi niezłomnemu powstał tu także ośrodek, który pomagał przetrwać później katolikom na Litwie.

Białystok – małe Wilno?

W czerwcu 1945 r. Kolegium Specjalne NKWD w Moskwie zarządziło deportację arcybiskupa do Białegostoku, gdzie pozostał „decyzją jałtańską" skrawek archidiecezji wileńskiej. Do Białegostoku przybyli również członkowie wileńskiej kapituły katedralnej. Archidiecezja obejmowała 51 parafii pozostałych w granicach państwa polskiego z archidiecezji wileńskiej. Arcybiskup Jałbrzykowski powołał także kościelny sąd metropolitalny, a przede wszystkim seminarium duchowne. Ważne miejsce zajmowała w jego programie duszpasterskim obrona macierzyństwa.

14 września 1945 r. arcybiskup wydał rozporządzenie o zorganizowaniu w każdej parafii oddziału Caritasu. Związek ten miał za zadanie prowadzić akcje nie tylko charytatywne, lecz również społeczne. Władze komunistyczne, zapewne pod wpływem nacisków z Moskwy, domagały się od prymasa Polski likwidacji administracji w Białymstoku. Takie żądanie wysunął we wrześniu 1950 r. m.in. Antoni Bida, ówczesny szef Urzędu ds. Wyznań.

Dzięki niezłomnemu arcybiskupowi na wygnaniu przetrwała tradycja Kościoła wileńskiego w moim rodzinnym mieście, które dla wielu prawosławnych lub deklarujących się jako „tutejsi" było miejscem ogromnego awansu społecznego. Tak wytężona praca odbiła się jednak na zdrowiu: operacja nowotworu odwlekła zgon, aczkolwiek choroba stała się ciężkim krzyżem ostatnich 15 lat życia arcybiskupa. Lat naznaczonych okupacjami, aresztowaniem i deportacją, lat największego wysiłku i najprawdziwszej wielkości.

Arcybiskup wygnaniec zmarł w Białymstoku 19 czerwca 1955 r. Otoczony już za życia opinią świętości, spoczął w katedrze białostockiej – bazylice mniejszej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Ostatnia wola zmarłego była przepełniona duchem skromności: aby trumna ze zwyczajnych nieheblowanych desek skryła doczesne szczątki, przy trumnie tylko cztery świece, bez wieńców i zieleni oraz żadnych wygłaszanych mów.

Proszę P.T. Czytelników o modlitwę za ostatniego Rycerza Kresowego.

eprasa.pl 236a0e0c90

KRYPTONIM POBORCA, CZYLI SB NA TROPIE TRANSFEROWYCH AFER



REWELACJE O RZEKOMYM UDZIALE SB W TRANSFERZE ZBIGNIEWA BOŃKA DO JUVENTUSU TURYN W 1982 r. ODBIŁY SIĘ OSTATNIO SZEROKIM ECHEM. RZECZYWIŚCIE BEZPIEKA, NIE TYLKO CYWILNA, LECZ I WOJSKOWA, INTERESOWAŁA SIĘ RÓWNIEŻ TRANSFERAMI PIŁKARZY. NIE BYŁA JEDNAK, JAK UTRZYMUJĄ TO DZISIAJ NIEKTÓRZY, POŚREDNIKIEM, ICH MOTOREM, ALE RACZEJ HAMULCOWYM



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Bezpieka kilkukrotnie próbowała zablokować piłkarskie transfery. Tak było np. w przypadku przejścia Roberta Gadochy z Legii Warszawa do FC Nantes (zob. „Kulisy transferu »Piłata« do FC Nantes", „wSieci Historii" nr 6/2016) czy zmiany barw klubowych przez Dariusza Dziekanowskiego („Transfer »Dziekana« z Gwardii Warszawa do Widzewa Łódź", „wSieci Historii" nr 6/2017). Najczęściej jednak tropiła nieprawidłowości towarzyszące transferom („Piłkarskie jaja, czyli transfer Zenona Kasztelana", „wSieci Historii" nr 3/2018). Czasem nawet w związku z nimi prowadziła oddzielne sprawy, rozpracowania. Tak było np. pod koniec lat 80. 27 listopada 1987 r. Wydział IX Departamentu III MSW, który odpowiadał m.in. za „operacyjną ochronę" Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki (GKKFiT), założył sprawę operacyjnego sprawdzenia pod kryptonimem Poborca.

Donos sprawczy

Przyczyniła się do tego „wiarygodna informacja" uzyskana od kontaktu operacyjnego o pseudonimie Henryk, że wicedyrektor Centralnego Ośrodka Sportu (COS) Jerzy Machaj, który był w tej instytucji odpowiedzialny za transfery zagraniczne, miał czerpać „korzyści materialne z tytułu realizacji kontraktów zagranicznych". Mało tego, podejrzewano również, że może on udostępniać zagranicznym kontrahentom poufne dokumenty GKKFiT, co z kolei miało umożliwiać im „negocjowanie kontraktów na warunkach finansowych niekorzystnych dla strony polskiej".

Szybko informacje KO „Henryka" znalazły potwierdzenie w innych źródłach. Celami Służby Bezpieczeństwa były: 1) potwierdzenie wiarygodności uzyskanych danych; 2) wyjaśnienie okoliczności „kwestionowanych transferów zagranicznych"; 3) ustalenie, czy rzeczywiście, a jeśli tak, to w jaki sposób, poufne dokumenty COS trafiają w ręce kontrahentów zagranicznych; 4) procesowe udokumentowanie występujących nieprawidłowości; 5) pociągnięcie do odpowiedzialności karnej lub administracyjnej „osób uczestniczących w działalności niezgodnej z prawem".

Funkcjonariusze SB skupili się na osobie Machaja. Zainteresowano się zwłaszcza jego „zażyłymi, nieformalnymi kontaktami z pośrednikami zagranicznymi, m.in. Januszem Feinerem", który znalazł się na celowniku bezpieki już kilka lat wcześniej. W latach 1982–1984 był on rozpracowywany w ramach sprawy dotyczącej pośrednictwa w nielegalnych transferach polskich hokeistów do Austrii. Według ustaleń Służby Bezpieczeństwa za ujawnianie tzw. minimów transferowych wicedyrektor Centralnego Ośrodka Sportu miał zresztą czerpać „określone korzyści materialne" nie tylko od pośred-

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 236a0e0c90



ników, lecz również od zainteresowanych nimi zawodników. W ramach rozpracowania Jerzego Machaja zamierzano: 1) rozpoznać charakter jego powiązań z pośrednikami transferowymi; 2) potwierdzić fakt udostępniania im przez niego dokumentów COS dotyczących transferów; 3) rozpoznać jego cele i motywy działania; 4) procesowo udokumentować (we współpracy z Biurem Śledczym MSW) występujące nieprawidłowości. Dla zrealizowania tych celów zamierzano podjąć wiele działań, m.in. przeprowadzić „dokumentowane rozmowy wyjaśniające" z zawodnikami, których transfery doszły już do skutku.

Sprawa Fabera

Służba Bezpieczeństwa interesowała się np. zmianą barw klubowych przez Marka Filipiaka z Łódzkiego Klubu Sportowego. Jak bowiem donosił 17 lipca 1987 r. kontakt operacyjny „ZK", piłkarz ten „nigdy nie zwracał się do PZPN o wyrażenie zgody na grę poza granicami [kraju]". Tymczasem od sezonu 1983/1984 grał w austriackim SV Stockerau... W sprawie owej zgody Machaj interweniował u sekretarza generalnego PZPN Zbigniewa Kalińskiego, ale ten odmówił zgody, stwierdzając, że „w związku nie ma żadnej dokumentacji [...] i nigdy nie było". Uwadze funkcjonariuszy SB nie uszły również perypetie transferowe Romana Fabera, wieloletniego zawodnika Śląska Wrocław. Piłkarz ten był od 1984 r. graczem austriackiego Wiener Sport-Club. W 1986 r. uzyskał zgodę GKKFiT na występy w tym klubie w dwóch kolejnych sezonach. Dalsze rozmowy z COS w tej sprawie prowadził w imieniu Austriaków Farner, który miał zawrzeć umowę do końca 1988 r. Nigdy jej jednak polskiemu sportowcowi nie przedstawił, kiedy zaś w czerwcu 1987 r. klub ten postanowił nie przedłużać kontraktu z Faberem, pośrednik zaproponował mu grę w trzecioligowym Casino Baden. Piłkarz nie podjął tej kwestii ze względu na – jak sam pisał – „mniej niż skromne" warunki, jakie mu zaproponowano. W międzyczasie zainteresowała się nim poważnie zachodnioniemiecka FC Viktoria Köln. Klub ten ustalił warunki z Wiener Sport-Club, którego zawodnikiem formalnie był jeszcze Roman Faber. Okazało się jednak, że w międzyczasie Polski Związek Piłki Nożnej potwierdził już w Austriackim Związku Piłki Nożnej piłkarza do Casino Baden. Stało się tak, mimo że ani Faber się o to nie ubiegał, ani też nie dopełniono całej koniecznej w tym przypadku procedury. Co więcej, piłkarz – wraz ze swoim menedżerem Waldemarem Wójcikiem – złożył wniosek o zgodę na grę w zachodnioniemieckim klubie nie tylko w centrali polskiego związku piłkarskiego, lecz również w COS i GKKFiT...

„ZREALIZOWANO 154 TRANSFERY, PRZY CZYM W 59 SPRAWACH NIE SPORZĄDZONO UMÓW, A W DALSZYCH 38 PRZYGOTOWANE PROJEKTY UMÓW NIE ZOSTAŁY PODPISANE"

Wkracza NIK

Sprawą transferów zagranicznych interesowała się nie tylko Służba Bezpieczeństwa. Kontrolę m.in. w tym zakresie w Centralnym Ośrodku Sportu przeprowadziła również Najwyższa Izba Kontroli. Jej wyniki mogą robić wrażenie. „W latach 1986–1987 zrealizowano 154 transfery, przy czym w 59 sprawach (38 proc.) nie sporządzono wymaganych umów, w dalszych 38 (24 proc.) przygotowane projekty umów nie zostały podpisane, a pomimo tego zawodnicy objęci tymi transferami uzyskali zgodę na grę w zagranicznych klubach" – pisał 13 stycznia 1988 r. wiceprezes NIK Jan Antosik do przewodniczącego Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej Aleksandra Kwaśniewskiego. To zresztą nie koniec. Kontrahenci zagraniczni często nie wywiązywali się z podjętych przez siebie zobowiązań. I tak np. zaległości w dostawach sprzętu (na dzień 31 sierpnia 1987 r.) wynosiły ponad 355 tys. dol. – przykładowo Eintracht Frankfurt nie dostarczył sprzętu za niemal 33 tys. dol. za transfer Włodzimierza Smolarka z Widzewa Łódź w 1986 r. Skala nieprawidłowości była na tyle duża, że zaczęła o nich pisać (konkretnie o perypetiach transferowych Romana Fabera) nawet prasa – w tygodniku „Kultura" z 13 kwietnia 1988 r. opisał je szczegółowo Tomasz Rudomino.

Artykuł ten najprawdopodobniej jedynie przyspieszył decyzję nowego szefa Centralnego Ośrodka Sportu w sprawie Jerzego Machaja, który został odwołany ze stanowiska wicedyrektora COS. Była to zresztą realizacja jednego z wniosków pokontrolnych Najwyższej Izby Kontroli. I jedyne konsekwencje, jakie poniósł ten działacz. Mimo że funkcjonariusze Wydziału IX Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Prawnego – na który przemianowano Departament III MSW – stwierdzali, iż podejrzenia wobec niego zostały potwierdzone, to w połowie października 1989 r. uznali, że jego rozpracowanie należy zakończyć, a akta złożyć do archiwum... Ich uzasadnienie, że „ustały możliwości operacyjnej kontroli jego działań", a ponadto nic nie wskazuje, aby „zamierzał w najbliższym czasie powrócić do pracy w sporcie", należy uznać wręcz za kuriozalne. Nie sposób zatem nie zadać pytania: czyżby zatem Jerzy Machaj miał tak wpływowego protektora na szczytach peerelowskich władz, skoro nawet bezpieka postanowiła pozostawić go w spokoju? Niezależnie od przyczyn tej nadzwyczajnej wręcz wyrozumiałości Służba Bezpieczeństwa nie pozostała całkiem bezczynna. Jej funkcjonariusze przyczynili się bowiem do utrącenia jego kandydatury na dyrektora Biura Sportu i Turystyki w Polskim Związku Motorowym...

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 236a0e0c90



POLSKA JEST JEDNA?

BOLESŁAW ŚWIDERSKI I WYWIAD PRL

BOLESŁAW ŚWIDERSKI, ZNANY W „POLSKIM" LONDYNIE KSIĘGARZ, WYDAWCA I REDAKTOR, BYŁ RÓWNIEŻ WIELOLETNIM WSPÓŁPRACOWNIKIEM KOMUNISTYCZNEGO WYWIADU



KRZYSZTOF TARKA

Urodził się we Lwowie w 1912 r. Na początku lat 30., podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, związał się z ruchem narodowym. Był działaczem Obozu Wielkiej Polski i prezesem Młodzieży Wszechpolskiej w Krakowie. W 1934 r. wstąpił do Obozu Narodowo-Radykalnego. W czerwcu tego roku po zamordowaniu ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, o co władze sanacyjne oskarżyły ONR (w rzeczywistości zamach przeprowadzili nacjonaliści ukraińscy), trafił do utworzonego właśnie obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Po zwolnieniu z obozu związał się z grupą Bolesława Piaseckiego (ONR-Falanga).

Po klęsce wrześniowej 1939 r. przedostał się na Węgry, gdzie został internowany w obozie dla oficerów, skąd niebawem uciekł. Próbował wrócić do okupowanej Polski, ale na granicy aresztowali go Niemcy. W czerwcu 1940 r., w drugim transporcie więźniów, trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Pracował jako sanitariusz w obozowym szpitalu. W 1943 r. przeniesiono go do obozu w Neuengamme k. Hamburga, a rok później do Mauthausen w Austrii. Po wyzwoleniu obozu przez aliantów przedostał się do stacjonującego na terenie Włoch Drugiego Korpusu Polskiego. W końcu 1946 r. wraz z wojskiem wyjechał do Wielkiej Brytanii.

Londyńskie początki

W Londynie był jednym z organizatorów Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas", którego został pierwszym dyrektorem. W 1949 r. rozstał się z Veritasem i założył własną firmę księgarską. Od 1954 r. przez 10 lat prowadził kiosk z wydawnictwami w siedzibie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, największej organizacji społecznej na emigracji. Księgarnia Świderskiego była jednym z pierwszych punktów, w którym sprzedawano nie tylko wydawnictwa emigracyjne, lecz także czasopisma i książki z kraju. Największą popularnością cieszyła się prasa sportowa („Przegląd Sportowy") i kobieca („Przyjaciółka", „Kobieta i Życie"), a spod lady można było nawet kupić „Trybunę Ludu". Sprzedaż krajowych wydawnictw, i to pod bokiem SPK, irytowała wielu emigrantów. Po kilkuletniej batalii sprawa otarła się o sąd angielski, kombatanci wymówili mu ostatecznie wynajem lokalu.

Jeszcze w 1955 r. Świderski założył własne wydawnictwo, które szybko stało się jedną z największych oficyn w „polskim" Londynie. W ciągu 14 lat istnienia firma opublikowała ok. 70 tytułów książek. Ich autorami było wielu wybitnych pisarzy emigracyjnych: Maria Czapska, Ferdynand Goetel, Stefania Kossowska, Józef Mackiewicz, Sergiusz Piasecki, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska. Chlubą

eprasa.pl 236a0e0c90

oficyny Świderskiego było bibliofilskie wydanie „Iliady" w nowym tłumaczeniu (heksametrem) czy pionierskie dwutomowe dzieło pod redakcją T. Terleckiego „Literatura polska na obczyźnie 1940–1960". Świderski wydał również ważne wspomnienia Zygmunta Zaremby, Sławoja Felicjana Składkowskiego, Stefana Korbońskiego, Adama Pragiera czy opracowania historyczne Władysława Konopczyńskiego, Mariana Kukiela, Władysława Pobóg-Malinowskiego.

Miłe złego początki

Na emigracji Świderski nie angażował się w działalność polityczną. Po październiku 1956 r. coraz wyraźniej podważał jednak sens niezłomnej i nieprzejednanej postawy wychodźstwa, co doprowadziło go do współpracy z komunistycznymi tajnymi służbami.

Emigracyjny księgarz i wydawca planował rozszerzenie sprzedaży krajowych książek i czasopism. W tym celu jeszcze w 1958 r. skontaktował się z Mieczysławem Kowalskim „Bartoszem", pracownikiem konsulatu PRL w Londynie, w rzeczywistości oficerem wywiadu. Funkcjonariusz popierał jego plan. Wskazywał na korzyści handlowe i propagandowe. Do Londynu na rozmowy ze Świderskim przyjechał nawet dyrektor Centrali Handlu Zagranicznego „Ars Polona". Zabiegi ambitnego emigranta o uzyskanie koncesji na sprzedaż krajowych wydawnictw zakończyły się jednak niepowodzeniem. Rozgoryczony oskarżał Juliusza Scharfa, właściciela konkurencyjnej księgarni Cracovia, że ten daje łapówki i dlatego otrzymał koncesję.

Świderski namawiał też kpt. Kowalskiego do wydawania nowego tygodnika. Pismo miało być trybuną opozycji w „polskim" Londynie i zwalczać emigracyjny legalizm. Ta polityczna oferta miała skusić władze PRL do finansowego wsparcia projektu. „Bartosz" zapalił się do pomysłu Świderskiego i apelował o jak najszybsze sfinalizowanie sprawy. Mimo potencjalnych korzyści kierownictwo wywiadu początkowo z dystansem odniosło się do tej propozycji. W rezultacie oficer wywiadu na kilka miesięcy zawiesił kontakt ze Świderskim.

Ostatecznie pierwszy numer nowego czasopisma ukazał się z datą 17 listopada 1962 r. Pismo nosiło tytuł „Kronika" i miało charakter tygodnika społeczno-kulturalnego. Skierowane było do szerokiego grona czytelników, a jego podtytuł „Pismo dla wszystkich" ujawniał ambicje redaktora naczelnego. Na jego łamach, obok ataków na „polski" Londyn, pojawiały się peany na cześć Polski Ludowej czy „gra" na Rosję. Redaktor „Kroniki" przekonywał, że wydaje tygodnik za pieniądze, które pochodziły z odszkodowania otrzymanego od rządu zachodnioniemieckiego za pobyt w obozach koncentracyjnych. W rzeczywistości pismo od początku finansował wywiad PRL.

Emigrant przeciw emigracji

Już w pierwszym numerze tygodnika Świderski dezawuował sens politycznej aktywności wychodźstwa i krytykował emigracyjną „górę". Każdy kolejny numer przynosił nowe ataki na londyński „grajdoł". Redaktor „Kroniki" nieskrywaną niechęcią darzył zwłaszcza gen. Andersa. Zwycięzcę spod Monte Cassino wyśmiewał jako „upartego osła". Świderski wielokrotnie kpił też z nieskuteczności emigracyjnej polityki. Wyszydzał deklamacje na temat walki o niepodległość Polski, „którą londyńscy patrioci toczą od blisko 20 lat... w kawiarniach".


KRONIKA
pismo dla wszystkich
ROK I
17 LISTOPADA 1962
GŁÓWNY SENS POWSTANIA „KRONIKI"
1.000 PREMII
500 kalendarzyków kieszonkowych
na rok 1963
500 egz. znakomitych książek do wyboru
WYDAWNICTWO

Grając na patriotycznej nucie, „Kronika" występowała przeciwko podziałowi na emigrację i kraj: „Jest jedna literatura. Jest jedna sztuka. Jest jedna miłość ojczyzny. Jeden kraj i jeden naród" – przekonywał Świderski. Krytykując postawę emigracyjnych elit politycznych, twierdził, że „Polska jest Polską bez względu na to, kto nią rządzi". Swoim oponentom zarzucał „»niezłomność« za obce pieniądze". Tygodnik miał być rzekomo bezstronnym forum dyskusyjnym o sytuacji i sprawach kraju: „My chcemy wiedzieć, jak tam jest naprawdę! – głosiła redakcja. Chcemy wiedzieć koniecznie, bo tam mieszkają nasi rodzice, bracia, krewni, bo tam żyją Polacy, bo tam jest Polska!".

Świderski przekonywał, że rządy endeków Bieleckiego, socjalistów Ciołkosza, ludowców Mikołajczyka czy „junty" Andersa byłyby największym nieszczęściem dla Polski. Z zachwytem twierdził, że polscy komuniści przyczynili się do modernizacji kraju: „uwolnili z ciemnoty i nędzy chłopów i robotników", „przekształcili Polskę z ubogiego państwa rolniczego w świetnie zapowiadające się na przyszłość państwo przemysłowe", „dźwignęli Polskę pod względem kultury na nieznane nam dotąd wyżyny". Zrealizowali również cel jego młodzieńczej działalności: przekształcili Polskę w państwo narodowe.

Z upływem lat redaktor „Kroniki" coraz wyraźniej sympatyzował z szefem MSW gen. Mieczysławem Moczarem. Ze środowiskiem „partyzantów" wiązał nadzieje na poszerzenie społecznej bazy rządzenia i demokratyzację ustroju. Nie była mu również obca nacjonalistyczna retoryka, którą ochoczo posługiwali się „partyzanci".

Negując emigracyjny legalizm, twierdził, że Polska ma tylko jeden rząd, który urzęduje w Warszawie: „Wszelkie próby utrzymywania fikcji takich czy innych rządów emigracyjnych są objawami paranoi, wytłumaczalnej tylko podeszłym wiekiem i obawą przed utratą warunków egzystencji".

Apelował do emigrantów o rozsądek, pogodzenie się z rzeczywistością i uznanie niezmienności powojennego układu sił na świecie: „W możliwość trzeciej wojny »

eprasa.pl 236a0e0c90

» światowej – pisał szyderczo – mogą wierzyć jeszcze zdziecinniali staruszkowie spod znaku Andersa i Zaleskiego". Przypominał, że Zachód opuścił Polskę w 1939 r., a następnie przehandlował ją Związkowi Sowieckiemu. Podkopywał również wiarę w pomoc „przyjaciół zza siedmiu gór i siedmiu rzek" w przyszłości.

Konsekwentnie stawiał na kartę rosyjską. Powtarzał, że dla Zachodu Polska „będzie zawsze Kopciuszkiem". Natomiast „w bloku wschodnim, jako lojalny partner Rosji, może grać pierwsze skrzypce". W rzeczywistości Polska była przecież sowieckim satelitą, a nie partnerem. Podkreślając groźbę zachodnioniemieckiego rewizjonizmu, zwalczał ideę zjednoczenia Niemiec. Opowiadał się za utrzymaniem za wszelką cenę „buforu w postaci NRD".

Konfidenci i machlojki

Poza Świderskim na łamach „Kroniki" publikował m.in. Bolesław Sulik – autor recenzji filmowych i teatralnych, reporter sportowy i wnikliwy publicysta polityczny. W połowie lat 60. do redakcji dołączył Leszek Kirkien – były kierownik spółki wydającej „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", na łamach tygodnika komentował, głównie sprawy niemieckie, Kazimierz Smogorzewski – senior dziennikarstwa polskiego, autor artykułów na temat zagadnień międzynarodowych. Z autorów krajowych niemal od pierwszego numeru z „Kroniką" współpracował Klaudiusz Hrabyk (również pod pseudonimem Andrzej Boryna), w przeszłości znany emigracyjny działacz, autor tekstów o tematyce historycznej i politycznej, po powrocie do kraju w 1959 r. zwalczał emigrację niepodległościową.

Nieustanne ataki na emigrację oraz demonstracyjnie „prokrajowe" sympatie Świderskiego prowadziły do środowiskowego ostracyzmu. Bojkot „Kroniki" przez wychodźstwo sprawił, że sprzedaż tygodnika nie przekraczała tysiąca egzemplarzy (plany Świderskiego były znacznie większe). W rezultacie pismo było deficytowe. Jeśli całkowity koszt jednego numeru wynosił 300–400 funtów, to przychód ze sprzedaży i reklam jedynie 100 funtów.

Chcąc poprawić kondycję finansową tygodnika, redaktor planował zakup maszyny drukarskiej, na której mógłby drukować „Kronikę". W tym celu w pierwszych dniach maja 1963 r. zwrócił się do swojego kolejnego „opiekuna" z londyńskiej rezydentury wywiadu Zbigniewa Mikołajewskiego „Rafała" o jednorazową wypłatę 5 tys. funtów. Gdy otrzymał pieniądze, nieoczekiwanie pojawiły się problemy z kupnem maszyny drukarskiej. W tej sytuacji dotację zamierzał zainwestować w akcje angielskiej firmy drukarskiej. „Rafał" tłumaczył swoim przełożonym z centrali MSW, że zakup maszyny drukarskiej w krótkim czasie nie jest łatwy. Kierownictwo wywiadu nie było już jednak tak wyrozumiałe. Jak argumentowano: „Chodzi tu przecież o niebagatelną sumę. Być może wykupienie akcji jest korzystniejszą operacją niż zakupienie nowej drukarni, lecz w takim wypadku musimy znać wynikające z tego korzyści przed sfinalizowaniem sprawy". Na najbliższym spotkaniu „Kozerski" (pseudonim Świderskiego) miał przedstawić „Rafałowi" szczegóły planowanej transakcji. Ostatecznie nie kupił również akcji, a pieniądze przeznaczył na pokrycie deficytu kolejnych numerów tygodnika.

JUŻ W PIERWSZYM NUMERZE TYGODNIKA ŚWIDERSKI DEZAWUOWAŁ SENS POLITYCZNEJ AKTYWNOŚCI WYCHODŹSTWA

Centrala MSW nie bez powodu podejrzewała, że Świderski zawyżał koszty wydawania „Kroniki" i część otrzymywanych pieniędzy przeznaczał na własne wydawnictwo, tym bardziej że rozliczenia, które okresowo przedstawiał swojemu „opiekunowi", były bardzo ogólnikowe. Mimo niejasnej sytuacji „Rafał" ponownie usprawiedliwiał agenta: „Na marginesie chcę dodać – pisał do przełożonych – że nie wydaje się mi (brak podstaw), że zachowanie »Kozerskiego« podyktowane jest jego nieuczciwością". W Warszawie ustalono jednak, że w przyszłości dotacja do każdego numeru „Kroniki" nie może przekraczać 200 funtów.

Śmierć wydawcy i „Kroniki"

W czerwcu 1964 r., po ponad 20 latach, Świderski po raz pierwszy przyjechał do Polski. Podczas 18-dniowej podróży odwiedził Warszawę, Gdańsk, Gdynię, Wrocław i Kraków. Pełen entuzjazmu zachwycał się krajową rzeczywistością: „Jest lepiej, niż myślałem" – podsumował swoje wrażenia. Podziwiał odbudowane ze zniszczeń wojennych miasta, zakłady przemysłowe: „Polska – pisał na łamach »Kroniki« – jest przede wszystkim krajem pełnym werwy i rozmachu. Życie aż kipi. Wszędzie coś się dzieje, coś się robi, coś tworzy. Ludzie mają pełne ręce roboty". W następnych latach jeszcze kilkakrotnie odwiedzał Polskę.

Mimo politycznej lojalności Świderski bezskutecznie zabiegał o uzyskanie dla „Kroniki" debitu w kraju. Marzył, że w ten sposób nakład tygodnika mógłby wzrosnąć do kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Dla władz w Warszawie „Kronika" miała swoją rolę do odegrania, ale wyłącznie na emigracji. W kraju była bezużyteczna.

Bolesław Świderski zmarł 28 kwietnia 1969 r. na zawał serca w jednym z londyńskich szpitali. Krótko przed śmiercią planował powrót na stałe do kraju. Nie zdążył. 5 maja został z honorami pochowany na warszawskich Powązkach. Nekrologi i informacje o zmarłym pojawiły się w krajowej prasie czy radiu. W „polskim" Londynie śmierć emigracyjnego sympatyka Polski Ludowej została przemilczana. Tylko „Kronika" pożegnała swego redaktora kilkoma tekstami wspomnieniowymi.

Współpracę z bezpieką Świderski traktował jako swego rodzaju sposób na życie oraz możliwość realizacji własnych ambicji. Bez dotacji z Warszawy „Kronika" nie miałaby szans na przetrwanie. Wraz z jego śmiercią pismo straciło nie tylko swego twórcę, lecz także oddanego i zaangażowanego redaktora. Wyczerpała się również swoista misja tygodnika w „polskim" Londynie. „Kronika" miała już zresztą dawno za sobą okres największej popularności. Finansowanie pisma przez Warszawę przejęła krajowa Agencja Interpress. Odchodzili kolejni czytelnicy i redakcja zmuszona była zmniejszyć objętość, a w sierpniu 1971 r. tygodnik przestał się ukazywać.

eprasa.pl 236a0e0c90

DZIEDZICTWO RODÓW TYZENHAUZÓW I PRZEŹDZIECKICH TO OGROMNY DOROBEK, NIESTETY BARDZO ZNISZCZONY PRZEZ KOLEJNE WOJNY I GRABIEŻE



Antoni Tyzenhauz, mal. Jan Rustem

TYZENHAUZOWIE I SPADKOBIERCY

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Pierwsi przedstawiciele rodu Tyzenhauzów h. Bawół przybyli wraz z kawalerami mieczowymi z Niemiec do Inflant na przełomie XIII i XIV w. Jako rotmistrza wojsk Rzeczypospolitej kroniki odnotowały Kaspra Tyzenhauza, który w 1600 r. zasłużył się podczas obrony Dorpatu (Tartu) w czasie wojny ze Szwecją.

Pałac w Postawach

Wśród licznych ziemskich dóbr na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej, które znalazły się w posiadaniu Tyzenhauzów, trzeba wymienić majątek w Postawach leżących ok. 70 km na północny wschód od Wilna (dziś już na Białorusi). Majątek ten jako posag Anny Biegańskiej h. Prawdzic, córki Kazimierza, starosty starodubowskiego, pod sam koniec XVII w. stał się własnością małżeństwa Anny z Biegańskich i Benedykta Tyzenhauzów. Właścicielami tego majątku byli: później sławny reformator przemysłowy Antoni Tyzenhauz oraz ornitolog Konstanty Tyzenhauz. Tu też >>

eprasa.pl 236a0e0c90

» w ostatnich latach XIX w. przed carską ochraną ukrywał się Józef Piłsudski.

Zachował się inwentarz sporządzony we dworze w Postawach w 1637 r., kiedy jeszcze jego właścicielami byli Deszpot-Zenowiczowie h. własnego. Według tego opisu budynek mieszkalny był zbudowany z drewnianych kloców, z pięterkiem i wielkim gontowym dachem oraz charakterystycznymi dla polskich dworów narożnymi alkierzami. Dowiadujemy się też o liczbie izb, komnat i komórek, a nawet okien szklanych, kominków i kaflowych pieców. O pewnym komforcie dworskiego życia w ówczesnych Postawach dowodzi wzmianka o tzw. komórkach potrzebnych służących do osobistej higieny.

W momencie obejmowania Postaw przez Tyzenhauzów być może znajdowała się tam jakaś oficyna, ale samą, zachowaną do dziś klasycystyczną pałacową budowlę wzniósł dopiero syn Benedykta Antoni Tyzenhauz. Ostateczna wieloetapowa rozbudowa rezydencji w Postawach zakończona w połowie XIX w. przedstawiała plan budowli w kształcie litery H. Dwa wydłużone symetryczne skrzydła łączył korpus główny z monumentalnym, sześciokolumnowym portykiem i trójkątnym frontonem. Nad wejściem do pałacu widniał napis: „Mądrym radom, wiejskim biesiadom, cnocie z honorem, stoję otworem".

Nieoceniona Gabrjela Puzynina w swojej książce „W Wilnie i w dworach litewskich 1815–1843" tak wspominała postawską rezydencję: „Na święta Bożego Narodzenia wezwani przez wuja Konstantego (Tyzenhauza) pojechaliśmy do Postaw... Z dużej sieni, wyłożonej marmurem, idzie na lewo szereg pokojów o plafonach zdobnych sztukaterią, o marmurowych kominkach, na ścianach zaś mających płótna pierwszych mistrzów et le reste à l'avenant. Na prawo od sieni były sale, obrócone na gabinet ornitologiczny, ale ta część domu, sztuce i nauce poświęcona, nie była zamieszkała i stała pustką, szczególnie zimą, nie tylko bez pieców, ale i z kominkami zamurowanemi".

Po śmierci syna Konstantego, Rajnolda Tyzenhauza (1830–1881), ostatniego męskiego przedstawiciela polskiej linii tego rodu, zgromadzona olbrzymia fortuna (kilka pałaców i dworów oraz prawie 200 tys. ha ziemi i lasów) przeszła na jego siostrę Marię z Tyzenhauzów Aleksandrową Przeździecką (1827–1890) oraz ich potomstwo. Do 1939 r. Postawy były własnością Konstantego Przeździeckiego h. Roch III, zmarłego na emigracji w Szwecji w 1966 r. Obecnie w pałacu w Postawach na Białorusi, w przebudowanych wnętrzach i o świeżo odremontowanej fasadzie, mieści się lokalny szpital.

Gospodarczy wizjoner

Niezwykle interesującą postacią był słynny za czasów króla Stanisława Augusta działacz na polu ekonomicznym i kulturalnym Antoni Tyzenhauz (1733–1785), podskarbi nadworny Wielkiego Księstwa Litewskiego. On nie tylko wzniósł pałac w Postawach, lecz drewnianą mieścinę zmienił w murowane miasteczko z czworobocznym rynkiem, budynkiem sądu, szkołą oraz fabrykami wyrobów sukiennych i płóciennych. Z racji bliskiej znajomości ze Stanisławem Augustem zarządzał wszystkimi królewskimi dobrami na Litwie. W okolicach Grodna z jego polecenia wybudowano ok. 50 manufaktur królewskich wytwarzających płótna, konfekcję, uprzęże oraz całe powozy. Oprócz tego przekształcił i rozbudował lokalne browary, gorzelnie, młyny, olejarnie i niewielkie huty.

W PAŁACU W POSTAWACH KONSTANTY TYZENHAUZ ZGROMADZIŁ NIEZWYKŁE ZBIORY ORNITOLOGICZNE LICZĄCE PONAD 3 TYS. EKSPONATÓW ORAZ WSPANIAŁĄ KOLEKCJĘ OBRAZÓW

Gospodarcze reformy Antoniego Tyzenhauza miały ożywić drobny przemysł na Litwie i wesprzeć rozwój niewielkich,


Fasada pałacu w Postawach

zaniedbanych w rosyjskim zaborze miasteczek. Dobrym przykładem jego działalności była rozbudowa Sokółki i okolic, gdzie zaczęły działać fabryczki produkujące karabiny i pociski, igły i karty do gry, także damską galanterię. Niestety reformy Tyzenhauza zakończyły się, z racji wielu niepomyślnych zbiegów okoliczności – jak oceniają dziś historycy – przykrym bankructwem. Wytwarzane w miejscowych manufakturach produkty były droższe niż sprowadzane z zagranicy, a na niektóre towary nie było popytu. Sam reformator spotkał się z niechęcią miejscowej ludności, intrygami posła rosyjskiego Magnusa von Stackelberga, także zawiścią kilku magnatów bliskich dworu królewskiego. Zmarł w wieku zaledwie 52 lat w poczuciu wielkiej klęski i społecznego niezrozumienia.

Żołnierz, rysownik, naukowiec

Stryjeczny wnuk reformatora Antoniego Tyzenhauza, Konstanty (1786–1853) urodzony w pałacu w Postawach, kształcił się w Warszawie i w Wilnie, które wtedy było bardzo prężnym ośrodkiem polskiej nauki i kultury. Rodzicami Konstantego byli Marianna z Przeździeckich i Ignacy Tyzenhauzowie. Wszechstronnie uzdolniony Konstanty wykazał szczególne zainteresowanie naukami przyrodniczymi, a także sztukami pięknymi. Lekcje rysunku i malarstwa brał w Warszawie u takich sław jak Jan Piotr Norblin i Aleksander Orłowski, w Wilnie uczył się zaś u cenionego portrecisty Jana Rustema.

Biegłość w realistycznym rysunku Konstanty Tyzenhauz wykorzystał później, własnoręcznie ilustrując swoje liczne przyrodnicze opracowania. Nim jednak w pełni oddał się naukom, brał udział w wojnach napoleońskich. Wystawił na własny koszt pułk polskiej jazdy,

eprasa.pl 236a0e0c90



Pałac w Rakiszkach



FOT. Z ARCHIWUM AUTORA

z którym walczył na terenach Rosji, później za obronę twierdzy w Modlinie otrzymał Krzyż Legii Honorowej.

Po wojnach napoleońskich i po amnestii Konstanty Tyzenhauz powrócił do swoich majątków i zamieszkał w pałacu w Postawach. Tu powstały jego najważniejsze naukowe publikacje poświęcone ornitologii, takie jak „Zasady ornitologii albo nauki o ptakach" czy „Ornitologia powszechna, czyli opisywanie ptaków wszystkich części świata", przynoszące mu honorowe członkostwo w wielu prestiżowych międzynarodowych naukowych towarzystwach. W pałacu w Postawach Tyzenhauz zgromadził niezwykłe zbiory ornitologiczne, liczące ponad trzy tysiące eksponatów, oraz wspaniałą kolekcję obrazów, wśród których znalazły się dzieła Dürera, Leonarda da Vinci, Rubensa i wielu in.

Przeździeccy

Majątki Tyzenhauzów po śmierci ostatniego męskiego przedstawiciela tego rodu Rajnolda (1830–1881), jak już wspomniałem, przeszły w posiadanie jego siostry Marii z Tyzenhauzów Przeździeckiej i rodziny Przeździeckich od lat też zamieszkałej na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Ornitologiczne zbiory z pałacu w Postawach przekazane zostały Towarzystwu Archeologicznemu w Wilnie, bogate archiwa i kolekcję dzieł sztuki w większości Przeździeccy przenieśli zaś do pałacu w Rakiszkach (obecnie północno-wschodnia Litwa), który odtąd stał się główną siedzibą litewskiej linii rodziny. Syn Marii z Tyzenhauzów i Aleksandra Przeździeckiego Konstanty (1846–1896) zbudował w tym też czasie w Warszawie przy ul. Foksal neorenesansowy pałacyk (dziś w rękach MSZ), gromadząc w nim liczne i bogate księgozbiory tworzące Bibliotekę Ordynacji Przeździeckich.

Los archiwów oraz bibliotecznych i malarskich zbiorów Tyzenhauzów, a później Przeździeckich, tak jak wyposażenia i kolekcji wszystkich innych polskich pałaców czy dworów kresowych, był losem klęsk i nieodwracalnych zniszczeń. Pozostawione w Postawach dzieła sztuki w 1915 r. carskim rozkazem zostały wywiezione do Kijowa i tylko nieznaczna ich część po traktacie ryskim wróciła do Polski. Te umieszczone w pałacu przy ul. Foksal w Warszawie we wrześniu 1939 r. spłonęły w czasie niemieckiego bombardowania stolicy.

Powiększany aż do II wojny światowej księgozbiór Biblioteki Ordynacji Przeździeckich w 1939 r. liczył ok. 60 tys. woluminów, 500 rękopisów, w archiwach zarejestrowano 800 dokumentów pergaminowych i papierowych, 350 map, atlasów i planów. Odrębną częścią zbiorów była kolekcja rysunków i rycin licząca ponad 10 tys. eksponatów. Ściany biblioteki zdobiły wartościowe obrazy, militaria, była też znacząca kolekcja miniatur. Wszystko to 25 września 1939 r. uległo zniszczeniu podczas wspomnianego niemieckiego bombardowania Warszawy. Pojedyncze uratowane egzemplarze trafiły po wojnie do Archiwum Głównego Akt Dawnych, autograf „Grażyny" Adama Mickiewicza zaś do Muzeum Literatury w Warszawie.

Muzeum Krajoznawcze w Rakiszkach

„Jak chcesz dowiedzieć się o jakichś udokumentowanych ciekawostkach rodzinnych lub otrzymać dobre fotografie zachowanych portretów przodków, to zwróć się do dyrekcji pałacu w Rakiszkach. Dysponują obszernym i ciekawym zbiorem" – na moje pytania o archiwa Przeździeckich odpisała mi z Poznania Anna Przeździecka-Grzegorzewska (ur. 1940 r., absolwentka dawnego SGPiS), córka Aleksandra Kazimierza Przeździeckiego (1911–1944), ostatniego właściciela majątków w Rakiszkach i Abelach. „Byłam tam ostatnio z wycieczką Towarzystwa Ziemiańskiego i zostaliśmy bardzo życzliwie przyjęci. Obecnie w pałacu działa Muzeum Krajoznawcze, ale dyrekcja zna historię Rakiszek i chętna jest do udzielania różnych, mało znanych rodzinnych informacji".

Rodzice Anny i jej siostry Marii, Katarzyna z Komarów h. własnego (siostra Władysława Komara z Rogówka zamordowanego przez współpracującą z Niemcami litewską policję w 1944 r. w Glinciszkach) i Aleksander Przeździeccy do wojny mieszkali w niewielkim dworku w nieodległych Abelach, w pałacu w Rakiszkach gospodarzył zaś senior Jan Aleksander Przeździecki (1887–1944). Obszerny pałac w Rakiszkach był wielokrotnie przebudowywany i rozbudowywany. Ostatnią taką przebudowę przeprowadził w pierwszych latach XX w. Jan A. Przeździecki według projektu znanych warszawskich architektów Franciszka Lilpopa i Karola Jankowskiego. Budowla uzyskała neorenesansowy wygląd, ale z widocznymi śladami neogotyku. W elewacji frontowej zastąpiono kolumnowy portyk trzema ostrołukowymi arkadami.

Po litewskiej reformie rolnej z 1923 r. majątek w Rakiszkach został ograniczony do 100 ha i 350 ha dzierżawionych. Niełatwo było więc utrzymać wielki pałac pełen historycznych zabytków. Po wybuchu II wojny światowej w Rakiszkach od września do końca grudnia 1939 r. przebywali internowani polscy oficerowie. W 1952 r. otwarte zostało w rakiskim pałacu Muzeum Krajoznawcze, które dziś oprócz 80 tys. eksponatów prezentuje też dzieła sztuki i archiwa przypominające dzieje rodów Tyzenhauzów i Przeździeckich.

eprasa.pl 236a0e0c90



O WOJNIE NA SERIO, CHOĆ Z PRZYMRUŻENIEM OKA

FILM „JOJO RABBIT" Z 2019 r. TO PRZYKŁAD KOMEDII, KTÓRA MIMO LEKKIEJ FORMY POKAZUJE PRAWDZIWĄ NATURĘ III RZESZY JAKO OPRESYJNEGO SYSTEMU TOTALITARNEGO



KAROL MAZUR

Zazwyczaj mam pewien problem z komediami wojennymi. Z jednej strony wiem przecież, że sztuka filmowa ma także bawić. Z drugiej jednak, świadom filmowej siły oddziaływania na ludzką wyobraźnię i postrzeganie rzeczywistości, zastanawiam się, czy pamięć historyczna w komediach nie ulega wypaczeniu, a w przypadku okropieństw II wojny światowej również banalizacji. Czy możemy bowiem robić lekką i zabawną produkcję o wydarzeniu, w którym setki tysięcy niewinnych ofiar uległo zagładzie? Jednocześnie z relacji świadków historii wiemy, że humor nawet przy tragicznych doświadczeniach pozwalał przetrwać trudne chwile. Niemniej nam współczesnym śmiać się ze wszystkiego nie wypada. Dlatego przy komediach wojennych trzeba naprawdę dużo wysiłku, aby zachować umiar i nie popaść w żenadę. Moim zdaniem akurat twórcom „Jojo Rabbit" udało się sprostać temu wyzwaniu.

Film nowozelandzkiego reżysera Taika Waititi ukazuje system III Rzeszy oczami dziesięcioletniego Niemca o przezwisku Jojo. Chłopiec mieszka w niewielkim mieście w środkowych Niemczech. Jest przesiąknięty nazistowską ideologią. Działając w młodzieżowej organizacji Jungvolk (przybudówka Hitlerjugend dla najmłodszych), stara się rzetelnie wypełniać zadania nałożone Niemcom przez NSDAP. Uważa Adolfa Hitlera za swego najlepszego przyjaciela, u którego szuka wsparcia, prowadząc z nim w wyobraźni rozmowy. Jojo wychowuje tylko matka, gdyż ojciec zaginął na froncie. Ta nie jest nazistką, ale też nie odwodzi syna od jego ideologicznych fascynacji. Pragnie jednak, aby przetrwał, zachowując dziecięcą niewinność. Wszystko się zmienia, kiedy chłopiec odnajduje w domowej kryjówce parę lat starszą od siebie żydowską dziewczynę, którą w tajemnicy przed nim ukryła matka. Znajomość z młodą Żydówką pozwala mu przejrzeć na oczy i zobaczyć, jak wpajane Niemcom wartości narodowego socjalizmu są zakłamane i nieludzkie.

Trudno „Jojo Rabbit" nazwać komedią w ścisłym znaczeniu. Znajdziemy tu kilka różnych stylistyk. Elementy komiczne i absurdalne mieszają się z dramatycznymi, a nawet takimi rodem z thrillera lub horroru. Dużą rolę odgrywa też dźwięk. Autorzy filmu wykorzystali znane utwory z powojennego świata muzyki popularnej, choćby słynny przebój Beatlesów „I Want to Hold Your Hand" czy śpiewane po niemiecku „Heroes" Davida Bowiego. Po obejrzeniu zwiastuna myślimy, że mamy do czynienia z jakąś przedziwną filmową mieszanką na pograniczu satyry i pastiszu (niektóre sceny wyraźnie nawiązują do produkcji Monty Pythona). Mamy wrażenie, że celem filmu jest po prostu wyśmianie rzeczywistości III Rzeszy i dyktatury Hitlera. Nic bardziej mylnego. Ten film trzeba obejrzeć od początku do końca, bo jego siłą jest scenariusz (w końcu za ten właśnie element doceniła go Amerykańska Akademia Filmowa, przyznając Oscara w kategorii najlepszy scenariusz adaptowany). Należy też docenić świetne kreacje aktorskie. Brawurowo zagrał zwłaszcza odtwórca głównej roli debiutant Roman Griffin Davis. Warto także wyróżnić Scarlett Johansson w roli jego matki, Thomasin McKenzie jako ukrywającej się Żydówki oraz Sama Rockwella, grającego instruktora w Jungvolk. „Jojo Rabbit" to niezwykle zręcznie poprowadzona historia małego chłopca uwikłanego w potworności II wojny światowej. Nic tu nie dzieje się przez przypadek. Krok po kroku odkrywamy psychikę Jojo, jego uczucia i wrażliwość. Z zapartym tchem śledzimy proces jego przyśpieszonego dojrzewania.

I nawet jeśli niektóre fragmenty poprzez swój absurdalny humor mogą drażnić, to w końcu przeżywamy coś naprawdę w rodzaju katharsis. Dla mnie jest to scena, kiedy główny bohater, biegnąc przez miasto, wpada w nogi powieszonych przez gestapo zdrajców III Rzeszy. Oglądając ją, zdałem sobie sprawę, że to film zrobiony w poważnym celu. Nie chodzi tylko o zwykłą bekę z Hitlera, ale o pokazanie, czym naprawdę był stworzony przez niego i jego popleczników totalitarny system. Skąd zatem ta lekka forma komediowa? Odbieram ją jako wabik dla wszystkich tych, którzy nie przepadają za kinem dramatycznym z elementami heroicznego patosu. Skuszeni dobrą zabawą na komediowym seansie mogą też otrzymać ważną lekcję z historii Niemiec i Europy XX w. ■



„Jojo Rabbit", reż. Taika Waititi, prod. USA/Nowa Zelandia, 2019

eprasa.pl 236a0e0c90

Nasi Tatarzy



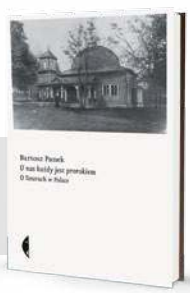
ANTONI DUDEK

W latach 30. XX w. mieszkało ich w Polsce niespełna sześć tysięcy, z czego największa część, bo aż jedna piąta wszystkich, utrzymywała się podobno z garbowania skór. A jednak ta niewielka społeczność od dawna budzi zainteresowanie i o polskich Tatarach ukazują się kolejne książki. Najnowszą napisał młody dziennikarz radiowy Bartosz Panek, za punkt wyjścia przyjmując losy muftiego Jakuba Szynkiewicza i jego zakończonych fiaskiem starań o budowę meczetu w przedwojennej Warszawie.

Czy mufti Szynkiewicz rzeczywiście uratował polskich Karaimów przed zagładą, przekonując swojego dawnego kolegę ze studiów Josepha Goebbelsa, że nie mają oni nic wspólnego z Żydami? Czy inna z bohaterek książki, Dżennet Skibniewska, rzeczywiście przedostała się z okupowanego Krakowa aż do Syrii, a następnie służąc w 3 Dywizji Strzelców Karpackich trafiła w roli sanitariuszki pod Monte Cassino? Jakie tajemnice kryją powikłane losy rodów Achmatowiczów, Chazbijewiczów czy Miśkiewiczów? Jak doszło do powstania tatarskiej kolonii w Gorzowie Wielkopolskim?

Na te i wiele innych pytań szuka odpowiedzi w swoim wartko napisanym, historycznym reportażu Bartosz Panek. Na wiele z nich odpowiedzi nie sposób już znaleźć. Jak bowiem trafnie zaznacza: „Zbieram więc to, co zostało: nie resztki, nie ścinki, nie skrawki. Raczej szwy, a więc to wszystko, co łączy współczesnych Tatarów z ich przodkami, dla których asymilacja była wyborem, a nie koniecznością". I właśnie te szwy są najciekawsze, choć niektóre z nich również rozsypały się w proch. Jak ta gorzowska gmina muzułmańska, która dokonała żywota całkiem niedawno, bo przed zaledwie kilkunastu laty.

„Nic nie robimy. Jesteśmy Polakami". Taką odpowiedź usłyszał Panek na pytanie: „Co rodziny gorzowskich Tatarów robią ze swoimi korzeniami?". Po lekturze jego książki nie mam jednak wątpliwości, że te tatarskie korzenie, od pięciuset lat wrośnięte w polską ziemię, wciąż gdzieś żyją. Nawet jeśli, jak te z Gorzowa, już uschły, to prędzej czy później inne znów gdzieś wypuszczą pędy. Chociażby dlatego, że po ponad półwiecznej przerwie, od 2004 r. na czele Muzułmańskiego Związku Religijnego znów stoi mufti. Nazywa się Tomasz Miśkiewicz i ma za sobą studia z szariatu na Uniwersytecie Islamskim w Medynie. I choć w społeczności tatarskiej szybko dorobił się oponentów, to nie wydaje się, aby groziło mu bezrobocie.



B. Panek, „U nas każdy jest prorokiem. O Tatarach w Polsce", Wołowiec 2020

POLSKIM OKIEM

Polska wyjątkowość



RYSZARD CZARNECKI

Co miesiąc, co tydzień, co chwilę Unia Europejska, a ściślej unijny „mainstream" pokazuje Polsce i Polakom, że popularne niegdyś w Brukseli hasło „jedność w różnorodności" to fikcja. Co rusz jesteśmy sztorcowani, stawiani do kąta, pod pręgierz, pouczani i oskarżani. Słowem, według Brukseli, Polska jest, jak to mówili nasi przodkowie, „od macochy". Dlaczego? Bo Polacy – a więc polscy wyborcy – nie chcą śpiewać w unijnym chórze, zwłaszcza że nawet ludzie mało muzykalni słyszą, iż fałszuje on na potęgę. Nas, Polaków, po prostu wkurza, za przeproszeniem, unijna hipokryzja, która każe żądać od Polski „europejskiej solidarności", gdy chodzi o dźwiganie ciężarów związanych z polityką imigracyjną, a jednocześnie każe milczeć, gdy chodzi o tę samą „europejską solidarność" w sprawie Nord Stream i interesów niemiecko-rosyjskich ponad głowami Nordyków, Bałtów, Polaków...

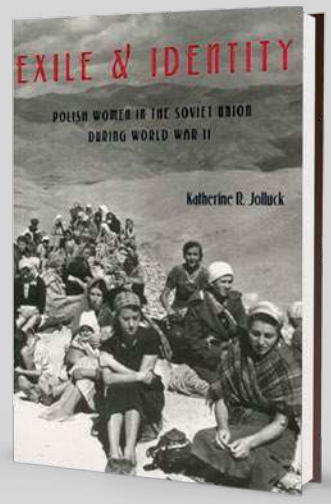
Ludzie, którzy w referendum w 2003 r. decydującym o wejściu Polski do UE głosowali „za", a było ich trzy czwarte narodu, w tym bardzo wielu obecnych wyborców PiS, byli indoktrynowani – nie bójmy się tego słowa – że kwestie moralno-obyczajowe pozostaną w gestii państw narodowych, czyli państw członkowskich Unii, a Brukseli nic do tego. Po latach okazało się to zupełną fikcją.

Polacy są inteligentnym narodem. Bardzo wielu z nas pracowało albo przynajmniej dłużej przebywało w Europie Zachodniej. Już sporo z nas zna języki obce i doskonale wiemy, że to, co nie przeszkadza Komisji Europejskiej np. we Francji (stan wyjątkowy przez lata, potem brutalne tłumienie demonstracji „żółtych kamizelek", ale też np. zwiększenie prerogatyw prezydenta Republiki w zakresie... powoływania sędziów!) czy w Hiszpanii (brutalność policji w Katalonii, więźniowie polityczni oraz sposób powoływania tamtejszego odpowiednika naszej Krajowej Rady Sądownictwa), czy w Niemczech (olbrzymi – dużo większy niż w Polsce – wpływ polityków na powoływanie sędziów na szczeblu landów i federalnym), czy w Austrii (decydujący wpływ partii politycznych na wybór sędziów tamtejszego Trybunału Konstytucyjnego) – tej samej Komisji Europejskiej absolutnie przeszkadza w Polsce. To, co jest polską belką w unijnym oku, jest źdźbłem, jeśli dotyczy krajów dawnej EWG – byłej Piętnastki, czyli starej Unii.

Oczywiście to wszystko są preteksty. Musimy założyć, że wciąż katolicka Polska z tradycyjnymi wartościami jest solą w brukselskim oku. Wiedząc, że tak było, jest i będzie – róbmy swoje...

eprasa.pl 236a0e0c90

FEMINISTYCZNY GUŁAG (CZ. 1)



MARKSISTOWSKA I FEMINISTYCZNA HISTORYCZKA KATHERINE R. JOLLUCK POSTANOWIŁA NIESTETY POĆWICZYĆ SWĄ GŁĘBOKO ZAGMATWANĄ METODOLOGIĘ NA DZIEJACH POLSKICH KOBIET W GUŁAGU



MAREK JAN CHODAKIEWICZ

W pracy „Exile and Identity: Polish Women in The Soviet Union During World War II" (Pittsburgh, PA: University of Pittsburgh Press, 2002) Jolluck dokonuje dekonstrukcji obrazu polskich więźniarek i deportowanych, aby ukazać ich rzekomą podłość, nacjonalizm, bigoterię i nietolerancję. Czyli ukazuje Polki na Sybirze w krzywym zwierciadle swej metodologii.

W rzeczywistości dostajemy dwie książki pod jedną okładką. Jedna traktuje o wywózkach, a druga o tożsamości. Ta pierwsza potrafi być logocentryczna, ta druga jest feministyczno-marksistowska. Gdyby usunąć wszelkie naleciałości lewackiej ideologii, mielibyśmy bardzo dobrą monografię. Ale w rezultacie mamy zderzenie cywilizacji w osobie autorki. Objawia się ono opisywaniem polskich kobiet jako odmieńców (othering of Polish women), czyli wykluczaniem ich i traktowaniem jako anomalii, rzekomych dziwadeł, a nawet archetypu zła wywodzącego się, naturalnie, z patriarchatu, który one ślepo popierały. Jolluck pokazuje się z najlepszej strony, gdy parafrazuje albo, nawet lepiej, cytuje obficie dokumenty dotyczące zesłańców z Hoover Institutions. Czar pryska, gdy zaczyna je ideowo komentować.

Główny problem miał polegać na tym, że owe polskie kobiety były rzekomo ofiarami dominującego w przedwojennej RP stereotypu matki Polki oraz Polki patriotki (s. 89, 98, 140). Ten stereotyp krzepił patriarchat, z którego polskie kobiety nie chciały albo nie umiały się wyzwolić. W związku z tym nie potrafiły docenić wolnościowych możliwości,

Według Katherine Jolluck Polki na Syberii, zamiast czerpać garściami z możliwości sowieckiego raju, uparcie trzymały się swych reakcyjnych uprzedzeń



które pojawiły się wraz z przybyciem Armii Czerwonej na Kresy we wrześniu 1939 r. A potem nie potrafiły się odpowiednio – po femimarksistowsku – odnaleźć w Sowdepii.

Co więcej, zamiast czerpać garściami z możliwości sowieckiego raju, Polki uparcie trzymały się swych reakcyjnych uprzedzeń. Ale co najgorsze – warunki przymusowego zesłania do Sowdepii spowodowały, że wśród polskich kobiet nastąpiła absolutna równość w nieszczęściu i doszło w związku z tym do zacieśnienia więzów solidarności wszystkich stanów. Utrzymanie i krzepienie Wiary i Patriotyzmu oraz ocalenie rodziny stały się priorytetami ofiar komunizmu. Jednak solidarność ta wykluczała ludzi, którzy się z niej wyłamywali albo nie chcieli do niej należeć. Była więc nietolerancyjna, co Jolluck potępia.

Autorka insynuuje, że polskim ofiarom nie należy się współczucie, swoją nacjonalistyczną i religijną postawą one same z „Innych" czyniły bowiem ofiary swej nietolerancji. Polki wymagały, aby wszystkie dobre patriotki zachowywały się zgodnie z kodeksem honorowym matki Polki i dobrej katoliczki. A zatem: niewyrozumiale krytykowały Żydówki za niewystarczający patriotyzm polski, wywyższająco odrzucały Sowietki za ich komunistyczne chamstwo i brak kultury, a Kazachów odrzucały rasistowsko jako niecywilizowaną Azję.

Powtórzmy: wszystko jest winą „patriarchatu" i „polskiego nacjonalizmu" (s. 283). Tym sposobem autorka kreuje fałszywą rzeczywistość, w której pluska się szczęśliwie z podobnymi sobie ideowo ukąszonymi przez Hegla. Jolluck zupełnie nie rozumie Polek i Polaków. Nie docieka źródeł indywidualnych tożsamości, które są kompatybilne, scalają się, łączą w zbiorowe mentalności. Tożsamość deportowanych na Syberię polskich kobiet to była tożsamość narodowa oparta na polskim patriotyzmie, wierze katolickiej i cywilizacji zachodniej, które stanowiły wspólny punkt odniesienia. Ich kolektywna mentalność właśnie dlatego zderzyła się z marksistowską antycywilizacją sowiecką. Jolluck albo nie potrafi, albo nie chce tego zrozumieć. Rzuciłoby to bowiem wyzwanie ideowym wartościom, którym służy.

„Exile and Identity" to praca metodologii cierpiącej na kołobłąd, jak nazwałby to prof. Feliks Koneczny. Jolluck niemal każde zjawisko, które oddaje zgodnie z prawdą, opatruje natychmiast marksistowskim komentarzem relatywizującym albo wręcz negującym znaczenie poprzednich zapisów. Jako pionier tych fanaberii w historiografii Polski stawia się w roli komisarza politycznej poprawności.

Odzwierciedla się to w jej nomenklaturze. Na przykład kobieta w ciąży nie nosi w swoim łonie dziecka, tylko „płód" (fetus, s. 147). Jest to jednym ze znaków rozpoznawczych tej przypadłości ideologicznej, dla której Polacy są seksistami i bigotami (s. 80). Ponieważ rzekomo były tłamszone patriarchatem, Polki miały odzwierciedlać „słabość i bierność" (weakness and passivity, s. 105). Jolluck naturalnie nie przyjmuje wiadomości, że Polki oczekiwały od mężczyzn rycerskości i szacunku, koncepcji nienawistnych a jednocześnie niepojętnych feministkom-marksistkom. Nie można mylić manier i norm kulturowych, które wywodziły się z wychowania opartego na paradygmacie inteligenckim i szlacheckim, ze „słabością i biernością". No, chyba że nosi się końskie okulary marksizmu-feminizmu.

Inny to kontorsja autorki o „żeńskim ciele jako konstrukcie społecznym" („the female body as a social construct", s. 148). Za Judith Butler (s. 183) – tą od „płynności genderowej" (gender fluidity) – Jolluck powtarza, że ciało kobiece istnieje nie jako fakt biologiczny, ale jedynie jako rzekomy wymysł „patriarchatu". Zresztą już we wstępie autorka „Exile and Identity" podkreśla triumfalnie „płynność" koncepcji, takich jak „naród", „gender" czy „klasa" (s. xxvi). Tym sposobem całość narracji to kuriozalna mieszanka moralnego relatywizmu z absolutystycznie teleologiczną dialektyką marksistowską. To jest opatentowany i gwarantowany odruch Pawłowa szkoły metodologicznej, której hołduje Jolluck.

Są też inne wygibasy ideowe. Na przykład rewelacja, że Polska prześladowała ludzi bardziej niż Związek Sowiecki (s. 182) albo że Polacy byli gorsi niż amerykańscy rasiści (s. 234), że Polacy byli odpowiedzialni za rzekomy polski „kolonializm", naturalnie na Kresach (s. 244). Dla autorki w 1945 r. Armia Czerwona wypełniła „pożyteczną funkcję" (beneficial function, s. 250); komunizm przyniósł równość, a więc – insynuuje autorka – był dobry (s. 259).

Jolluck boli także, że w konstytucji RP z kwietnia 1935 r. nie ma wkluczającego języka feministycznego trenującego wrażliwość, bo wszystko wyrażone jest w rodzaju męskim (s. 95). To smutny przykład „lustrzanego odbicia" (mirror imaging) ze spętanej kajdanami politycznej poprawności amerykańskiej akademii. Podobnie wścieka się, że polskie kobiety w gułagu wierzyły w „naturę ludzką" (human nature, s. 261), niezmienną, stałą, jak uczy Kościół, a w tym naturę kobiecą, wspólną wszystkim paniom. To doprawdy horror! Nasza feministka dąsa się, że we wspomnieniach polskich kobiet potępia się perwersje seksualne, które głównie przypisuje się zdegenerowanym Sowietkom. Jest to naturalnie znak uprzedzeń, może nawet rasizmu. No, bo Polkom nie podobają się choćby orgie lesbijskie (s. 272). Jolluck stale i wszędzie przeciwstawia takim ciemnogrodzkim opiniom Polek jasnogrodzkie wynurzenia niemiecko-żydowskich komunistek, takich jak Margaret Bubber-Neumann czy Lipper. Każda strona patrzyła na to samo, a widziała coś innego.

Przyznajmy jednak, że poprzez całą monografię przebijają się iskierki prawdy, a nawet zabłyśnie nieraz diament głębokiej myśli. Jednak prawie natychmiast paraliżowane są one kaftanem bezpieczeństwa feministyczno-marksistowskiej ideologii. Na przykład w kontekście oddawania dzieci polskich do sowieckich sierocińców badaczka tworzy fałszywą dychotomię między „polskim nacjonalizmem" a „miłością i człowieczeństwem" (polish nationalism, the love and humanity). Według niej kobiety wyznające to pierwsze dawały swym dzieciom umrzeć, zamiast oddać je na sowietyzację. U tych drugich rzekomo wygrywały przeciwne wartości i dziecko żyło.

Otóż straszny wybór był inny. Dziecko przeżyje i staje się komunistą (czy – w innych warunkach – narodowym socjalistą, bo mechanizm ten sam), albo dziecko pozostaje wraz z matką w promieniowaniu godnej cywilizacji i – być może – zginie razem z nią. Nie był to wybór między „polskim nacjonalizmem" a „miłością i człowieczeństwem". Bo polski nacjonalizm w gułagu był odzwierciedleniem cywilizacji zachodniej, a więc „miłości i człowieczeństwa", a nie komunistycznej cywilizacji śmierci, która wynika z hołubionego przez Jolluck marksizmu, również w jej feministycznym wariancie. Dlatego Polki uznawały Sowdepię za „obcą i złą" (foreign and wrong, s. 71).

FOT. AKG-IMAGES/EAST NEWS

eprasa.pl 236a0e0c90

PEWIEN DŻENTELMEN I JEGO KATALOG WYDAWNICZY



Od lewej: Peter Saville, Tony Wilson i Alan Erasmus przed siedzibą Factory Records

MUZYKA – NAWET O ZGROZO – PUNKOWA MOŻE WYCHODZIĆ POZA OSŁAWIONY SCHEMAT „TRZY AKORDY, DARCIE...". TONY WILSON, TWÓRCA LEGENDARNEJ WYTWÓRNI FACTORY RECORDS, UDOWODNIŁ, ŻE ZA POZORNIE CHAOTYCZNYMI I HAŁAŚLIWYMI DŹWIĘKAMI MOŻE STAĆ ZŁOŻONY KONCEPT, WRĘCZ EKSPERYMENT, SOCJOLOGICZNY



PAWEŁ ORZEŁ

„The future was yesterday" – jeden spośród milionów komentarzy w magmowatej przestrzeni internetu pod artykułami lub filmami upamiętniającymi „życie i twórczość" Tony'ego Wilsona. Taki właśnie komentarz odbiera wewnętrzne rozbawienie-roztańczenie przy próbie pisania o Wilsonie, a wypełnia to miejsce rodzajem refleksyjności-powagi. To o tyle dziwne, że sam bohater tych paru słów miał raczej ogromny dystans do siebie, potężne poczucie humoru, do tego wiedział, że ważniejsza i silniejsza od prawdy jest legenda, a wszystko, co robił, na swój sposób wydawało się emanować klubową feerią barw. Jednak, jakkolwiek na to patrzeć, w katalogu wydawniczym Factory Records – firmy, której był współtwórcą oraz kluczową postacią – pod sam koniec wpisana została jego trumna (numer porządkowy: FAC 501). Dziś nad nią stoi monolityczna płyta – przypominająca tę z „2001: Odysei kosmicznej Kubricka" – z napisem: „Anthony H. Wilson // Broadcaster / Cultural Catalyst // 1950–2007". Należałoby dodać, by nie obrazić zmarłego, że urodzony (na przedmieściach) i zmarły w Manchesterze, ale wątek ten wyczerpuje zacytowany tam jeszcze fragment powieści „The Manchester Man" (1876) G. Linnaeus Banks. Czyli tak, anonimowemu internaucie udało się w czterech słowach oddać to, co ludzie powinni chyba odczuwać w zetknięciu z dziełami wizjonerów i geniuszy.

Tu mógłbym skończyć pisanie i poprosić o okraszenie tej laurki jak największą dawką ilustracji, ale niech będzie, że spróbuję jeszcze zarysować parę słów wskazówek. I że spróbuję też sięgnąć po nieco zabawniejszy ton.

Początki Factory

Zgodnie z nieśmiertelną zasadą „od trzęsienia ziemi, potem zaś napięcie ma nieprzerwanie rosnąć" – 4 czerwca 1976 r. odbywa się pierwszy koncert Sex Pistols w Manchesterze. Obecny na nim dziennikarz Tony Wilson uznaje to za początek nowej rewolucji kulturalnej. W lokalnej zmurszałej i odrobinę niezależnej telewizji, w której pracuje, zaczyna prowadzić program „So It Goes" (1976–1977), przedstawiający najciekawsze zjawiska muzyczne ruchu punkowego. Apetyt rośnie w miarę wiadomo czego, postanawia się zabrać do organizowania koncertów – plakat pierwszego z nich, z maja 1978 r., otrzymuje numer FAC 1. W tym samym roku z Alanem Erasmusem zakłada Factory Records, a do tworzenia tej inicjatywy zaprasza innych popaprańców, ale jednocześnie wybitne jednostki: menedżera Roba Grettona i producenta muzycznego Martina Hannetta. W styczniu następnego roku ukazuje się pierwsza podwójna siedmiocalowa składanka „A Factory Sample" (FAC 2) z takimi wykonawcami jak: Cabaret Voltaire, Joy Division, Durutti Column, John Dowie. Sława i chwała coraz większe, promowanie głównie lokalnych zespołów (można dodać jeszcze: A Certain Ratio, Section 25, X-O-Dus, później New Order ze zgliszcz

eprasa.pl 236a0e0c90



Joy Division) okazuje się artystycznym sukcesem, co jak wiadomo niekoniecznie przekłada się na sukces finansowy, ale i tak przychodzi moment na założenie własnego klubu. W maju 1982 r. powstaje The Haçienda (FAC 51), której wystrój, zaprojektowany przez Bena Kelly'ego, staje się źródłem inspiracji dla niezliczonych klubów na całym świecie. Zmieniają się epoki – muzyka popularna przechodzi przemiany, do surowego postpunku wkradają się, a potem dominują, elementy elektroniczne (New Order, Quando Quango, Crispy Ambulance), nieco później inna gałąź rocka staje się bardziej taneczna (Happy Mondays, Electronic), a w końcu wraz z nowym pokoleniem odbiorców objawia się scena rave ze wszystkimi swoimi miksami i oklaskiwaniem medium (didżeja). I choć Tony Wilson ze swoimi kompanami był w centrum tych wydarzeń, problemy finansowe zmuszają ich do zamknięcia wytwórni w 1992 r., a pięć lat później klubu (także z powodu kłopotów z gangami narkotykowymi).

Jedyny taki

Tak mniej więcej w nieprzyzwoitym skrócie i z wieloma białymi plamami przedstawia się historia działalności muzycznej Wilsona, który nawet na chwilę nie przerwał dziennikarskiej działalności w Granada TV. Nie byłaby to jednak opowieść pełna, gdyby nie wspomnieć o ich sposobie pracy. Spiritus movens Factory wierzył w całkowitą wolność twórczą, artystom niczego nie narzucano, a zyskami dzielono się po połowie – tak mówi legendarny pierwszy (i wulgarny) kontrakt z Joy Divison, który na dodatek podpisał własną krwią. Idąc dalej tym tropem, można dojść do sytuacji, w której plakaty czy zaproszenia na wydarzenia pojawiały się już po

IDĄC DALEJ, MOŻNA DOJŚĆ DO SYTUACJI, W KTÓREJ PLAKATY CZY ZAPROSZENIA NA WYDARZENIA POJAWIAŁY SIĘ JUŻ PO ICH ODBYCIU

ich odbyciu, a wytwórnia, nie zwracając uwagi na koszty (wielka dbałość graficzna i otwartość na nietypowe rozwiązania), przy produkcji albumów potrafiła tracić na ich sprzedaży. Kto dziś by tak mógł? Trudniejsze pytanie – kto dziś by tak chciał?

Doskonałym źródłem wiedzy faktograficznej i emocjonalnej w tym zakresie jest przezabawny film Michaela Winterbottoma „24 Hour Party People" (FAC 401) z 2002 r. To jedna z dróg poznania meandrów Factory i okolic, drugą jest sam katalog wydawniczy pełen zaskoczeń, niewiadomych i ślepych uliczek, rządzący się własnym rytmem (lub – jak kto woli – bitem). Pośród „zwykłych" albumów, singli czy składanek można w nim odnaleźć: plakaty, zaproszenia na koncerty, ubrania, notatniki, logotypy, przypinki, naklejki, ogłoszenia, kartki świąteczne, wydarzenia, książki, filmy, strony internetowe, a nawet wakaty i niezrealizowane koncepty. A chcąc być bardziej precyzyjnym w tym szaleństwie: timer do jajek z jednym z sygnetów Factory zaprojektowany przez Linder Sterling (FAC 8), pozew sądowy Martina Hannetta przeciwko Factory (FAC 61), świąteczne zatyczki do uszu z maseczką (FACX 79), salon fryzjerski (FAC 98), rachunek dentystyczny Roba Grettona (FAC 99), kot mieszkający w Haçiendzie (FAC 191), knajpa (FAC 201), butelka białego wina (FAC 215), butelka czerwonego wina (FAC 216), wizyta Tony'ego Wilsona w Hollywood (FAC 221), firmowa impreza urodzinowa Wilsona (FAC 259), kwiaty na ślub Paula Rydera z Happy Mondays (FAC 282), stół zaprojektowany przez Andy'ego Woodcocka i Eda Jacksona (FAC 331), oddani fani New Order (FAC 383) i ich dzieci (FAC 384), rekonstrukcja Haçiendy na planie filmowym (FAC 451), rzeźba Petera Saville'a, przedstawiająca gitarę Les Paul z kolorowym gryfem (FAC 473)... Tak dalej, tak dalej...

Na pierwszy rzut nieuzbrojonego oka wygląda to na zwyczajny niemądry żart (trudno uznać to za prawdę, system zapisu obiektów jest bardzo precyzyjny, złożony i tylko powierzchownie chronologiczny). Trzeba też mieć na uwadze, że wiele z realizacji graficznych tam umieszczonych (ramię w ramię z muzycznymi) uchodzi dziś za osobne dzieła sztuki (dobrym kompendium wiedzy jest książka „Factory Records: The Complete Graphic Album" Matthew Robertsona z 2006 r.; FAC 461). Osobne miejsce, oczywiście, należy się najważniejszemu dla Factory artyście wizualnemu Peterowi Savillemu. Jednak wcześniej wspomniana wolność twórcza uwzględniała to, że sami muzycy i inne osoby zaangażowane mogli się stać pełnoprawnymi grafikami i nie tylko.

Nieuniknione są więc pytania wokół konceptualizmu i sytuacjonizmu, ale niech każdy już sam je zada...

* * *

I na koniec. Pewnie część wymienionych zespołów przebiłaby się jakoś do świadomości odbiorców. Czy lepiej? Nie sądzę. Czy któremuś udział w tym zamieszaniu zaszkodził? Na pewno nie. To właśnie dzięki temu wielu słuchaczy odnajduje je do dziś oraz zakochuje się w nich. Tony Wilson chyba jako pierwszy, a na pewno pierwszy na taką skalę, sprawił, że muzyka, obraz, osobowości, miejsce i czas stały się jednym i stały się nierozerwalne. Madchester? Dlaczego nie? Więc? Zabawny egocentryk, inteligentny człowiek z klasą, szaleniec, ktoś bezdennie inspirujący – wizjoner.

Bona fide geniusz? Pewnie tak.

eprasa.pl 236a0e0c90



FOT. WJAREK/SHUTTERSTOCK.COM

KSIĄŻĘ ZASTĘPÓW NIEBIESKICH I „PATRON DOBREJ ŚMIERCI”

POSTAĆ ŚW. MICHAŁA JEST DOBRZE ZNANA, JEGO KULT PRZYBYŁ DO EUROPY ZACHODNIEJ ZA POŚREDNICTWEM WSCHODU



MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI

Gdy pod koniec V w. zaczęły powstawać na Zachodzie pierwsze bazyliki św. Michała, jego kult był już silnie rozwinięty na Wschodzie, od koptyjskiego Egiptu, Syrii i Azji Mniejszej po wschodniorzymską stolicę – Konstantynopol. W specyficznej duchowości wytworzonej w konglomeracie wierzeń pogańskich oraz religii żydowskiej i chrześcijańskiej rozwinął się wybujały kult aniołów (co zresztą Kościół przez pewien czas bezskutecznie starał się ograniczać). Wśród nich św. Michał szybko wybił się na pierwszy plan z racji swego biblijnego imienia (Micha'el = po hebr.: Kto jest jak Bóg) oraz roli opiekuna narodu wybranego i zwycięskiego wodza zastępów niebieskich. Stał się szybko szczególnym patronem cesarzy i przyodział się, zwłaszcza w świecie bizantyńskim, w cesarskie szaty i atrybuty.

eprasa.pl

Na tym jednak nie wyczerpują się głębokie, związane z tym kultem treści. We wschodnim chrześcijaństwie św. Michał był szczególnym protektorem dusz i ich przewodnikiem w ostatniej pośmiertnej wędrówce na Sąd Boży. Tam, na szalach trzymanej przez siebie wagi, oceniał dobre i złe uczynki zmarłego. Tę rolę „przewodnika dusz" (psychopompos) Michał odziedziczył po egipskim Anubisie i grecko-rzymskim Hermesie-Merkurym.

W religijności chrześcijańskiego Wschodu św. Michał był też potężnym świętym uzdrowicielem (taumaturgiem), który miał dokonywać cudownych uzdrowień w czasie nocnego czuwania w swoich coraz liczniej mnożących się sanktuariach, zwanych michaelionami. Najsłynniejsze znajdowały się w Azji Mniejszej oraz w Konstantynopolu, z najważniejszym ośrodkiem w Konya-Kolosy-Cheretopa w starożytnej Frygii (dzisiejsza Turcja) tłumnie odwiedzanym przez pielgrzymów. Wszystkie te michaeliony miały istotne cechy wspólne. Często położone były na wzgórzu w pobliżu źródła wody o własnościach terapeutycznych (lub za takie uważanego), w miejscu wybranym nie przez człowieka, lecz „wskazanym" przez samego Archanioła.

Wzorzec

W takiej oto dobrze już wykształconej postaci kult Michała Archanioła napływał na Zachód u zarania wieków średnich. Na koniec V w. datuje się jego najstarsze sanktuarium na Zachodzie, Monte Gargano położone w Apulii w południowej Italii (dziś Monte Sant'Angelo k. Bari). Zatrzymajmy się na chwilę przy tym sanktuarium nie tylko dlatego, że w krótkim czasie zdobyć sobie ono miało rangę jednego z najważniejszych ośrodków kultu religijnego zachodniej Europy, lecz także dlatego, że stało się ono – przenosząc na zachodni grunt treści i symbole tradycji frygijsko-konstantynopolitańskiej – silnie promieniującym modelem. Położone było na niedostępnym szczycie, w grocie, w której kropla po kropli sączyło się źródło wody, zwane stilla, o własnościach uzdrawiających. Archanioł sam sobie „wybrał" to niedostępne miejsce, za pomocą cudownych znaków „wskazał" je ludziom i sam wyposażył w swoje „relikwie", w tym przypadku w namacalne „ślady" swej obecności: odcisk stopy w kamieniu, czerwone pallium na ołtarzu i in. Uświęcił je także swą stałą obecnością. Czynnik „ludzki" ograniczył się właściwie do pośrednictwa świątobliwego biskupa, któremu Archanioł zamanifestował swą wolę; do wykonywania przez wiernych poleceń Archanioła i oddawania mu czci w wybranym przez niego miejscu.

Taki model michałowego sanktuarium, mający swe korzenie we wczesnochrześcijańskiej Frygii, przyjął się – za pośrednictwem Monte Gargano – na całym Zachodzie, najpierw na terenie Italii (VII–VIII w.), następnie w Europie karolińskiej (VIII–IX w.), w Cesarstwie Ottonów (X w.) i pozostałych krajach chrześcijańskich.

WE WSCHODNIM CHRZEŚCIJAŃSTWIE ŚW. MICHAŁ BYŁ SZCZEGÓLNYM PROTEKTOREM DUSZ I ICH PRZEWODNIKIEM W OSTATNIEJ POŚMIERTNEJ WĘDRÓWCE NA SĄD BOŻY

Nie pomniejszając wagi wschodniego pośrednictwa, nie należy jednak mniemać, jakoby kult św. Michała na Zachodzie pozostał tylko biernym odbiciem dewocji wschodniej. Już bardzo szybko zaczął się on rozwijać własnym torem, wzbogacając się o nowe elementy i treści. Różne czynniki odegrać miały w tym procesie decydującą rolę.

Sanktuaria

Gargańskie sanktuarium, którego sugestywna sceneria przez wiele stuleci fascynować miała religijną wyobraźnię wiernych, położone na pielgrzymim szlaku wiodącym z Rzymu do Jerozolimy, stało się wzorem dla nowych ośrodków kultu. Longobardowie po opanowaniu w ciągu VI–VII w. znacznej części Italii, „zawładnęli" kultem św. Michała i otoczyli gargańskie sanktuarium szczególną dewocją. Rzym wprowadził ten kult do swego kalendarza liturgicznego (29 września) i w ten sposób zinstytucjonalizował go w Kościele zachodnim. Niosąc w sobie cesarsko-rycerskie i uniwersalne treści, kult św. Michała stał się kultem elit rządzących – cesarskim najpierw, rycerskim później.

Nie mając na tych stronach miejsca na bardziej szczegółowe przedstawienie wszystkich treści tego przebogatego kultu, zarysujmy tylko niektóre jego najbardziej fascynujące aspekty.

Na pierwszym miejscu – sanktuaria. Mało kto wie, że sam najsłynniejszy dziś ośrodek kultu Archanioła, Mont-Saint-Michel w Normandii, który sięga swymi początkami VIII w. (ok. 709 r.), powstał właśnie z inspiracji oraz na wzór Monte Gargano i powielał gargańską legendę hagiograficzną. Stamtąd sprowadzono do Mont-Saint-Michel archanielskie „relikwie", a nawet – jak wykazały wykopaliska – starano się odtworzyć w fundamentach pierwotnego kościoła gargańską grotę, jako że naturalnej groty w Mont-Saint-Michel nie było. Taki typ michałowego sanktuarium upowszechnił się w całej Europie: od Italii po Skandynawię, od Półwyspu Iberyjskiego po Niemcy i kraje Europy Środkowej, na czele z tak sugestywnymi ośrodkami na niedostępnych szczytach jak Sagra S. Michele (X w.) czy Saint-Michel d'Aiguilhe (X w.), by wymienić tylko najbardziej spektakularne. W Polsce ślady tej tradycji odnajdujemy w jednym z najstarszych krakowskich kościołów: św. Michała na Skałce, wznoszącym się „na nieco wystającej skale" (Długosz).

Wizerunki

W zachodniochrześcijańskiej tradycji utrwaliły się dwa główne obrazy św. Michała: wodza zastępów niebieskich i zwycięskiego pogromcy smoka szatana oraz przewodnika i opiekuna dusz zmarłych. Pierwszy wątek czerpie inspirację z Apokalipsy św. Jana: „Wybuchła walka na niebie: Michał i aniołowie jego stoczyli bój ze smokiem. I walczył smok i aniołowie jego. Lecz nie przemógł i nie było już dla nich miejsca w niebie. I zrzucony został ogromny smok, wąż starodawny, zwany diabłem i szatanem, który zwodzi cały świat; zrzucony został na ziemię, zrzuceni też zostali z nim jego aniołowie" (Ap 12, 7-9). Choć passus ten odnosi się do pogromienia zbuntowanych »

eprasa.pl 236a0e0c90

» aniołów u zarania dziejów, walka św. Michała ze smokiem interpretowana była w sposób alegoryczny i symbolizowała zarówno codzienną, nieustanną walkę z szatanem w łonie Kościoła, jak i ostateczne zwycięstwo Kościoła chrześcijańskiego nad Antychrystem na końcu świata. Pod wpływem rozpowszechniania się legendy gargańskiej walka ta nabierała też „misyjnego" wydźwięku, symbolizując ziemską walkę chrześcijaństwa z pogaństwem. W tej roli św. Michał stał się szybko opiekunem ludu chrześcijańskiego jako nowego „narodu wybranego". Podejmując wątek dobrze już znany w Bizancjum, był szczególnym patronem i niebieskim „odpowiednikiem" cesarza – ziemskiego przewodnika oraz opiekuna chrześcijan i Kościoła.

Stopniowo, w miarę przemian średniowiecznej Europy oraz przenoszenia punktu ciężkości jej życia politycznego z Italii na północ i zmierzchu uniwersalizmu, dokonywała się coraz większa „militaryzacja" obrazu św. Michała. Pod koniec wieków średnich stał się on jednym ze „świętych rycerskich", a nawet patronem niektórych zakonów rycerskich. I taki dynamiczny obraz Archanioła walczącego ze smokiem ugruntował się w powszechnej wyobraźni oraz przetrwał do dzisiaj.

Równie popularny był w imaginacji średniowiecznej dobrze już znany na Wschodzie wątek, który wiązał św. Michała ze światem zmarłych – tzn. jego rola pośmiertnego przewodnika i opiekuna dusz w ich ostatniej wędrówce do „bram raju". Na szalach trzymanej przez siebie wagi dokonywał oceny ich dobrych oraz złych uczynków i – w zależności od tego, które przeważały – wprowadzał je do nieba lub strącał do piekieł (susceptor et dux animarum). Św. Michał stał się w oczach wiernych „patronem dobrej śmierci" i w tej roli występuje w modlitwach liturgicznych oraz mszach za zmarłych, jako patron kaplic cmentarnych, a przede wszystkim jako jeden z głównych aktorów monumentalnych przedstawień Sądu Ostatecznego, które licznie zdobiły zachodnie ściany gotyckich katedr. I ponownie odwołując się do rodzimego przykładu, wspomnijmy w tym miejscu Sąd Ostateczny Hansa Memlinga, z tryptyku, który drogą różnych perypetii pod koniec XV w. trafił do gdańskiej katedry mariackiej (obecnie znajduje się tu jego kopia, a oryginał w zbiorach Muzeum Narodowego w Gdańsku). W centrum sceny św. Michał w złotej zbroi rycerskiej dzierży w lewej ręce wielką wagę, na której waży ludzkie uczynki, i trzymanym w prawej ręce pastorałem oddziela zbawionych od potępionych i spycha tych ostatnich do piekielnej otchłani.



FOT. MNG

Hans Memling, „Sąd Ostateczny"

Uniwersalny święty

Św. Michał Archanioł zalicza się do najbardziej czczonych świętych Kościoła katolickiego. I nie tylko. Adorowany jest przez Kościół prawosławny, Kościoły orientalne, a także przez judaizm i islam. Jakie były przyczyny tego niezwykłego sukcesu na średniowiecznym Zachodzie? Z jednej strony wynikały one z jego uniwersalnego charakteru. Mamy tu do czynienia z kultem biblijnym, a więc niezwiązanym z żadnym konkretnym miejscem i czasem, a który w miarę postępów ewangelizacji i rozpowszechniania się liturgii rzymskiej docierał do wszelkich zakątków chrześcijańskiego świata, do każdej nowej gminy chrześcijańskiej, obok kultu Maryi, Apostołów itp. Był to kult uniwersalny, lecz jednocześnie odznaczał się swoistą „konkretnością", dzięki której mógł być łatwo przyjęty przez ludy schrystianizowane od niedawna i powierzchownie. Z rzeszy anonimowych aniołów wyróżniał się dzięki imieniu, wyjątkowej pozycji niebieskiego archistratega i dobrze określonej roli, znacznie ważniejszej w porównaniu z innymi aniołami i świętymi. Reprezentował model książęcy, wojenny, zwycięski, i jako taki łatwo przemawiał do wyobraźni społeczności prymitywnych oraz zmilitaryzowanych, które tworzyły średniowieczną Europę. Przykład Longobardów, którzy wybrali go sobie na szczególnego patrona i dedykowali mu liczne sanktuaria, czy wikingów w X w., gdy zwycięski św. Michał zaćmiewał niekiedy postać samego Chrystusa, niezrozumiałego, jako że przyjął śmierć bez walki, są tu bardzo wymowne. Legenda gargańskiego sanktuarium ugruntowała wizerunek Archanioła jako niezwyciężonego protektora oddanego mu ludu, przynoszącego zwycięstwo w bitwie, a zarazem potężnego pana miejsc dzikich i niedostępnych, wzbudzających jednocześnie strach i podziw. Pokazywała Archanioła w konkretnym ziemskim działaniu w niezwykle fascynującej scenerii. Ponadto w tej epoce niepewności, wielkich przemian, migracji i najazdów, gdy nasilały się zainteresowania eschatologiczne, rodziły się pytania dotyczące kresu ludzkiej egzystencji i końca świata, przychylność św. Michała warto było sobie zaskarbić. Wreszcie dla Kościoła stanowił możliwość ujęcia w karby i nakierowania na ortodoksyjne tory zbyt wybujałego i niekontrolowanego kultu aniołów.

Obraz św. Michała ugruntowany w średniowieczu upowszechnił się w ciągu kolejnych stuleci i przetrwał do dzisiaj. Ujmijmy to słowami sienkiewiczowskiego pana Wołodyjowskiego, gdy w rozmowie z Kmicicem w ten oto sposób wyjaśnia swoje imię: „Właściwie to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty Jerzy smoka tylko roztratował, a święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewodzi i tyle już nad piekielnymi chorągwiami odniósł wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona" („Potop", t. I, rozdz. IX).

eprasa.pl 236a0e0c90

O GAŁCZYŃSKIM INACZEJ

W STYCZNIU 2020 r. MINĘŁA 115. ROCZNICA URODZIN KONSTANTEGO ILDEFONSA GAŁCZYŃSKIEGO. CZY MOŻNA O NIM JESZCZE COŚ WIĘCEJ NAPISAĆ? BA, TRZEBA!



WOJCIECH OSIŃSKI

Na początku swojej pisarskiej kariery Konstanty Ildefons Gałczyński wyczerpywał wszelkie znamiona „poety wyklętego". Jedną z jego ulubionych rozrywek było pokazywanie języka wszelkim literackim „modom", które zawładnęły życiem literackim II Rzeczypospolitej. Przy czym nie jest już szczególnym odkryciem, że niestety te same charakterystyczne cechy, które w przedwrześniowej Polsce pchały go do blichtru, położyły się cieniem na jego »

Konstanty Ildefons Gałczyński

FOT. NAC

» twórczości po 1945 r. Niezłomne oddanie się sprawom, które przed 1939 r. nie pozwalało poecie ugiąć się choćby przed bolszewicką zarazą, zmieniło się potem w upartą wolę trwania w socjalizmie. W Polsce Ludowej niepokorna postawa Gałczyńskiego zwyrodniała w nawyk nieliczenia się z realiami i wyrodziła w przekonanie, jakoby cel uświęcał środki. Lecz jedno jest pewne: autor „Zaczarowanej dorożki" był poetą niezwykle utalentowanym.

Niepokorny satyryk

Wbrew wszelkim dziejowym burzom i politycznym woltom Gałczyński pozostawał niezmiennie zakochany w miejskim folklorze, w lokalnych socjolektach i gwarach, w rzekomo banalnym zgiełku i kiermaszach Warszawy. I potrafił z tego surowego materiału wydestylować doskonałą poezję. Równocześnie wymykał się jednoznacznym klasyfikacjom, drwiąc z wszystkich tych pisarzy, którzy szukali akceptacji w grupach poetyckich. Gardził tanim naśladownictwem, tyle że z jego wczesnych tekstów promieniował znany czytelnikom humor autorów „Skamandra" i innych osób siedzących przy „stoliku na piętrze". Jeśli jednak skamandryci starali się oddzielać w swojej twórczości lirykę od satyry, Gałczyński właśnie w pomieszaniu tych gatunków osiągnął mistrzostwo. Jako klasyczny filolog był zresztą w stanie nadać każdemu lapidarnemu zdarzeniu doskonałą kompozycję liryczną. Z pozoru lekkie wiersze o „strzelnicach na jarmarku" zdradzały wpływy Horacego i Wergiliusza.

W latach 30. niepokorny Gałczyński współpracował z popularnym prawicowym miesięcznikiem „Prosto z Mostu". Gałczyński był przede wszystkim zawodowym pisarzem, który zauważył, że wśród czytelników tegoż pisma zaistniał popyt na poezję przesączoną codziennym ulicznym rumorem. Lecz poza tym ma chyba rację Czesław Miłosz, który – przy wszystkich pomyłkach w swoim „Zniewolonym umyśle" – trafnie zauważa: „Lutnia w ręku i tłum wielbicieli – oto czego pragnął. Jak pragnęli dawni pieśniarze i poeci".

Wszelako niebawem również w tekstach Gałczyńskiego „karuzele" zaczęły stopniowo ustępować „karabinom maszynowym". Poeta doskonale wiedział, o czym pisał. Jeszcze zanim zebrały się nad Wisłą szare chmury, Gałczyński przebywał w latach 1931–1933 na stanowisku attaché kulturalnego w Berlinie, gdzie z niepokojem obserwował poczynania rosnącej w siłę NSDAP. Natomiast już po II wojnie światowej – zanotowawszy wcześniej m.in. pobyty w Brukseli, Paryżu i Krakowie – mieszkał przez jakiś czas w poniemieckim Szczecinie, gdzie był świadkiem potężnych metamorfoz społecznych. I mimo że nad Odrą przebywał stosunkowo niedługo, zapisał się w lokalnej historii jako piewca polskiego Pomorza Zachodniego, który przyczynił się do kulturowej repolonizacji Ziem Odzyskanych. Niemniej można odnieść wrażenie, że te polsko-niemieckie wątki w biografii Gałczyńskiego dotąd w należytej proporcji nie wybrzmiały.

W niemieckiej otchłani

Gdy Gałczyński wyjechał w 1931 r. jako referent kulturalny na placówkę konsularną w Berlinie, jego ostre pióro harmonizowało już z katastroficznymi nastrojami innych pisarzy, wieszczącymi najgorszy z możliwych scenariuszy. Przy czym wśród polskich poetów był bez wątpienia jednym z pierwszych, którzy wykazywali się tak daleko idącym profetyzmem.

Mimo czasochłonnych (i dość nudnych) obowiązków urzędniczych dwuletni pobyt w Berlinie okazał się dla Gałczyńskiego niezwykle płodny. Niestety trzy epickie utwory z tego okresu (m.in. „Książka o mojej żonie") zaginęły w „niemieckiej otchłani". Polski poeta był uważnym obserwatorem lokalnej bohemy artystycznej i z zamiłowaniem korzystał z rozrywek, które oferowały lokale w magicznym międzywojennym Berlinie. Nocne życie w stolicy Republiki Weimarskiej było wysoce amoralne i do szpiku zepsute. Na tejże „kolorowej" mapie, owym konglomeracie prostytucji, narkotyków i swobód obyczajowych, pojawiały się na początku lat 30. jednak już pierwsze „brunatne" plamy nazistowskich szajek. Nawiasem mówiąc, ów szalony klimat przedwojennej stolicy oddaje znakomity serial Toma Tykwera „Babylon Berlin".

Ówczesną atmosferę stolicy Niemiec uchwyciły też niektóre utwory samego Gałczyńskiego, choćby nieco pożółkły już wiersz „Inge Bartsch". Bartsch była aktorką berlińskiego kabaretu politycznego Katakumby (Die Katakombe), która stała się ofiarą przybierających na sile nagonek antysemickich. Do Katakumb, które zapraszały do współpracy tak znanych i niepoprawnych literatów jak Erich Kästner, Gałczyński chodził niemal codziennie. Roiło się tam od intelektualistów, dla których teatr na Bellevuestrasse był jedną z ostatnich enklaw wolnego słowa. Na przełomie lat 1932/1933 przychodziło doń jednak już coraz więcej nazistowskich szpicli i zaczęło szaleć donosicielstwo. Toteż dekadentyzm Berlina Gałczyńskiego zarazem fascynował i odpychał, a samobójstwo jego przyjaciółki Inge Bartsch, która nie potrafiła znieść „nowej" rzeczywistości, była dla niego kroplą przepełniającą kielich goryczy. „Podejrzana o semityzm [...] aktorka nie wytrzymała w dusznych klamrach systemu" – odnotował polski poeta. Teatr Katakumby był wtedy rzeczywiście jednym z ostatnich miejsc chroniących tęgie umysły przed wylewającą się na stołeczne ulice brunatną swołoczą.

W Berlinie Gałczyński spędził zaledwie dwa lata, choć potrafił je intelektualnie zdyskontować. Studiował język Goethego i mimo narastającej z każdym dniem stęchlizny politycznej nie ukrywał swojej życzliwości dla niemieckiej kultury. Lecz po pożarze Reichstagu i (faktycznym już) przejęciu władzy przez Hitlera pisarz postanowił zrezygnować ze swojego stanowiska w konsulacie RP, po czym w kwietniu 1933 r. wrócił do Polski. Gałczyński miał jednak jeszcze do Niemiec powrócić, tym razem już w zupełnie innych okolicznościach.

Piewca Szczecina

Lata 1934–1939 poeta spędził w Wilnie i Warszawie, jego teksty ukazywały się zaś nadal na łamach „Prosto z Mostu". Wziął udział w kampanii wrześniowej, po czym trafił do niewoli sowieckiej. Powstały wtenczas wyborne wiersze, choćby „Sen żołnierza". Niebawem Gałczyński znowuż znalazł się w Niemczech, został bowiem przekazany do obozu jenieckiego w Altengrabow pod Magdeburgiem. W czasie pobytu napisał tam wiele kapitalnych utworów, które jeszcze w konspiracyjnych odpisach zyskały ogromną popularność („List jeńca", „Dzika róża"). Wojna nie zniweczyła twórczego potencjału poety. Powojenne dwa lata, które spędził w Krakowie, były dlań wyjątkowo produktywne. W 1946 r. opublikował choćby słynną „Zaczarowaną dorożkę" i „Kolczyki Izoldy".

eprasa.pl 236a0e0c90

W 1947 r. w ramach cyklu wyjazdów autorskich Gałczyński przyjechał po raz pierwszy do Szczecina. To Leonard Borkowicz sprowadził 42-letniego poetę nad Odrę. Pierwszy zachodniopomorski wojewoda chciał ożywić w Szczecinie życie kulturalne, toteż zaczął zachęcać przedwojennych polskich twórców do zamieszkania w tym mieście. Część z nich nie mogła się oprzeć, gdyż spadł na nich deszcz przywilejów. Znani pisarze (jak Jerzy Andrzejewski) przybyli do Szczecina i zamieszkiwali w urokliwych, poniemieckich willach nad Jeziorem Głębokim. Gałczyński osiadł tam dopiero wiosną 1948 r. Pisarz zamieszkał wraz z rodziną w dzielnicy Pogodno, w gotowym do zagospodarowania domu przy ul. Skłodowskiej-Curie 17. Do dziś widnieje tam tabliczka informująca o pobycie twórcy Teatrzyku Zielona Gęś.

Poeta był zachwycony Szczecinem, zielenią w mieście, magnoliami oraz morskim klimatem. Jego córka Kira chodziła przy pobliskiej ul. Reymonta do szkoły podstawowej. Po niepewnych latach nieustannych wyrzeczeń miesiące spędzone nad Odrą były dlań okresem względnej stabilizacji. Odpoczywając na balkonie, nie słyszał wprawdzie szumu morza, ale do jego uszu docierał krzyk mew. Na horyzoncie rysowało się już zresztą piękne oblicze nieodległego Świnoujścia. „Ale jest jedna wśród dziewczyn, wietrzna i morska, ma takie niezwykłe imię: Polska. Na nią czekały usta. I dla niej chcę wierszem płonąć" – czytamy w „Spotkaniu w Szczecinie". Atmosfera powracającego do ojczyzny grodu Książąt Pomorskich zrobiła na Gałczyńskim ogromne wrażenie. Znany liryk postanowił pozostać nad Odrą, gdzie chciał uczestniczyć w epokowych przemianach miasta. „Tutaj mój port, tu słońce mam na czole [...]. Dobrze mi tu. I wieje wiatr od Odry, odurzający i zwycięski jak nadzieja" – czytamy we wciąż niedocenionym wierszu „Szczecin".

Kult pionierski

Na początku czerwca 1948 r. Gałczyński przeszedł zawał i trafił do szpitala przy ul. Unii Lubelskiej 1. Poeta bywał wtedy też często na badaniach w Warszawie, choć wbrew zapewnieniom niektórych jego biografów jeszcze do 1949 r. mieszkał w Szczecinie. Świadczą o tym choćby odnalezione niedawno szczecińskie wiersze, które nie mogły powstać w stolicy. Gałczyński opuścił miasto więc dopiero w sierpniu 1949 r. I chociaż przebywał w Szczecinie stosunkowo niedługo, rozwinął się tam wokół niego niekwestionowany kult, który był skrzętnie pielęgnowany także po jego śmierci. W 1964 r. zbudowano i zwodowano statek M/S „K.I. Gałczyński". Imię poety otrzymało nadto Studium Nauczycielskie nr 1, będące kamieniem węgielnym Uniwersytetu Szczecińskiego. W latach 1964–1969 odbywał się ogólnopolski festiwal poetycki im. Gałczyńskiego, który w 1998 r. odżył (już w nieco innej odsłonie) pod nazwą „Gałczynalia". W 1973 r. w Oddziale Muzycznym obecnej Książnicy Pomorskiej otwarto gabinet autora „Niobe" z eksponatami ze zbiorów jego córki. Z kolei w październiku 2018 r. na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie posadzono ku jego czci młode drzewko pamięci.

W POLSCE LUDOWEJ UWIÓDŁ GO SPLENDOR, A PRZEDWOJENNA NIEPOKORNA POSTAWA ZAMIENIŁA SIĘ W NAWYK NIELICZENIA SIĘ Z REALIAMI

Krytycy sprowadzają lokalny kult Gałczyńskiego do „idealizowania" okresu pionierskiego, w którym polscy mieszkańcy z zapałem przystąpili do repolonizacji Kresów Zachodnich. Niektórzy badacze literatury ulegają przekonaniu, jakoby poeta był przesadnie „naginany" do roli „szczecińskiego wieszcza". Czy mają rację? Cóż, nie bądźmy skłonni do ferowania ocen, skoro nie wiemy wszystkiego. Prawda jest taka, że Gałczyński był nad Odrą niezwykle aktywny. Powstały wtedy choćby tak wspaniałe wiersze jak „Polskie gwiazdy", „Wiosna w Szczecinie" czy „O sierpniu". Pisarz był jednym ze współzałożycieli legendarnego Klubu 13 Muz, który jeszcze dziś zaprasza na wspaniałe wydarzenia kulturalne. Zgoda, Gałczyński nie pochodził ze Szczecina, jego kult można zatem w pewnym sensie zrozumieć jako element procesu „kulturowego oswajania". Lecz co jest złego w tym, że szczecinianie wznoszą mu pomniki? Oprócz niedobitków przedwojennej Polonii niemieckiego Stettina nad Odrą pojawili się Polacy z różnych stron kraju (najczęściej z Kresów Wschodnich). Ci pionierzy dostrzegli w Gałczyńskim wspólny punkt odniesienia, zarzewie tradycji literackiej polskiego już Szczecina. Przy czym jego sławne nazwisko miało siłę ogólnokrajowego rażenia. Owszem, serwilizm Gałczyńskiego wobec władz PRL zaskakiwał i rozpalał gniew patriotów. Ale przecież poeta faktycznie mieszkał w tym mieście, chłonąc jego specyficzną atmosferę. Spacerował po bulwarze Chrobrego, przesiadywał w kawiarni przy porcie, palił papierosa na Rynku Siennym. I pisał wiersze. W swój sposób spoił stolicę Pomorza Zachodniego z resztą kraju (czy to dlatego przemierzający dziś całą Polskę pociąg ze Szczecina do Białegostoku nosi nazwę „Gałczyński"?).

Te pozytywne emocje schładza oczywiście wiedza o jego politycznej działalności po 1945 r. – Wielki poeta może być głupi, to się nie wyklucza – twierdzi pisarka Joanna Siedlecka.

Na pewno był Gałczyński postacią tragiczną, która chętnie dała się zinstrumentalizować. On sam był zaś poetą, który nie potrafił pisać, nie mając poklasku. Pragnął być podziwiany i natychmiast nagradzany aplauzem, bez względu na to, jakie powiewały sztandary. Uwiódł go niestety splendor, którym cieszyli się powracający do kraju literaccy pupile Bolesława Bieruta. Jednak właśnie w latach 1945–1953 Gałczyński napisał kilka najpiękniejszych swoich utworów, które były całkowicie wolne od propagandowych inklinacji (pomijając haniebne teksty utrzymane w tonie socrealistycznej perswazji). Być może dlatego wielu szczecinian jeszcze dziś wspomina go z zachwytem. Tak przynajmniej sobie myślę, siedząc wiosną na placu Gałczyńskiego i podziwiając rzeźbę „Zaczarowanej dorożki".

eprasa.pl 236a0e0c90

Racja stanu, czyli o polski soft power



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Rozwój demograficzny, silna gospodarka, potencjał militarny, stalilność polityczna, odpowiedzialna polityka zagraniczna, dodatkowo strategiczne położenie geograficzne i okrzepły system demokratyczny – to czynniki decydujące o międzynarodowym znaczeniu państwa.

Coraz częściej do tych argumentów dodaje się jednak jeszcze jeden – pozytywny wizerunek państwa i narodu za granicą. O ile wcześniej wymienione twarde komponenty pozycji państwa na arenie międzynarodowej bronią się same (o ile są korzystne); wynikają z racjonalnej oceny rzeczywistości międzynarodowej, o tyle ten ostatni jest zazwyczaj rezultatem długofalowej i konsekwentnej polityki państwa oraz jego instytucji, a także spójnych z nią inicjatyw oddolnych. O wizerunku tym stanowi promocja narodowego, kulturowego i intelektualnego dziedzictwa oraz dziejów państwa i narodu. Ważnym narzędziem jego kreowania jest tzw. polityka historyczna – instrument, którego po II wojnie światowej Polska, zwasalizowana przez Sowiety i odgrodzona od Wolnego Świata żelazną kurtyną komunizmu, została pozbawiona, a który przez władze III RP do 2015 r. (poza krótkimi epizodami) w najlepszym razie był niedoceniany, w najgorszym traktowany bezrozumnie jako atrybut i przejaw polskiego „nacjonalizmu, zaściankowości i megalomanii". Tymczasem politykę historyczną, jako element soft power, czyli „miękkiego wpływu, delikatnej siły", stosują wszystkie liczące się narody, przypisując sobie dziejową rolę bądź współtwórców i obrońców sprawiedliwego międzynarodowego ładu (Amerykanie obrońców demokracji, Rosjanie „pogromców faszyzmu", Francuzi prekursorów praw obywatelskich, Niemcy budowniczych zjednoczonej, tolerancyjnej Europy), bądź ofiar prześladowań domagających się współczucia i poparcia świata (Żydzi, eksponując Holocaust, Ukraińcy podnosząc sowieckie represje na czele z Wielkim Głodem). „Polskie obozy zagłady", „polski antysemityzm wyssany z mlekiem matki", „Polacy – współsprawcy Holocaustu" – to właśnie katastrofalne pokłosie błędnej rezygnacji polskich elit politycznych i naukowych III RP z forsowania w międzynarodowym otoczeniu własnej opowieści o przeszłości Polski i Polaków.

POLITYKĘ HISTORYCZNĄ, JAKO ELEMENT SOFT POWER, CZYLI „MIĘKKIEGO WPŁYWU, DELIKATNEJ SIŁY", STOSUJĄ WSZYSTKIE LICZĄCE SIĘ NARODY, PRZYPISUJĄC SOBIE DZIEJOWĄ ROLĘ WSPÓŁTWÓRCÓW BĄDŹ OBROŃCÓW SPRAWIEDLIWEGO MIĘDZYNARODOWEGO ŁADU

Zasygnalizowanym problemom poświęcona jest książka „Wizerunek Polski w świecie, Idee i działania" (Warszawa 2020), opublikowana nakładem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Książka stanowi zbiór niezwykle ciekawych i inspirujących esejów autorstwa znanych przedstawicieli świata nauki i kultury, m.in. literaturoznawcy Ewy Thompson; historyka Bohdana Urbankowskiego; publicysty (byłego redaktora „Frondy") Grzegorza Górnego; konserwatysty, filozofa i dziejopisa Jacka Bartyzela; znawcy dziejów Niemiec Grzegorza Kucharczyka; analityka Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Łukasza Jasiny, historyka i filozofa Pawła Rzewuskiego; dziejopisa, znanego poety i pieśniarza Jacka Kowalskiego oraz socjologa i doradcy prezydenta RP Andrzeja Janusza Zybertowicza. Autorzy ci zastanawiają się, jakie elementy wizerunku Polski i Polaków mogą się stać ich pochlebną, a zarazem atrakcyjną dla cudzoziemców wizytówką, a także jaka długofalowa strategia i bieżące działania mogą zapewnić ich pożądany odbiór – w efekcie skutkować budową spójnego pozytywnego konterfektu państwa i narodu na arenie międzynarodowej. Z lektury książki wynika kilka ważnych – a pozostaje mieć nadzieję, że i wiążących dla osób oraz instytucji decydujących o kształcie polskiego soft power – wniosków. Należą do nich: odrzucenie taktyki reaktywnej na rzecz konsekwentnego forsowania własnej opowieści o polskich dziejach i kulturze; podkreślanie wątków, łączących je z historią i kulturą Europy i świata (tradycje parlamentaryzmu, tolerancji oraz integrującej roli Polski na wschodzie Starego Kontynentu, decydujące dla dziejów Europy polskie zwycięstwa pod Wiedniem w 1683 r. i nad Wisłą w 1920 r.), ale także tych egzotycznych dla Zachodu (polski sarmatyzm). Pozostaje mieć nadzieję, iż po fazie poważnej debaty i upublicznienia wynikajacych z niej wniosków pora teraz, by słowo stało się ciałem.



„Wizerunek Polski w świecie, Idee i działania", Warszawa 2020, wyd. nakładem BBN

eprasa.pl 236a0e0c90

Rafał Łatka rozmawia z...

...Błażejem Torańskim, współautorem książki „Mały Oświęcim. Dziecięcy obóz w Łodzi”



Dlaczego historia niemieckiego obozu koncentracyjnego dla dzieci w Łodzi jest tak mało znana?

Błażej Torański: Nie mam wątpliwości, że gdyby to były dzieci żydowskie – nie polskie – świat grzmiałby o popełnionych tam zbrodniach od dawna. W końcu, jak powiada Tadeusz Płużański, żyjemy w kraju, w którym trwa wojna między trzecim pokoleniem UB i trzecim pokoleniem AK. Przez lata Peerelu obóz był przemilczany, ukrywany pod dywanem propagandy, cenzury komunistycznego państwa. Ocalona z obozu Krystyna Wieczorkowska-Lewandowska powiada tak: „Ten obóz był tajny, ukryty w getcie, i taki pozostał. Od wielu lat się zastanawiam: komu na tej ciszy zależy? Po wojnie go zburzono, rozebrano, »pozamiatano«. A przecież był jedyny, drugiego takiego w Europie nie było. Jak widać, Niemcy wciąż mają wielki wpływ na kształt świata, skoro do dziś prawie nikt o nas, dzieciach z Przemysłowej, nie wie”.

W 1975 r. w Ossolineum wyszła książka byłego więźnia obozu Józefa Witkowskiego „Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi”. To wartościowe źródło wiedzy, bo autor współpracował ze służbami komunistycznego państwa i miał dostęp do unikatowych dokumentów. Ale nakład, jak na PRL, był śmiesznie niski: 2,7 tys. egz. W niszowych publikacjach cenzorzy pozwalali na więcej prawdy.

Ale jest jeszcze jeden powód. Byli więźniowie długo nie mogli się wypowiadać o tym dramacie. Bezmiar cierpienia był tak wielki, że kneblował im usta.

Oddali państwo głos przede wszystkim świadkom – więźniom z obozu przy ul. Przemysłowej. Skąd taki pomysł narracyjny?

Świadectwa ofiar najsilniej przemawiają do wyobraźni. Czy zdanie więźniarki Gertrudy Skrzypczak: „Dzieci były tak głodne, że obgryzały sobie ręce”, nie mówi więcej o piekle niż cytowane dokumenty? Albo wspomnienie Zenka, który zazdrościł jedzenia świniom i podkradał parujące ziemniaki z chlewu. W obozie przy Przemysłowej nie było szczurów, myszy, wróbli czy glist. Dzieci zjadały wszystko.

Wiele miejsca w książce zajmuje postać Genowefy Pohl. Jak ją pan ocenia przez pryzmat państwa ustaleń?

Ocenę Eugenii Pol vel Genowefy Pohl wolę oddać jej ofiarom. Cytuję w książce: „Jak słyszę nazwisko Pohl, słabo mi się robi”. „Bicie sprawiało jej radość. Bijąc, śmiała się”. „Była jedną z najbardziej sadystycznych nadzorczyń”. „Była okropna. Biła wszystkim, nawet łyżkami do zupy. Biła i starsze, i młodsze dziewczynki, jak któraś się jej nie spodobała”. „Zła, okrutna. Biła, czym popadło. Nigdy nie widziałam jej bez pejcza. Traciłyśmy przytomność”. „Ordynarna i szorstka. Raz zerwała nas w nocy z łóżek i popędziła na boso, w koszulinkach do pompy. Kazała nam się myć w zimnej wodzie, a potem nas biła”. „Baliśmy się jej. Na patkach munduru miała znak SS, dwie błyskawice. Na nogach oficerki, a w ręku pejcz. Czasami pejcz nosiła w bucie. Biła nim za najmniejsze przewinienia albo bez powodu”. „Bałyśmy się Pohlowej, drżałyśmy wiecznie, żeby nas nie dosięgła. Pohlowa... Potwór! Na pejczu miała końcówkę – jak uderzyła, to skóra pękała”. „Biła, gdzie popadnie. W głowę, plecy, ręce, brzuch”. „Kije, które nosiły nadzorczynie, Bayer i Pohl, nie były drewniane. Sztywne, oplecione skórą, jakby w środku znajdował się stalowy pręt”. „Biła, kopała butami, a nawet uderzała cegłą. Za jedno słowo polskie albo za wzięcie zgniłego kartofla. Odbiła mi nerki. Bałyśmy się panicznie nawet jej wzroku”. „Potrafiła dziecko zamknąć w szafie na noc, a ono mdlało, bo nie miało dostępu powietrza. Mówiła do nas: »I tak wszystkie zdechniecie«”. Wystarczy?

Co było najbardziej dojmującym doświadczeniem przy tworzeniu tej książki?

Losy dzieci. Urszula Kaczmarek miała 13 lat. Ciągle ją bito. Przechodziła tortury. Za to, że z głodu i wycieńczenia brudziła łóżko. Że bezwiednie oddawała mocz. Że podkradała z paczek innym jedzenie. Eugenia Pohl biła ją i kazała polewać na przemian zimną i gorącą wodą. Współwięźniarka Danuta Kęsik opowiadała, jak całe ciało Uli było pokaleczone, a w brzuchu miała ranę wielkości pięści. Jadwiga Pawlikowska daje najmocniejszy przekaz: „Widziałam, jak Eugenia Pohl pejcz, podobny do kija, włożyła w ranę, do brzucha Urszuli Kaczmarek, i przewracała jej wnętrzności”. Marianna Kowalewska uzupełnia: „Przy pomocy węża gumowego wodą pod ciśnieniem (Eugenia Pohl) polewała ranę na brzuchu Urszuli. Łóżko Urszuli nie miało ani materaca, ani siennika. Leżała nago, niczym nie przykryta, na sprężynach żelaznego łóżka. Wszystko to widziałam [...] Urszula zmarła na moich oczach”. Dojmujące?

FOT. EAST NEWS/MICHAŁ WOŹNIAK



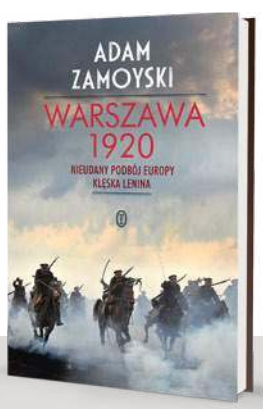
RAFAŁ ŁATKA
Biuro Badań Historycznych IPN

W KRĘGU KLIO

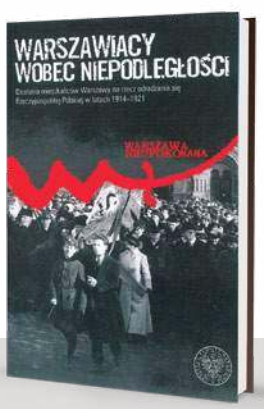
Wokół odzyskania niepodległości, Bitwy Warszawskiej i 1920 r.



Andrzej Chwalba, „Przegrane zwycięstwo. Wojna polsko-bolszewicka 1918–1920", Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020



Adam Zamoyski, „Warszawa 1920. Nieudany podbój Europy. Klęska Lenina", przeł. M. Roniker, Wydawnictwo Literackie 2020



„Warszawiacy wobec niepodległości. Działania mieszkańców Warszawy na rzecz odradzania się Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1914–1921", red. Michał Zarychta, Warszawa 2020

Przypadająca w tym roku setna rocznica polskiego zwycięstwa w wojnie z bolszewikami skłania do refleksji na temat zarówno tej wojny, jak i, szerzej patrząc, trwającego w latach 1914–1921 procesu odradzania się naszej Ojczyzny. Nawiązując do tych wydarzeń, historycy opublikowali kilkanaście książek o ich przebiegu. W tym miejscu przybliżę trzy, w moim przekonaniu szczególnie interesujące, pozycje opisujące dzieje Polski w okresie odzyskiwania niepodległości i konfliktu zbrojnego z „czerwoną" Rosją.

Najciekawszą publikacją inspirowaną rocznicą Bitwy Warszawskiej i już wywołującą dyskusje wśród historyków jest książka Andrzeja Chwalby zatytułowana dość prowokacyjnie: „Przegrane zwycięstwo". Jest to bez wątpienia spojrzenie świeże i oryginale, choć popularnonaukowe i oparte w dużej mierze na ustaleniach wcześniejszych badaczy. Najważniejszą tezą, jaką stawia krakowski historyk, jest stwierdzenie, że wyprawa kijowska, którą zainicjował i przeprowadził w 1920 r. Józef Piłsudski, była niepotrzebna i poskutkowała ogrom-



eprasa.pl 236a0e0c90

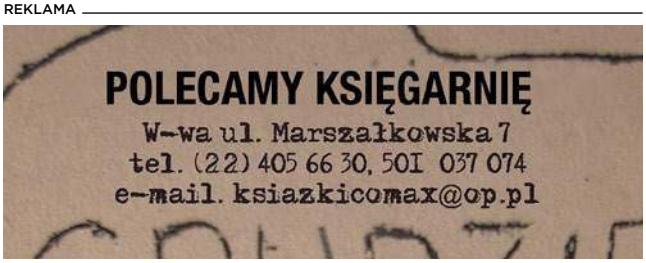
nym zagrożeniem dla odradzającego się państwa polskiego. W oczach badacza związanego z Uniwersytetem Jagiellońskim lepiej by się stało, gdyby ona w ogóle nie miała miejsca, gdyż przyczyniła się nie tylko do tego, że bolszewicy stanęli u bram Warszawy, lecz także do zjednoczenia wokół nich dużej części Rosjan, którzy poczuli się zagrożeni zdobyciem przez Polaków i Ukraińców Kijowa – miasta dla ich tożsamości szczególnie istotnego, oraz powszechnego postrzegania Polski jako państwa agresywnego, mającego imperialne ambicje. Spojrzenie i ocenę Chwalby z pewnością warto wziąć pod uwagę, ale pewne rozczarowanie przynosi brak pogłębienia stawianych przez autora tez. W moim przekonaniu optyka prezentowana w książce „Przegrane zwycięstwo" jest warta uwagi i rozważenia, ale powinna zostać przez autora znacznie szerzej opisana. Brakuje tu bardziej rozbudowanego zakończenia zawierającego wnioski autora, tak jakby oczekiwał, iż każdy czytelnik samodzielnie je wyciągnie po lekturze zasadniczej części książki. O wiele więcej niż w podsumowaniu dzieła krakowski historyk powiedział w wywiadzie dla portalu Dzieje.pl: „Piłsudski natomiast uważał, że Rosja »czerwona« jest słaba. Nie doceniał jej siły. Uważał, że ruszając na Wschód, łatwo przegoni bolszewika, tak jak śpiewamy w żurawiejce: »lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń!«. Niestety okazało się, że atak na Kijów spowodował reorientację Rosjan. To była wyprawa o daleko idących negatywnych konsekwencjach. Utraciliśmy Wilno i Wileńszczyznę na rzecz Litwy, a decyzją aliantów bogate, przemysłowe Zaolzie na rzecz Czechosłowacji. Nie byłoby akcji Lucjana Żeligowskiego na Wilno jesienią 1920 r., która spowodowała wybuch konfliktu polsko-litewskiego, gdyby pokój został zawarty. Nie byłoby też zbrojnego zajęcia Zaolzia w 1938 r. Krótko mówiąc: jest się nad czym zastanawiać".

Wielką zaletą książki, którą należy podkreślić, jest z kolei całościowe spojrzenie na konflikt polsko-bolszewicki (choć rok 1918 jako cezura początkowa wydaje mi się jednak zbyt słabo uzasadniona) z uwzględnieniem wszystkich jego aspektów: militarnych, społecznych, gospodarczych. Krakowski historyk poświęcił też dużo miejsca na omówienie koncepcji politycznych obu stron konfliktu, a także różnic w spojrzeniach dwóch największych polskich środowisk niepodległościowych: endecji i piłsudczyków. Szczególnie interesujące są rozważania autora dotyczące sposobu tworzenia polskiej armii powstającej z żołnierzy o bardzo różnorodnych doświadczeniach i mentalności.

Druga z interesujących pozycji dotyczących tej tematyki zatytułowana jest „Warszawa 1920" i została przygotowana przez Adama Zamoyskiego. Ten brytyjsko-polski historyk znany jest jako wybitny popularyzator polskich dziejów za granicą, ze szczególnym uwzględnieniem anglosaskiego rynku wydawniczego. Część jego publikacji ukazuje się również w Polsce. Mają one zwykle te same zalety: lekkość pióra i syntetyczność ujęcia podejmowanej problematyki. Zgodnie z zapowiedzią autora opracowanie, jakie przedstawił, przeznaczone jest dla osób niezaznajomionych z historią wojny 1920 r. Dodać trzeba również, że autor koncentruje się głównie na aspekcie militarnym konfliktu, omawiając zresztą bardziej szczegółowo jedynie najistotniejsze operacje wojskowe. W pierwszej części Zamoyski przedstawił założenia polityki polskiej i bolszewickiej oraz cele, z jakimi obie strony przystąpiły do walki. W rozdziale drugim „Zabawa w żołnierzy" opisał specyfikę konfliktu, jego nietypowe cechy. Ważnym spostrzeżeniem Zamoyskiego jest choćby to, że była to ostatnia wojna, w której dużą rolę odegrała kawaleria. W gruncie rzeczy jednak nie jest to myśl nowa w stosunku do innych opracowań, już funkcjonujących na polskim rynku. W kolejnej części książki autor nakreślił plany walczących stron oraz właściwie ocenił, na ile były one możliwe do zrealizowania. W porównaniu z obszernością fragmentów poświęconych pozostałym zagadnieniom, szeroko omówiona została ofensywa z połowy sierpnia 1920 r., powszechnie znana dziś jako Cud nad Wisłą. Zamoyski ciekawie opowiedział o wielkim wysiłku polskiej armii przy realizacji tej operacji. Zauważył również pomijany przez wielu autorów fakt, że obie strony działały na podstawie wielu nieprawdziwych przesłanek czy nawet pewnych złudzeń (na ten sam problem zwrócił uwagę A. Chwalba). W ostatnim rozdziale książki omówione zostały konsekwencje zakończenia wojny i skutki, jakie przyniósł obydwu stronom traktat pokojowy. Opracowanie Zamoyskiego realizuje moim zdaniem swoje założenie, a więc umożliwia osobom nieznającym tematu zapoznanie się z przedstawioną w sposób syntetyczny problematyką wojny polsko-bolszewickiej. Należy stwierdzić, że treść książki, mimo jej skrótowości, świadczy o dużej erudycji autora i jego dobrej orientacji w literaturze przedmiotu, choć biorąc pod uwagę, że to drugie wydanie, należałoby ją nieco odświeżyć.

Ostatnią książką, na którą chciałbym zwrócić uwagę, jest praca zbiorowa „Warszawiacy wobec niepodległości. Działania mieszkańców Warszawy na rzecz odradzania się Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1914–1921", przygotowana pod redakcją Michała Zarychty. Jej dużym atutem jest przybliżenie nieznanych aspektów zaangażowania mieszkańców Warszawy w proces odzyskiwania niepodległości. Szczególnie interesujące są analizy dotyczące stosunku mieszkańców stolicy do organów władzy rodzącego się polskiego państwa. Tekst o warszawskich działaczkach Narodowej Demokracji zaangażowanych w działalność patriotyczną w tym okresie, studium poświęcone działalności ruchu skautowego w Warszawie czy artykuł redaktora tomu przybliżający wystąpienia masowe w przestrzeni publicznej stolicy w latach 1915–1919. Niedosyt budzi przyczynek Sabiny Bober dotyczący postawy arcybiskupa warszawskiego Aleksandra Kakowskiego wobec przemian politycznych w okresie I wojny światowej. Tekst został oparty tylko na wąskiej literaturze przedmiotu, bez analizy wielu źródeł archiwalnych na czele ze zbiorami Archiwum Archidiecezji Warszawskiej. Tylko niewiele lepiej jest w przypadku analizy Roberta Gawkowskiego poświęconej stosunkowi warszawskich sportowców do odrodzenia Rzeczypospolitej Polskiej w 1918 r. Mam nadzieję, że studia zainicjowane przez warszawski oddział IPN znacząco się rozwiną, gdyż teksty z tomu pokazują, jak wiele aspektów walki o niepodległość prowadzonej w Warszawie w latach 1914–1918 czeka na opisanie i na swoich badaczy. Ta książka to bez wątpienia krok w dobrym kierunku.

REKLAMA



63/0120/F

eprasa.pl 236a0e0c90

Państwowy Instytut Wydawniczy

Wrogów ludu prowadzić przez terror



ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Czas: rok 1998. Miejsce: amerykański uniwersytet. Wydarzenie: konferencja służb wywiadowczych Pentagonu poświęcona walce z terroryzmem. Osoby: długowłosy mężczyzna w podartych spodniach, skryty za ciemnymi okularami, niosący torbę i walizkę, zmęczona publiczność. Akcja: szybki rzut granatami, karabin M16 wycelowany w słuchaczy.

To nie filmowa scena, ale wymowna w swej grozie inscenizacja amerykańskiego generała, szefa Defence Intelligence Agency, który udowodnił, jak łatwo w minutę, w centrum światowego mocarstwa zlikwidować najlepszych specjalistów od terroryzmu. Trzy lata później byliśmy świadkami najbardziej spektakularnego ataku terrorystycznego w historii, a 11 września 2001 r. pozostaje znaczącą datą. Od takiej niemal surrealistycznej sceny wychodzą Gérard Chaliand i Arnaud Blin, redaktorzy naukowi bodaj najsolidniejszego, jakie powstało dotąd, opracowania zatytułowanego „Historia terroryzmu. Od starożytności do Da'isz". Niech nas jednak nie zmyli anegdotyczne wprowadzenie – ten opasły tom, liczący bez mała 600 stron, jest nie tylko świetnie napisany, lecz i gruntownie przemyślany. Zawiera dużo więcej niż historyczny opis rozmaitych form terroru obecnych na przestrzeni dziejów – od wpisanych w konkretny czas i miejsce zelotów i asasynów, po odwołujących się do wydarzeń sprzed 12 wieków, werbowanych i działających w skali światowej bojowników ISIS. Takie ramy kierują odruchowo myśl ku terrorowi opartemu na przesłankach religijnych i ruchach mesjanistycznych, nie wyczerpują jednak długiego katalogu „działań terroryzujących", które – jak przypomina G. Chaliand – historycznie były rolą zorganizowanych sił: państwa lub armii, przynajmniej w przypadku rządów despotycznych. Wiek XX to twórcze rozwinięcie tych wzorców – terror stalinowski, nazizm, ludobójstwa i masowe masakry, a w latach 70. i 80. wiele grup o inspiracji marksistowskiej... Trudno streścić całe encyklopedyczne bogactwo tej pracy, warto jednak wspomnieć, że mieści ona także spory wybór tekstów, w tym wiele nietłumaczonych dotąd na język polski. Oto książka, która może się stać potężnym narzędziem lepszego zrozumienia świata, przed którym nie ma ucieczki.



„Historia terroryzmu. Od starożytności do Da'isz", praca zbiorowa pod red. Gérarda Chalianda i Arnaud Blina, tłum. Katarzyna Pachniak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020

(Nie)bajka o smoku



GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Paczki, czasem oczekiwane, czasem niespodziewane – prawie zawsze owinięte papierem, zaklejone, zabezpieczone. Z jaką niecierpliwością je otwieramy, by jak najszybciej dotrzeć do zawartości, zwłaszcza tych przesyłek, które kryją w sobie niespodziankę.

Bohater książki Joanny Papuzińskiej „Zbuntowane słowa" niecierpliwie czeka na paczki z kilku powodów. To kilkuletni chłopiec żyjący w latach 80. w Polsce – w czasie ogromnego deficytu towarów, które dzisiaj mamy na wyciągnięcie ręki. Wspomina on paczki, które koledzy dostawali od rodzin z zagranicy. Były w nich produkty spożywcze, ubrania, zabawki, przybory szkolne. Rzeczy te często były obiektem zazdrości rówieśników.

Wreszcie pewnego dnia do rodziny chłopca przychodzi oczekiwana przesyłka: „Paczka była całkiem duża, coś jakby pudło od starego telewizora. Pudło było cokolwiek obszarpane, pozaklejane i związane sznurkiem, widać było, że ktoś już się do niego dobierał". A co stanowiło jego zawartość? Dla chłopca była ona lekkim rozczarowaniem, bowiem „mama wyciągnęła z niej kilka pudeł z makaronem, paczki krakersów, do tego słoik z kawą...". Ale, jak się za chwilę okazało, rzeczy te zawierały coś jeszcze – maleńkie książeczki z zakazaną w Polsce literaturą.

Poprzez historię „książeczek dla krasnoludków", ukrytych w makronie, młody czytelnik dowiaduje się, jak dostarczano nielegalną literaturę, jaki był jej obieg, jak ją przechowywano i wreszcie jakie konsekwencje mogły spotkać osoby posiadające zakazane książki.

Dodatkową atrakcją „Zbuntowanych słów" jest oryginalny komiks wydany przez Joannę Papuzińską w wydawnictwie drugoobiegowym, czyli „Bajka o smoku niewawelskim napisana bez wiedzy i zgody K.M.", nawiązująca do historii o Koziołku Matołku. Pokazuje ona m.in. to, jak wyglądało życie w ówczesnej Polsce, jakie mechanizmy rządziły krajem, czym była cenzura.

Dzięki połączeniu opowiadania z materiałem źródłowym książka Papuzińskiej jest dla odbiorców okazją do przyjrzenia się realiom życia w końcówce PRL. Aby je zrozumieć, potrzebna będzie pomoc osób dorosłych, które wytłumaczą młodszym wszystkie smaczki oryginalnego, drugoobiegowego komiksu.

W tłumaczeniu pomoże posłowie zawierające fotografie i informacje m.in. o tym, w jaki sposób drukowano książki w drugim obiegu, jakie sprzęty codziennego użytku odgrywały tu istotną rolę, wreszcie jak ważne było wolne słowo w procesie odzyskiwania przez Polskę niepodległości.

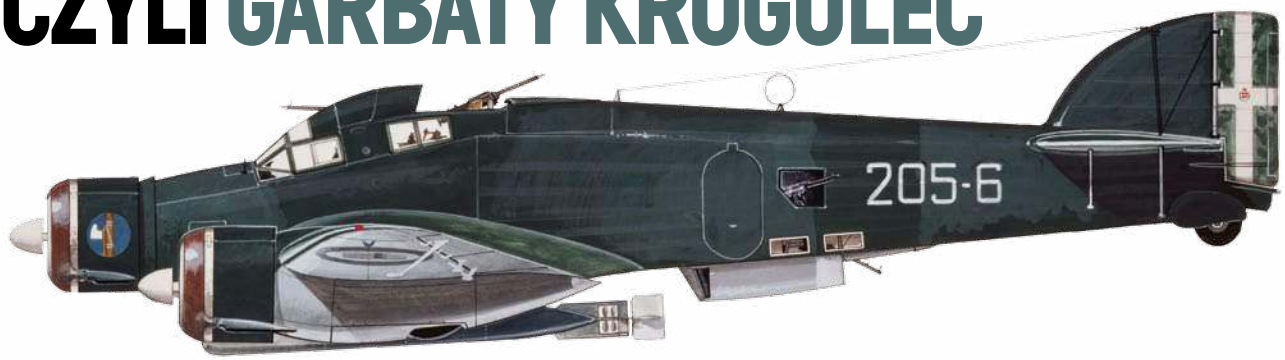
DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL



Joanna Papuzińska, „Zbuntowane słowa". Ilustracje: Sylwia Szyrszeń. Kategoria wiekowa: 7+, rok wydania: 2019

eprasa.pl 236a0e0c90

SAVOIA-MARCHETTI S.M. 79, CZYLI GARBATY KROGULEC





KACPER GROCHOCKI

SAVOIA-MARCHETTI S.M. 79 POWSTAŁ JAKO SZYBKI SAMOLOT PASAŻERSKI, LECZ ZARAZ „WCIELONO" GO DO WOJSKA

Na przełomie lat 20. i 30. XX w. popularne było projektowanie samolotów o trzech silnikach: dwóch umieszczonych symetrycznie w skrzydłach i jednym na przodzie kadłuba. Zabieg ten miał na celu zwiększenie mocy konstrukcji, a dzięki temu jej szybkości, udźwigu i zasięgu. Dalszy rozwój napędów lotniczych zatrzymał tę tendencję, lecz i tak powstało kilka wartych zainteresowania modeli samolotów o takim układzie jednostek napędowych. Jednym z nich był włoski Savoia-Marchetti S.M. 79.

Maszyna ta została zaprojektowana w zakładach SIAI przez Alessandra Marchettiego jako szybki samolot cywilny, specjalnie na potrzeby lotniczego wyścigu MacRobertsona z października 1934 r. na trasie Londyn–Melbourne. Ostatecznie nie wzięła jednak udziału w tym konkursie, ponieważ na początku października dopiero oblatywany był prototyp. Samolot rozwijano w kilku wariantach – jako konstrukcję transatlantycką, wyścigową, a nawet dwusilnikową.

W 1935 r. S.M. 79 w przelocie z różnej wagi ładunkiem po zamkniętym obwodzie na długościach 1000 i 2000 km pobił rekordy świata prędkości. Takim potencjałem zainteresował włoskich wojskowych, którzy chcieli modernizować siły powietrzne. Jeszcze w tym samym roku powstał prototyp S.M. 79 jako bombowca. Rok później wszedł on do produkcji seryjnej i służby. Oficjalnie otrzymał nazwę Sparviero (Krogulec), lecz bardziej przyjęła się potoczna nazwa Gobbo (Garbus), wywodząca się od charakterystycznego kształtu kadłuba powodowanego osłoną stanowiska górnego strzelca.

W 1937 r. samolot S.M. 79 ponownie udowodnił swoje nieprzeciętne możliwości, zajmując trzy razy pierwsze miejsca w wyścigu na trasie Istres–Damaszek–Paryż.

Dla armii włoskiej z racji położenia geograficznego ważnym teatrem działań był akwen Morza Śródziemnego. Z tego powodu od 1937 r. zaczęto przygotowywać S.M. 79 do roli samolotów torpedowych. Ze względu na spadek parametrów aerodynamicznych wywołany podwieszeniem pod kadłubem torpedy potrzebna była zmiana silników na mocniejsze Piaggio P.IX RC.40 o mocy 1000 KM każdy. W ten sposób powstała wersja S.M. 79-II, która trafiła do służby w 1940 r.

Savoia-Marchetti S.M. 79 był średnim samolotem bombowo-torpedowym o mieszanej konstrukcji w układzie dolnopłata. Rozpiętość skrzydeł wynosiła 21,2 m, długość 16,2 m, a masa własna 7,7 t. Załogę stanowiło, w zależności od wersji, czterech lub pięciu ludzi. Na zespół napędowy składały się trzy silniki gwiazdowe, po jednym na każde skrzydło i dziób. Samolot zabierał ładunek bomb o maksymalnej wadze 1250 kg lub jedną torpedę kal. 450 mm. Do obrony bezpośredniej przeznaczono 3 nkm-y kal. 12,7 mm oraz dodatkowo km kal. 7,7 mm. Prędkość maksymalna wynosiła 475 km/h, a zasięg 2000 km.

Chrzest bojowy samoloty S.M. 79 przeszły w czasie hiszpańskiej wojny domowej, służąc w ramach tzw. korpusu ochotniczego CTV (Corpo Truppe Volontarie). Następnie wykorzystywane były w operacji zajęcia Albanii, później zaś użytkowane przez lotnictwo włoskie w toku całej II wojny światowej.

Garbusy służyły jako samoloty rozpoznawcze, bliskiego wsparcia, bombowe i torpedowe. W tej ostatniej roli sprawdziły się wyjątkowo dobrze i były ogromnym zagrożeniem dla alianckiej żeglugi na Morzu Śródziemnym. Ich łupem padły m.in. brytyjskie niszczyciele HMS Fearless, Bedouin, Foresight czy australijski HMAS Nestor. Poważnych uszkodzeń po atakach Garbusów doznały pancernik HMS Malaya oraz brytyjskie lotniskowce Indimitable, Victorious i Argus.

S.M. 79 był jednym z lepszych samolotów w swojej klasie. Silne uzbrojenie własne oraz dobra szybkość i zwrotność sprawiały, że niełatwo było zestrzelić Krogulca. Do tego maszyna była dość łatwa w pilotażu. Została zakupiona przez lotnictwo jugosłowiańskie, a Rumuni stworzyli na jej licencji własną wersję, którą użytkowali na froncie wschodnim do końca wojny. Kilka sztuk trafiło również do Brazylii i Iraku. Łącznie Włosi wyprodukowali ok. 1300 egz. wszystkich wersji Gobbo.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 236a0e0c90

W CZASIE ROZMÓW KAPITULACYJNYCH POWSTANIA WARSZAWSKIEGO PROTOKOLANT ROKOWAŃ, PORUCZNIK WEHRMACHTU, GERHARD VON JORDAN ZANOTOWAŁ: „W TYM MOMENCIE, GDY PROTOKÓŁ BYŁ GOTÓW, MIELIŚMY WRAŻENIE, ŻE TO NIE POLACY KAPITULUJĄ, LECZ MY – PRZED STARĄ HRABINĄ"



HRABINA MARIA TARNOWSKA



JOANNA PUCHALSKA

Wychowała się w patriotycznym domu rodzinnym w Milanowie, majątku należącym do jej rodziców, księcia Włodzimierza Światopełk-Czetwertyńskiego i Marii z hrabiów Uruskich. Męża poznała na balu. Hrabia Adam Tarnowski z Dzikowa w Galicji był austriackim dyplomatą. Po ślubie pojechała z nim na placówkę do Paryża i tu weszła w prawdziwie wielki świat. Następne było Drezno Fryderyka Augusta III i prezentacja na dworze w Wiedniu – zapamiętała, że Franciszek Józef utykał, a orkiestra grała „Nad pięknym modrym Dunajem" pod batutą samego Johanna Straussa. Kolejne placówki państwa Tarnowskich to zachwycająca bogactwem zbiorów dawnej sztuki flamandzkiej Bruksela Leopolda II, Madryt Alfonsa XIII i Londyn Edwarda VII, za którego panowania słońce nie zachodziło nad Imperium Brytyjskim.

W 1912 r. Adam Tarnowski objął stanowisko w ambasadzie w Sofii. Tam, podczas I wojny bałkańskiej, jego żona przeszła szkolenie pielęgniarskie i zaczęła pracować w szpitalach Czerwonego Krzyża, do których trafiali ranni obu walczących stron. Tak się zaczął nowy rozdział w jej życiu.

Wojenny szlak

Gdy wybuchła I wojna światowa, hrabina Tarnowska zgłosiła się w wiedeńskim oddziale Czerwonego Krzyża jako sanitariuszka. Stamtąd trafiła do szpitala w Krakowie. Gdy Polska odzyskała niepodległość, przyszło się zmierzyć z burzą od wschodu. Jesienią 1918 r. zorganizowała szpital polowy PCK, finansowany z darowizn. W marcu 1919 r. jej zespół liczący trzech lekarzy, sześć pielęgniarek i ok. 20 sanitariuszy wyruszył na wojnę polsko-bolszewicką. W maju 1920 r. Polacy dotarli pod Kijów, potem nastąpił odwrót pod naporem wojsk Tuchaczewskiego i Budionnego, aż wszystko rozstrzygnęło się pod Warszawą. Tu hrabina Tarnowska organizowała polowe szpitale z konnym personelem, który mógł towarzyszyć kawalerzystom. Ponownie wyjechała na front i przy przekraczaniu Bugu z jednym tylko pielęgniarzem ewakuowała rannych pod ostrzałem. Po zakończeniu działań wojennych odznaczono ją za tę akcję Krzyżem Walecznych.

Po wojnie została mianowana Naczelną Siostrą PCK, a w 1923 r. otrzymała, jako pierwsza Polka, medal Florence Nightingale, najwyższe odznaczenie europejskie za zasługi w opiece pielęgniarskiej. Od 1927 r. należała do Zarządu Głównego PCK, który sześć lat później reprezentowała na międzynarodowej konferencji Towarzystw Czerwonego Krzyża w Pra-

eprasa.pl 236a0e0c90

dze. Z jej inicjatywy powołano Korpus Sióstr PCK i Szkołę Pielęgniarstwa.

Pro domo sua

Gdy imperium Habsburgów upadło, Adam Tarnowski stracił dotychczasową posadę w dyplomacji i wziął się do gospodarowania w majątku Świerże. Jego żona zaczęła leczyć, oczywiście za darmo, miejscowych chłopów i przekonała się wtedy, że w praktyce opieka lekarska funkcjonowała tylko w miastach, a wieś była mocno pod tym względem zaniedbana. Opracowała zatem projekt tworzenia wiejskich ośrodków zdrowia pod patronatem PCK. Budynki i sprzęt medyczny dawali właściciele majątków, lekarzy opłacały miejscowe urzędy, Czerwony Krzyż dostarczał personel pielęgniarski. Działalność obejmowała kursy pierwszej pomocy i zasad higieny, oddziały dziecięcy i przeciwgruźliczy. Pierwszy ośrodek założyła w Świerżach, a że pomysł chwycił, w międzywojniu powstało ok. 300 takich placówek. Hrabina Tarnowska wizytowała je z ramienia PCK, pisała artykuły, wygłaszała radiowe pogadanki. Planowała poszerzenie działalności o opiekę dentystyczną i łaźnie.

Wtedy przyszła wojna

W październiku 1939 r. Maria została wybrana na wiceprezesa PCK. Z racji swojej pozycji społecznej i doskonałej znajomości niemieckiego to ona prowadziła niełatwe rozmowy z władzami niemieckimi. Nieraz od tych rozmów zależało dalsze być albo nie być PCK.

Pomoc osobom potrzebującym finansowano ze zbiórek pieniędzy i z dochodów z imprez charytatywnych, a także dzięki pomocy zagranicznej, m.in. rządu londyńskiego, co groziło wielkim niebezpieczeństwem, gdyby Niemcy się zorientowali. Z czasem zostali objęci opieką także więźniowie Pawiaka i więzień w innych miastach oraz mieszkańcy gett. Okupanci patrzyli na ręce i najdrobniejsza wpadka groziła rozwiązaniem organizacji, toteż Czerwony Krzyż zasadniczo nie uczestniczył w konspiracji. Ale udzielał schronienia osobom poszukiwanym czy pomagał w zdobyciu fałszywych dokumentów. Na te ostatnie w domu Tarnowskich była przygotowana skrytka w wydrążonym polanie, które służąca w razie wizyty nieproszonych gości wkładała do kosza z opałem w kuchni.

W połowie 1942 r. Maria Tarnowska została aresztowana pod zarzutem nielegalnego przyjęcia pieniędzy dla PCK z zagranicy. Na Pawiaku spędziła kilka miesięcy, a że gestapo niczego nie mogło jej udowodnić, w lutym 1943 r. została zwolniona. Uznała wtedy, że skoro podejrzenia zostały rozwiane, może wstąpić do AK. Miała szkolić sanitariuszki dla oddziałów partyzanckich. Zaprzysiężona została w marcu 1943 r. w stopniu porucznika. Dosłużyła się rangi majora.

Powstanie i kapitulacja

Jako osoba ważna w hierarchii podziemnej znała wcześniej datę i godzinę rozpoczęcia powstania warszawskiego. Została komendantką sanitariuszek w rejonie, organizowała punkty pierwszej pomocy i szpitale polowe. Gdy PCK zgłosił dowództwu propozycję, aby wynegocjować z Niemcami wyjście cywilów z miasta, to ona wraz ze współpracownikami prowadziła rozmowy z gen. Güntherem Rohrem.

Hrabina Tarnowska jako przedstawicielka PCK należała do delegacji biorącej udział w rokowaniach kapitulacyjnych w Ożarowie. Musiała budzić szacunek, skoro niemiecki protokolant napisał przytoczone wyżej słowa. Gdy potem oddziały AK wychodziły ze stolicy, stała, salutując obok barykady przy ul. Śniadeckich. „Żegnałam oddziały Armii Krajowej, dumę polskiego podziemia, z trudem zachowując kamienną twarz". Niebawem sama opuściła miasto, na prośbę dowództwa przemycając zaszyte w specjalnej kamizelce pół miliona dolarów należących do Podziemia.

Wdzięczność władzy ludowej

Przebywała w Krakowie i Ojcowie, gdy weszła Armia Czerwona i nastała nowa władza. Ludowa milicja przyszła po nią do domu. Została osadzona w Olkuszu. Oskarżono ją o kolaborację z Niemcami i z hitlerowskim generałem. Odpowiedziała, że PCK, zgodnie ze statutem, interweniował w obronie ludności cywilnej, a ona była jego przedstawicielką. Zasugerowała śledczemu, że delegacja Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, która miała przybyć niebawem do Warszawy i w której będą jej znajomi, zdziwi się, że ją uwięziono. Na razie pomogło i została zwolniona.

Wrócili z mężem do Warszawy. Tutaj z trudem dostali przydział na jeden pokój we własnej kamienicy. A komunistyczne władze niebawem zajęły się Czerwonym Krzyżem, któremu zarzucano współpracę z AK, wrogą wobec bratniej armii radzieckiej. Zaczęły się aresztowania wśród pracowników, kolejni członkowie zarządu byli zwalniani, na ich miejsce przyjmowano swoich. W sierpniu 1946 r. jako jedną z ostatnich z dawnej obsady zwolniono hrabinę Tarnowską.

Starsza pani, opiekująca się schorowanym mężem, nie poddała się. Wraz z przyjaciółką Zofią Potocką zebrały skromny kapitalik i otworzyły kawiarenkę przy pl. Trzech Krzyży u wylotu Wspólnej. Była to zwykła drewniana buda, w której serwowano kawę, herbatę, ciastka i lody. Lokal szybko zyskał stałą klientelę, ale nie trwało to długo, bo po pół roku władze miasta nakazały kawiarnię zamknąć.

Emigracja i powrót

Adam Tarnowski chciał przed śmiercią zobaczyć ich jedynego syna, który wyjechał z Polski w 1939 r. Cudem udało się zdobyć paszporty oraz wizy i pod koniec 1946 r. rodzice spotkali się z Andrzejem Tarnowskim i jego rodziną w Lozannie. Tu Adam Tarnowski zachorował i wkrótce zmarł. Jego żona dostała kanałami dyplomatycznymi wiadomość, że jeśli wróci do Polski, zostanie aresztowana pod zarzutem kolaboracji z Niemcami. Zdecydowała się na wyjazd do syna do Brazylii i tu w latach 50. napisała po angielsku wspomnienia. Aby nie spowodować zagrożenia dla nikogo w Polsce w dobie represji stalinowskich, stosowała zasady konspiracji – prawie żadnego nazwiska ani nazwy miejscowości. Z wielką skromnością pisała o sobie, tak że o jej ogromnych zasługach znacznie więcej można się dowiedzieć z innych relacji.

W 1958 r. zdecydowała się wrócić do Warszawy. PCK uzyskał dla niej przydział na jednopokojowe mieszkanie przy Poznańskiej. Zmarła w 1965 r., została pochowana na Powązkach w grobowcu dziadków, hrabiów Uruskich. Przetłumaczone na polski „Wspomnienia" wyszły dopiero w 2001 r. Siostrzeniec Andrzej L. Żółtowski, który przygotował je do druku, w Posłowiu napisał, że w swoim życiu najbardziej ceniła dwa fakty: odznaczenie Krzyżem Walecznych i przynależność do Armii Krajowej.

eprasa.pl 236a0e0c90

NIE TAKA DYNIA STRASZNA





KRZYSZTOF ŻARYN

POMARAŃCZOWA KRÓLOWA JESIENNYCH WARZYW MA DŁUGĄ, CHOĆ NIE TYLKO SPOŻYWCZĄ, HISTORIĘ

Jednym z aspektów zdrowej diety jest włączanie w nasze posiłki darów natury, które w danym momencie dojrzewają i są najbardziej wartościowe. Ich wartość odżywcza w sezonie jest dużo większa, a smak zdecydowanie bardziej wyrazisty. Przecież każdy, kto zna wyborny smak pomidora latem, odczuwa jego brak w miesiącach zimowych. Niewątpliwie najwięcej produktów swoje pięć minut ma wiosną i latem. Jesień też ma jednak asy w rękawie. Z owoców są to przede wszystkim jabłka i winogrona. Przełom września i października jest idealnym momentem na zbiór w przypadku tych dwóch grup produktów. Jeżeli jednak przyjrzymy się warzywom, to tam lider może być tylko jeden. Jest to dynia i są to inne warzywa dyniowate, typu patisony czy cukinie, które mają swój krótki okres chwały właśnie w okresie jesiennym. Dynia dodatkowo urosła do rangi symbolu pewnego wydarzenia, które powoli wdziera się do polskich domów. Tym świętem jest popularne w Stanach Zjednoczonych Halloween. Jako niezgodne z wartościami chrześcijańskimi, jest ono dość mocno krytykowane, zwłaszcza że poprzedza jedno z ważniejszych świąt katolickich – Wszystkich Świętych. Mało kto jednak wie, że legenda, która opisuje genezę wpisania dyni w symbol Halloween, jest bardzo mocno związana z naszą religią.

Od Meksyku przez starożytny Rzym po nowożytną Europę

Pierwsze ślady dyni pojawiły się nawet siedem tysięcy lat temu. Warzywa dyniowe pochodzą z Ameryki Środkowej, a pomarańczowa królowa tej grupy po raz pierwszy odkryta została w Meksyku. Cztery tysiące lat później przewędrowała kawałek dalej, a mianowicie do Peru. Późniejsze jej losy są nieco mniej znane, niemniej wiadomo, że dotarła ona również do krajów Bliskiego Wschodu i starożytnej Europy. Wódz Rzymu – Lukullus – którego życie datuje się na lata 117–56 przed narodzeniem Chrystusa, lubował się w tym pomarańczowym warzywie. Jednym z dań, które gościło na jego stołach, była dynia smażona w miodzie. Ten wyrafinowany przysmak miał zaspokajać najbardziej wymagające podniebienia łasuchów rozkoszujących się w słodkich deserach. Bardziej praktyczną rolę dyni przypisali wcześniej starożytni Grecy. Połączyli oni naszą bohaterkę z winem, co miało skutkować uregulowaniem problemów z wypróżnianiem i działać przeciw zaparciom. Jednak wraz z upadkiem cywilizacji starożytnych przeminęła również popularność dyni na europejskich stołach.

Jej renesans przypada na epokę historyczną o dokładnie tej samej nazwie. Uważa się, że to Krzysztof Kolumb z jednej ze swoich wypraw przywiózł to pomarańczowe warzywo. Za rozpowszechnienie na terenach europejskich miast odpowiedzialni byli z kolei Sefardyjczycy – ludność żydowska, która zamieszkiwała tereny Półwyspu Iberyjskiego. Wygnani stamtąd w latach 90. XV w. przemieszczali się po terenie Europy i Bliskiego

eprasa.pl 236a0e0c90

Wschodu. Wraz z nimi dynia, która bardzo przypadła im do gustu i stanowiła ważny element ich menu.



Bania na potencję

Początkowa reakcja na naszym kontynencie była dość wstrzemięźliwa. Królową warzyw dyniowych traktowano z dystansem, podobnie jak innych przybyszów z dalekich kontynentów. Jednak tak samo jak kawa czy herbata, również dynia szybko zyskała renomę i przekonała do siebie przedstawicieli większych dworów. Szacuje się, że trwało to prawie sto lat. W tym czasie także w Polsce odkryto magiczne moce tej pomarańczowej rośliny, którą nazywano banią. A przynajmniej tak twierdzono. Jedną z podstawowych funkcji, jakie przypisywano temu produktowi, był jego pozytywny wpływ na potencję. Dokładnie to nasiona dyni miały powodować zwiększone możliwości w sypialni dla wszystkich panów. Dlatego kobiety były zwolenniczkami dodawania nasion dyni do wielu potraw. Ponoć na niektórych ziemiach Rzeczypospolitej pan młody przed nocą poślubną przywdziewał maskę zlepioną ze skorupek nasion tego warzywa, a do tego podgryzał je, by móc podołać obowiązkom nocy poślubnej. Nie do końca wiadomo, czy takie przekonanie wynikało bardziej z obserwacji czy z legendy, która przypłynęła wraz z dynią z dalekich krajów...

Gwiazda Halloween

Dziś wielu z nas dynia kojarzy się z obchodzonym na Zachodzie świętem, którego popularność wynika z medialnej otoczki, jaką cieszy się w Stanach Zjednoczonych. Duże pomarańczowe warzywa z wydrążonymi wzorami mającymi nadawać im demoniczny kształt są jednym z bardziej znanych symboli tego zjawiska. Pytanie tylko, dlaczego to właśnie dynia ma być ikoną strachu i przerażenia, które jest przecież głównym przesłaniem tej zabawy? W dobie globalizacji Halloween bardzo szybko przenika do naszej kultury. Co ciekawe, nie tyle przychodzi ono do nas z krajów kontynentu amerykańskiego, ile w pewnym sensie wraca. Dokładna geneza Halloween nie jest w pełni znana. Jedna z teorii mówi, że źródła tego wydarzenia należy upatrywać w zwyczajach celtyckich. Już od X w. bowiem w północnej Europie: Walii, Irlandii oraz Brytanii, na koniec lata organizowano podobne ceremonie. Było to święto z jednej strony radosne, w czasie którego radowano się z zakończonych zbiorów i powrotu do domów ludzi strudzonych po całym sezonie ciężkiej pracy, z drugiej zaś ludzie uprzytamniali sobie coraz bliższą perspektywę zimy i przednówku, gdy głód i choroby zbierały swoje okrutne i obfite żniwo. W ludziach zrodziło się przekonanie, że w tym dniu zaciera się granica między życiem i śmiercią. W celu odstraszania złych duchów przebierano się w różne stroje i wzbudzające grozę maski. Zwyczaj ten zaginął wraz z rozpowszechnianiem się chrześcijaństwa na tamtejszych terenach. Pozostawał on jedynie w pamięci i wspominany był jako starodawna tradycja. Odżył dopiero w XX w. w Stanach Zjednoczonych za sprawą przybyszów z Irlandii. Pierwsza parada z okazji Halloween odbyła się 31 października 1920 r. w Minnesocie.

JEDNĄ Z PODSTAWOWYCH FUNKCJI, JAKIE PRZYPISYWANO DYNI W DAWNEJ POLSCE, BYŁ JEJ POZYTYWNY WPŁYW NA POTENCJĘ

Sprytny Jack

Tylko gdzie w tym wszystkim miejsce dla dyni? Przypisanie temu warzywu roli symbolu święta przypadającego na ostatni dzień października wiąże się z pewną dawną legendą irlandzką. Opowiada ona o farmerze o imieniu Jack, znanym z cwaniactwa i chęci łatwego wzbogacenia się. Gdy pewnego dnia jego towarzysze zorientowali się w kolejnym kłamstwie, Jack zmuszony był do ucieczki. I wtedy napotkał na swej drodze diabła. Czort, nie zastanawiając się, chciał porwać duszę Jacka do piekła. On zaś zaproponował mu pewien układ. Oznajmił, że goniący go ludzie są zwolennikami Boga i można by było sobie z nich zażartować. Umówili się, że diabeł zamieni się w monetę, a Jack odda pieniądze wzburzonym sąsiadom. Wtedy moneta zniknie, a oni będą się głowić, któż ukradł majątek tym razem. Diabeł zgodził się na ten plan i zmienił się w pieniądz. Sprytny farmer nie miał jednak zamiaru regulować długu. Wrzucił diabła do sakiewki, na której widniał symbol srebrnego krzyża, co uniemożliwiło czortowi ucieczkę. Jack zgodził się wypuścić diabła dopiero w momencie, gdy ten przyrzeknie, że zostawi w spokoju jego duszę. I tak zawarli ponowną umowę, według której farmer był zabezpieczony przed porwaniem w czeluście piekielne. Gdy Irlandczyk w końcu po wielu latach zmarł, jego dusza nie miała się gdzie podziać. Nie miał wstępu do nieba, ale i piekło nie mogło go pochłonąć. Legenda głosi, że Jack błądzi, szukając swego miejsca ze światełkiem wprowadzonym w dynię, aby nie poparzyć swych dłoni. Wycinanie strasznych wzorów i wprowadzenie w nie świeczki ma nawiązywać właśnie do tej legendy.

* * *

Dziś patrzmy na dynię bez lęku, bo jej zalety kulinarne i zdrowotne są bardzo duże. Po pierwsze, niska kaloryczność miąższu, ze względu na dużą zawartość wody, dzięki czemu wprowadzanie jej do jadłospisu na pewno będzie korzystnie wpływać na proces odchudzania. Poza tym warzywo to zawiera wiele składników odżywczych, które mają pozytywny wpływ na nasze zdrowie. Przede wszystkim to betakaroten, który przekształca się w witaminę A w naszym organizmie. Ma ona korzystny wpływ m.in. na nasz wzrok. Dynia zawiera również wapń, fosfor oraz magnez. Dodatkowym atutem dyni są pestki, które cieszą się coraz większą popularnością. Zawierają one jednonienasycone kwasy tłuszczowe, wspomagające regulację poziomu cholesterolu we krwi. Poza tym są bardzo dobrym źródłem cynku, co ważne szczególnie jeśli chodzi o organizm mężczyzn. W krajach, gdzie spożycie tych pestek jest największe (kraje bałkańskie), występuje niższy odsetek problemów z prostatą nawet o 75 proc. Z tych i wielu innych powodów dynia jest bardzo dobrym pomysłem na komponowanie jesiennych potraw.

eprasa.pl 236a0e0c90

„Źródła niepodległości”



MAREK JUREK

Wojciech Wasiutyński należał do pokolenia wyjątkowego. Adolf Bocheński, Czesław Miłosz, Stefan Kisielewski, Jerzy Andrzejewski, Teodor Parnicki – to był prawdziwy plon niepodległej Polski.

Pierwsze od stu lat (i na długo jedyne) pokolenie wychowane w wolności. Ich starsi bracia musieli o nią walczyć w I wojnie światowej – młodsi wchodzili w dojrzałość w czasie II, w piekle okupacji. Generacja urodzona ok. 1910 r. wobec następnych pokoleń miała świadczyć o niespełnionym potencjale II Rzeczypospolitej. Nieprzypadkowo Wojciech Turek swą biografię Wojciecha Wasiutyńskiego zatytułował „»Arka Przymierza« – między dawnymi i młodszymi laty”.

Pozornie Wasiutyński do tej roli nadawał się słabo, z temperamentu był małomównym introwertykiem. Jednak całe życie pozostał młody w swoim pisarstwie. Zaczynał w latach 30. XX w. jako trybun młodej inteligencji, kilkadziesiąt lat później swe książki znowu adresował do młodego pokolenia patriotycznej opozycji i potem do młodej prawicy w wolnej już Polsce. Najważniejsze stały się „Źródła niepodległości”, które wywarły wielki wpływ na poglądy i politykę Ruchu Młodej Polski. Samą książkę napisał Wasiutyński jeszcze przed Czerwcem ’76, przed powstaniem w PRL jawnej opozycji demokratycznej. Zbierał w niej doświadczenia Milenium ’66, Marca ’68 i Grudnia ’70 jednocześnie. Jej główną tezą była koniunktura niepodległościowa, jaka otwiera się przed Polską. Jej zasadniczą przesłankę Wasiutyński widział w zachowaniu tożsamości narodowej i woli wolności, co najmocniej poświadczyły zwycięskie zmagania kardynała Wyszyńskiego z reżimem Gomułki.

Opisywał otwierającą się koniunkturę i apelował o podjęcie polskiej polityki. Polityki niestawiającej ani na jednorazowy wybuch, ani nieczekującej na katastrofę, z której samoczynnie wyłoni się nowy świat. W tym sensie „Źródła niepodległości” były polemiką z tradycją piłsudczykowską i jej wątkami w polityce paryskiej „Kultury”. Ale młodą prawicę przestrzegał przed błędem XIX-wiecznych ugodowców, którzy byli z reguły patriotami, kierowali się odpowiedzialnością i słusznie chcieli prowadzić politykę. Mylili się przede wszystkim w jednym: „przyjmowali istniejący układ międzynarodowy za niewzruszony”.

Wasiutyński uważał politykę amerykańską za dźwignię geopolityczną, która może podważyć dominację sowiecką nad Polską. To był jeden z głównych motywów jego wieloletniej polemiki z Jędrzejem Giertychem (dziadkiem wicepremiera Romana Giertycha). Giertych postulował bezterminowe pogodzenie się z dominacją sowiecką, cierpliwe zabiegi o uznanie katolickiej tożsamości Polski przez sowieckiego hegemona i kolaboracyjne władze PRL, hamowanie dążeń niepodległościowych, które w jego przekonaniu miały nieuchronnie prowadzić do katastrofy, najpewniej w zderzeniu z Rosją, ale również w wypadku powodzenia – bo to Sowiety miały być jedynym gwarantem zachodnich granic Polski. Wasiutyńskiemu Giertych zarzucał



Wojciech Wasiutyński uważał politykę USA za dźwignię geopolityczną, która może podważyć dominację sowiecką nad Polską

FOT. EAST NEWS/RFE

wspieranie opozycji i – „co gorsza” – pracę publicystyczną w Radiu Wolna Europa.

Wasiutyński odpowiadał mu: „Nie dlatego jestem zwolennikiem szukania oparcia dla polityki polskiej w Ameryce, że pracuję w Wolnej Europie, ale dlatego pracuję w Wolnej Europie, że jestem zwolennikiem takiego sojuszu [...] nigdzie nie ma możliwości być równie pożytecznym swemu społeczeństwu jak w jedynym środku łączności, dochodzącym do kraju codziennie do setek tysięcy ludzi. Gdybym przestał pracować w Wolnej Europie, nie wpłynęłoby to na moją ocenę sytuacji światowej ani polityki amerykańskiej”. W RWE Wasiutyński pracował na podstawie porozumienia Amerykanów z międzypartyjną Radą Polityczną w Londynie, delegowany tam, wraz z Wiktorem Trościanką i Tadeuszem Piszczkowskim, przez władze Stronnictwa Narodowego.

Historia popłynęła w kierunku, który wskazały „Źródła niepodległości”. Powstała opozycja, która przerodziła się w masowy ruch Solidarności. Pielgrzymki Jana Pawła II zwielokrotniły efekt milenium. Polska przygotowała swoją niepodległość, którą odzyskała, gdy polityka prezydenta Reagana podjęła decydującą konfrontację z ZSSR.

eprasa.pl 236a0e0c90

BONA

OPINIE O DRUGIEJ ŻONIE ZYGMUNTA STAREGO, BONIE SFORZY, SĄ BARDZO RÓŻNE. Z PEWNOŚCIĄ JEDNAK BYŁA ONA OSOBĄ NIEPRZECIĘTNĄ



MAREK BARAŃSKI

Urodziła się w 1494 r., jej rodzicami byli Gian Galeazzo Sforza i Izabela Aragońska. Ojciec Bony zmarł w roku jej urodzenia, po jego śmierci księciem Mediolanu został Ludovico il Moro, stryjeczny dziadek małej księżniczki. Zapewnił on Izabeli i jej dzieciom luksusowe warunki życia na zamku mediolańskim, ograniczając zarazem kontakty ze światem.

W 1499 r. wkroczył do Włoch król Francji Ludwik XII. Pokonał on wojska mediolańskie i przejął panowanie nad księstwem. Zabrał też brata Bony do Francji. Klęska księcia Mediolanu okazała się korzystna dla Izabeli Aragońskiej. Przybyła ona wraz z córkami do Neapolu, gdzie została przywitana przez swego stryja, króla Neapolu Fryderyka IV. W 1502 r. odzyskała dziedziczne księstwa Rossano i Bari, gdzie osiadła. Młoda Bona wychowywała się więc w Apulii, tam została starannie wykształcona. Poznała kulturę starożytną, historię, prawo, teologię.

W 1512 r. zginął na polowaniu syn Izabeli Aragońskiej, Franciszek. Ponieważ dwie córki zmarły w dzieciństwie, pozostała jej tylko Bona. Liczyła już ona sobie 18 lat, matka zaczęła więc szukać dla niej męża. Pierwszym, na którego zwróciła uwagę, był Maksymilian Sforza, syn Ludovica il Moro. Małżeństwo to pozwoliłoby Bonie wrócić na tron mediolański. Nie było przeszkodą bliskie pokrewieństwo młodych, bo Rzym gotów był udzielić dyspensy. Jednak do tego mariażu nie doszło. Również nie doszło do popieranego przez papieża małżeństwa z Filipem, bratem księcia Sabaudii. W końcu poprosił o rękę Bony król Polski i Wielki Książę Litewski Zygmunt. Oświadczyny zostały przyjęte i w kwietniu 1518 r. odbyły się w Krakowie ślub oraz koronacja nowej królowej.



Bardzo prędko Bona uzyskała wpływ na męża. Jej stronnikami w Polsce byli m.in. prymas Piotr Gamrat i marszałek wielki koronny Piotr Kmita. Królowa uzyskała też od papieża Leona X prawo obsadzania 15 ważnych i bogatych beneficjów kościelnych. To pozwoliło jej budować własne stronnictwo. Ponieważ Bona wiedziała, że potęga monarchów zależy od ich zasobów majątkowych, za cel postawiła sobie odbudowę domeny monarszej. Powiększała też swój majątek. Uzyskała m.in. nadzór nad komorami celnymi Wielkiego Księstwa Litewskiego, co zapewniało jej znaczne dochody. Pozostawiła po sobie dobrze zagospodarowane majątki królewskie, wspierała rozwój kultury polskiej. W polityce zagranicznej była przeciwniczką Habsburgów i zwolenniczką sojuszu z Francją. Na Węgrzech popierała męża swej córki, Jana Zapolyę, starała się doprowadzić do inkorporacji Prus Książęcych. Gotowa też była oddać swe dziedziczne księstwa Bari i Rossano w zamian za Śląsk.

Bona dała Zygmuntowi pięcioro dzieci. W 1519 r. urodziła się Izabela, późniejsza królowa węgierska, następny był syn Zygmunt August, a potem przyszły na świat trzy córki: Zofia, w przyszłości żona Henryka II księcia Brunszwiku, Anna, która wyszła za Stefana Batorego, i Katarzyna, żona Jana III Wazy. W 1527 r., już spodziewając się następnego dziecka, królowa spadła z konia i poroniła. Syn nie przeżył tego wypadku, a Bona straciła możność rodzenia dzieci.

Syn Zygmunta i Bony, choć Polska była krajem, w którym każdy władca musiał być zatwierdzony przez elekcję, był niekwestionowanym następcą tronu. Wydaje się, że Bona niezupełnie rozumiała zasady polskiego ustroju i zaczęła dążyć do koronacji syna jeszcze za życia jego ojca. Choć działanie królowej wzbudziło opór w kraju, Bona uzyskała to, co chciała, i w 1530 r. odbyła się koronacja Zygmunta Augusta. Uchwalono jednak ustawę, która nakazywała, aby następna koronacja mogła się odbyć dopiero po śmierci Zygmunta, za zgodą szlachty.

Polityka Bony budziła coraz większy opór, zarzucano jej zachłanność i nepotyzm, a także zapędy despotyczne. W dużej mierze przeciw niej był skierowany rokosz szlachty w 1537 r. Królowa skonfliktowała się też ze swym synem, gdy w 1547 r. wbrew wszystkim ożenił się z Barbarą Radziwiłłówną. W końcu po śmierci męża w 1556 r. wyjechała z Polski do swego księstwa w Bari. Tam, z inspiracji Habsburgów, którzy nie chcieli oddać pożyczonych od niej pieniędzy, została w 1557 r. otruta.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 236a0e0c90

NAC

POCISKI WIATREM MIOTANE



Strzelanie z „Łucznika" kl. 87 w wesołym miasteczku przy ul. Wery Kostrzewy w Warszawie, 1971 r. Archiwum Grażyny Rutowskiej

Wiatrówka, czyli broń wykorzystująca ciśnienie sprężonego powietrza lub innego gazu do miotania pocisku, znana jest od XVI w. Pierwsze konstrukcje wykorzystywały nakręcane kluczem sprężyny poruszające tłok, który sprężał powietrze. Później zastosowano kulisty zbiornik, tzw. recipient, napełniany specjalną pompką, który wystarczał do oddania kilkudziesięciu strzałów o stopniowo malejącej energii.

W porównaniu z ówczesną bronią palną wiatrówka miała miażdżącą przewagę. Nie generowała huku ani dymu powstających przy spalaniu czarnego prochu, miała też większą celność dzięki brakowi odrzutu, przy zachowaniu porównywalnej zdolności rażenia. Masowe zastosowanie wiatrówek w wojsku uniemożliwiła jednak ich skomplikowana i kosztowna produkcja. Jedyną wiatrówką wprowadzoną do uzbrojenia była konstrukcja tyrolskiego zegarmistrza Bartolomea Gilardoniego, używana w armii austriackiej w latach 1780–1815. Napoleon I tak obawiał się tej broni, że każdego żołnierza schwytanego z nią kazał rozstrzeliwać na miejscu.

Wspomniany system ze zbiornikiem sprężonego powietrza, wystarczającym na wiele strzałów, stosowany jest do dziś pod nazwą PCP w droższych wiatrówkach sportowych. Jego odmianą jest system PCA, w którym powietrze trzeba pompować do zbiornika przed każdym strzałem. Najpopularniejsze obecnie rozwiązanie, w którym spiralna sprężyna porusza tłok sprężający powietrze, powstało dopiero pod koniec XIX w. Obniżyło to znacznie cenę broni, uprościło produkcję i spopularyzowało wiatrówki jako narzędzie do strzelania rekreacyjnego i polowania na drobną zwierzynę.

W Polsce w okresie międzywojennym stosowane były głównie produkty importowane, choć niektóre firmy wytwarzały wiatrówki na niewielką skalę. Najbardziej znanym producentem była warszawska firma braci Pasławskich – Piotra, Romualda i Leona. Firma wygrała przetarg na dostawy dla wojska, którego jednak nie zrealizowała z powodu braku mocy produkcyjnych. W dwudziestoleciu międzywojennym opracowano też oryginalny polski patent treningowej wkładki pneumatycznej, przeznaczonej do montażu w karabinach maszynowych. Urządzenie to, zasilane sprężonym powietrzem z butli, umożliwiało prowadzenie ciągłego ognia kulistym śrutem miedzianym na dystansie do 150 m. Dawało to ogromne oszczędności ostrej amunicji, przy jednoczesnym zachowaniu realizmu szkolenia. Wkładkę treningową stosowano z powodzeniem w piechocie i kawalerii, a także w lotnictwie.

Masową produkcję wiatrówek podjęto jednak w Polsce dopiero po wojnie. Producentem były Zakłady Metalowe im. gen. Waltera w Radomiu, które wytwarzały zarówno maszyny do szycia, jak i broń wojskową oraz sportową. Wiatrówki stosowano do wstępnego treningu strzeleckiego m.in. w kołach Ligi Obrony Kraju, na zajęciach z przysposobienia obronnego, a także na strzelnicach w wesołych miasteczkach. Podstawowy model oznaczono, zgodnie z fabrycznym podziałem na klasy wyrobów, jako kl. 87. Wiatrówki z Radomia cechowały się dobrą jakością i zachowywały sprawność mimo wielu lat intensywnej eksploatacji. Surowe, masywne wykonanie zbliżało je do broni bojowej, czyniąc trening bardziej realistycznym. Produkowane modele poddawano modyfikacjom – wypuszczono typ ciężki, kl. 88 i kl. 188, z przeznaczeniem sportowym, oraz lekki, kl. 141, przeznaczony dla młodzieży. Opracowano też pistolet, będący faktycznie kopią niemieckiego Walthera LP-53, w którym umieszczenie tłoka w rękojeści, a nie w korpusie za lufą, miało niwelować odrzut. Pistolet oznaczono kl. 170, w wojsku znany jako wz. 1970. Pomimo inspiracji niemiecką konstrukcją, wręcz na granicy inżynierii odwrotnej, w pistolecie wprowadzono modyfikację w postaci oryginalnej blokady bezpieczeństwa, chronionej patentem.

Zaprojektowano również wiele innych, obiecujących wzorów broni pneumatycznej – niestety albo nie weszły one do produkcji, albo wykonano jedynie ich prototypy. Produkcję krajową uzupełniały wyroby firm z państw obozu socjalistycznego, głównie NRD, Czechosłowacji i ZSRR.

Przez ówczesne władze wiatrówka była traktowana jako broń, na którą niezbędne było zezwolenie milicji, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ten przepis uchylono dopiero w 1999 r., znosząc konieczność posiadania zezwolenia na wiatrówki, ale... jedynie gładkolufowe. Nie obejmowało to zatem większości wiatrówek z doby PRL, które miały lufy gwintowane. Dopiero w 2004 r. wprowadzono obowiązujące do dziś kryterium energii pocisku poniżej 17 J, które zwalnia z obowiązku rejestracji wymaganej przy wiatrówkach powyżej tego limitu. Wiatrówka z groźnej broni, mogącej „obalić władzę ludową", stała się bronią sportową do strzelania rekreacyjnego lub wyczynowego.

Łukasz Karolewski

eprasa.pl 236a0e0c90

PŁASZCZ „KOTWY”



MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

WIELE EMOCJI BUDZĄ HISTORIE POLSKICH KONSPIRATORÓW DZIAŁAJĄCYCH W MUNDURACH WROGA. BRAWUROWE BYŁY RÓWNIEŻ PRZYGODY PLUT. PCHOR. EUGENIUSZA AJEWSKIEGO „KOTWY” PRZEBIERAJĄCEGO SIĘ ZA FOLKSDOJCZA



Eugeniusz Ajewski „Kotwa”

Eugeniusz Ajewski urodził się w 1915 r. Przed wojną był uczniem IV Gimnazjum Miejskiego w Warszawie. Działał w harcerstwie. W kampanii 1939 r. był żołnierzem Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”. Brał udział w walkach o Kadzidło, Mławę, Ostrołękę, Wiznę. Do największych jego osiągnięć należało odzyskanie dwóch utraconych dział, za co otrzymał Krzyż Walecznych. W konspiracji działał od października 1939 r. Pracował jako robotnik budowlany i jednocześnie studiował na Wydziale Architektury tajnej Politechniki Warszawskiej. Uczestniczył w akcjach sabotażowych na kolei.

Wymyślił, jak unikać zatrzymania przez niemieckie patrole. Mając do czynienia z folksdojczami rozpanoszonymi w okupowanej Warszawie, doszedł do wniosku, że trzeba wyglądać jak oni. Najbardziej charakterystyczny w ich wyglądzie był niemiecki płaszcz, „który był długi aż do kostek, z naramiennikami, miał karczek, pas”. Nie mógł takiego nabyć legalnie, konieczne było uszycie. Prawdopodobnie w pierwszej połowie 1940 r. wykonał szkic stanowiący wzór wierzchniego ubrania, po czym zaniósł go do żydowskiego krawca. Specyficzna kooperacja krawca Żyda szyjącego niemieckie ubranie dla polskiego konspiratora została uwieńczona sukcesem. Płaszcz został wykonany z zielonkawego drelichu, zapinanego na guziki. Guziki znajdowały się także przy klapach na przedzie i przy pagonach. Aby nadać swemu wyglądowi wyraz autentyczności, „Kotwa” do kompletu kupił sobie – jak wspominał – jeszcze kapelusik „tyrolski taki, jak folksdojcze nosili”. Jak twierdził, dzięki zastosowanemu kamuflażowi uniknął łapanek i zatrzymań kilkanaście razy. Jako jeden z najdramatyczniejszych incydentów wspominał po wojnie moment przypadkowego znalezienia się w rejonie skrzyżowania Alej Jerozolimskich i Nowego Światu zaraz po jednym z udanych zamachów Gwardii Ludowej na kawiarnię Café Club mającą kategorię lokalu „nur für Deutsche”. Mogło to być 24 października 1942 r., gdyż podczas tej akcji granaty wrzucono przez okno, a „Kotwa” wspominał, że dotykał odłamków szkła tkwiących we framudze podczas rozmowy z niemieckim żołnierzem. Konspirator mieszkał wówczas przy ul. Hortensji 5 (dziś ul. Wojciecha Górskiego), aby się tam dostać, będąc na Nowym Świecie, musiał przejść przez epicentrum zamieszania wywołanego wybuchem. Akcja przeprowadzona została w odwecie za zamordowanie przez Niemców 50 więźniów z Pawiaka. Wrzucona przez okno wiązka granatów spowodowała eksplozję i zranienie kilkunastu przebywających w lokalu policjantów i żołnierzy niemieckich. Na ulicy zapanował chaos, jak wspominał „Kotwa”: „wychodzę na Nowy Świat przez bramę przejściową i jest łapanka, wszyscy uciekają i tych, co uciekają, łapią”. Nie było odwrotu. W płaszczu z „kapelusikiem” na głowie skierował się w stronę grupy Niemców, pozdrawiając ich uniesieniem dłoni. Żeby być bardziej autentycznym, pokusił się nawet o wyrażenie dość niewybrednej uwagi: „Verfluchte Polnische Banditen”. Stojąc w grupie Niemców, dokonywał organoleptycznie oględzin tkwiących w ościeżnicy kawałków rozbitej szyby. Kiedy zamieszanie się skończyło, poszedł w swoją stronę.



Płaszcz towarzyszył mu w walkach powstańczych na Mokotowie, jedynie do naramienników doszył dystynkcje. Był początkowo zastępcą dowódcy 2 Kompanii „Withala” Batalionu „Oaza” Pułku AK „Baszta”, a następnie pełnił obowiązki dowódcy kompanii. Wsławił się 1 sierpnia zdobyciem koszar niemieckich w gmachu SGGW przy ul. Rakowieckiej, za co otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari. Płaszcz miał też w partyzantce w rejonie Grójca, dokąd trafił po ucieczce z konwoju po upadku powstania. „I tam, w lesie okrywałem się [nim] w mrozie, nie mrozie” – wspominał po latach.

Dwa lata po wojnie skończył studia. Pracował w Biurze Odbudowy Stolicy. Był dziennikarzem, sędzią bokserskim, działaczem kombatanckim, autorem książek o powstaniu warszawskim, twórcą wielu pomników upamiętniających walki z sierpnia i września 1944 r., m.in. kilkumetrowego znaku Polski Walczącej na kopcu Powstania Warszawskiego przy ul. Bartyckiej usypanego z gruzów zniszczonego miasta. Zasiadał również w Komitecie Budowy Muzeum Powstania Warszawskiego. Pod koniec września 2004 r. przekazał płaszcz nowo otwartemu muzeum.

Płaszcz „Kotwy” pod koniec września 2004 r. trafił do zbiorów MPW

FOT. ZE ZBIORÓW MPW



Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego



Wypożyczalnia Retro-Pasje, Michał Kępiński. Tu można dostać dosłownie wszystko...



Aktorka Natasza Leśniak podziwia zbiory

Warszawskie Stare Miasto, róg ulic Brzozowej i Celnej. Nasz plan zdjęciowy powoli mija policyjny radiowóz.

Przez okno wychyla się funkcjonariusz i pyta:

– Kręcicie film?

– Nie, robimy zdjęcia na okładkę magazynu historycznego... z kolegami – odpowiadamy.

– Aha.

– Z panów „kolegami" (śmiejemy się).

– Nie, nie! To nie nasi koledzy. Oni są z innej epoki!

I całe szczęście. Nasza rozmowa z funkcjonariuszami policji zakończyła się śmiechem, za to do śmiechu nie było robotnikom, którzy 14 grudnia w 1970 r. w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie zorganizowali strajki z powodu podwyżek cen towarów, jakie bez uprzedzenia wprowadziły komunistyczne władze PRL. Mięso zdrożało wtedy o 18 proc., dżemy o 36 proc., mąki i makarony średnio o 16 proc., ryby o 12 proc. Przewrotnie obniżono za to ceny pralek, lodówek, radioodbiorników i mydła. Fala protestów i manifestacji ogarnęła większą część Wybrzeża, a pacyfikacja robotniczego powstania spowodowała śmierć 45 osób. 1165 osób odniosło rany, prawie 3 tys. zostało aresztowanych.

Choć wydarzenia Grudnia 1970 były masakrą, nie chciałem epatować krwią na okładce, która już wielokrotnie na jedynce „wSieci Historii" towarzyszyła trudnym tematom. Pomyślałem o dwóch zbirach z ZOMO, w których ręce wpadła przypadkowa kobieta, będąca w niewłaściwym czasie i miejscu. Ona kolorowa, niewinna, a teraz przerażona w jak imadle łap szarych i ponurych funkcjonariuszy, prowadzona na komisariat MO. Kobieta, Polska, niepodległość...

Tak ważną i symboliczną rolę należało powierzyć profesjonalnej aktorce, która będzie potrafiła oddać emocje towarzyszące aresztowanej. Natasza Leśniak do tej roli nadawała się idealnie. Z jednej strony ciekawa uroda, z drugiej – doświadczenie aktorskie zdobywane na deskach teatrów całej Polski i przed kamerami (seriale „Leśniczówka", „W rytmie serca"). Natasza tak sugestywnie zagrała swoją rolę, że zaniepokojeni mieszkańcy ul. Brzozowej zadzwonili po policję... Ponury kontekst sesji budowali zdolny aktor i epizodysta Daniel Borowiec oraz Daniel Prokurat – uwaga! – mistrz świata muay thai i bokser, a na co dzień trener personalny Sparta Gym. Charakteryzacją, w tym wąsami Borowca, zajęła się niezastąpiona Joanna Wasilewska. Z kolei doskonałej jakości milicyjne pałki i kostiumy „z innej epoki" wypożyczyła Agencja Retro-Pasje prowadzona przez Małgosię Retkowską i Michała Kępińskiego. Zdjęcia wykonał Wiktor. Andrzej Wiktor.

MICHAŁ KORSUN

FOT. OLA PROKOPCZUK



Koncepcja



Joanna Wasilewska w pracy



Wąsy dla Daniela Borowca



Fotograf Andrzej Wiktor się rozgrzewa



Daniel Prokurat przymierza się do roli



Na planie pod czujnym okiem dyrektora artystycznego Michała Korsuna



Chwila wytchnienia



Spotkanie „kolegów z innej epoki”



KAPUCYŃSKIE KATAKUMBY

Palermo – Włochy, Sycylia, skaliste plaże, żar lejący się z nieba, wino z lodem, owoce morza i oczywiście mafia. Coś jeszcze? Teatro Massimo – klasycystyczno-neorenesansowa opera z wyjątkową akustyką, zabytkowa zabudowa miasta, pałace i okazałe kościoły budowane na przestrzeni lat w różnych stylach architektonicznych.

Z tych wspaniałości najbardziej znany jest wyjątkowo skromny, usytuowany poza dawnymi murami miasta, kościół Matki Boskiej Pokoju. Od 1534 r. zarządza nim zakon kapucynów. Bracia związali ze świątynią więcej niż tylko swoje życie doczesne; tuż przy niej mieści się ich klasztor, a bezpośrednio pod nią – miejsca ich pochówków.

Cmentarz ten, niewłaściwie nazywany katakumbami, został założony w XVI w., po śmierci jednego z zakonników. Zwłoki owinięto w chustę i złożono w skalistej szczelinie. Wraz z upływem czasu zaczęło brakować miejsca na kolejne pochówki. Zakon zdecydował się wybudować obszerny grobowiec pod ołtarzem kościoła i przenieść doń szczątki dotychczas zmarłych braci. Wyjątkowe warunki w skalnych szczelinach zakonserwowały zwłoki, zachowując je w bardzo dobrym stanie i ekshumowane szczątki nie rozpadły się w proch.

Decyzją przeora klasztoru zakonserwowane ciała, w myśl dewizy „memento mori", wyeksponowano w wybudowanym podziemnym cmentarzu. Początkowo grzebano tam wyłącznie braci zakonnych. Z upływem lat sława nekropolii i jej wyjątkowych właściwości nieustannie rosła. Coraz większa liczba możnych Włochów pragnęła złożyć swe doczesne szczątki w szlachetnym, świątobliwym towarzystwie. Pod wpływem nacisków kapucyni w połowie XVII w. zezwolili na pochówki osób świeckich na swoim cmentarzu.

Od tego też czasu mumifikowanie zwłok przybrało zorganizowany charakter. Koszt miejsca w kapucyńskich podziemiach był wysoki, ale takie były oczekiwania rodzin zmarłych. Kapucyńska metoda konserwacji zwłok polegała na usunięciu organów wewnętrznych i pozostawieniu ciała na około rok w szczelnym pomieszczeniu celem jego wysuszenia. Po tym czasie ciało myto w wodzie i occie, wypełniano słomą, ubierano i oficjalnie umieszczano w jednym z korytarzy cmentarza. Rodziny mogły odwiedzać zmarłych, a co pewien czas możliwe było nawet ich przebieranie. W czasach epidemii ciała dodatkowo poddawano kąpielom arszenikowym – co pozostawiało czerwonawe plamy na skórze zwłok.

Obecnie kapucyńskie podziemia są miejscem spoczynku prawie 8 tys. osób. Ich mumie są podzielone według płci, stanu, wieku czy zawodu. Zwłoki leżą na półkach, stoją w niszach, wiszą na ścianach, niektóre są złożone w trumnach.

Ostatnie pochówki na podziemnym cmentarzu pochodzą z ok. 1920 r. Jedną z osób tak pochowanych była dwuletnia Rosalia Lombardo, zmarła z powodu infekcji oskrzeli. Jej, niemal nienaruszone upływem czasu, ciało spoczywa w kryształowej trumnie, pod kaplicą św. Rozalii.

Obecnie kapucyński cmentarz w Palermo jest jedną z atrakcji turystycznych miasta. Dostępny jest dla każdego, kto kupi bilet wstępu i odważy się wkroczyć do tych niejednokrotnie pełnych makabrycznego klimatu korytarzy.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI



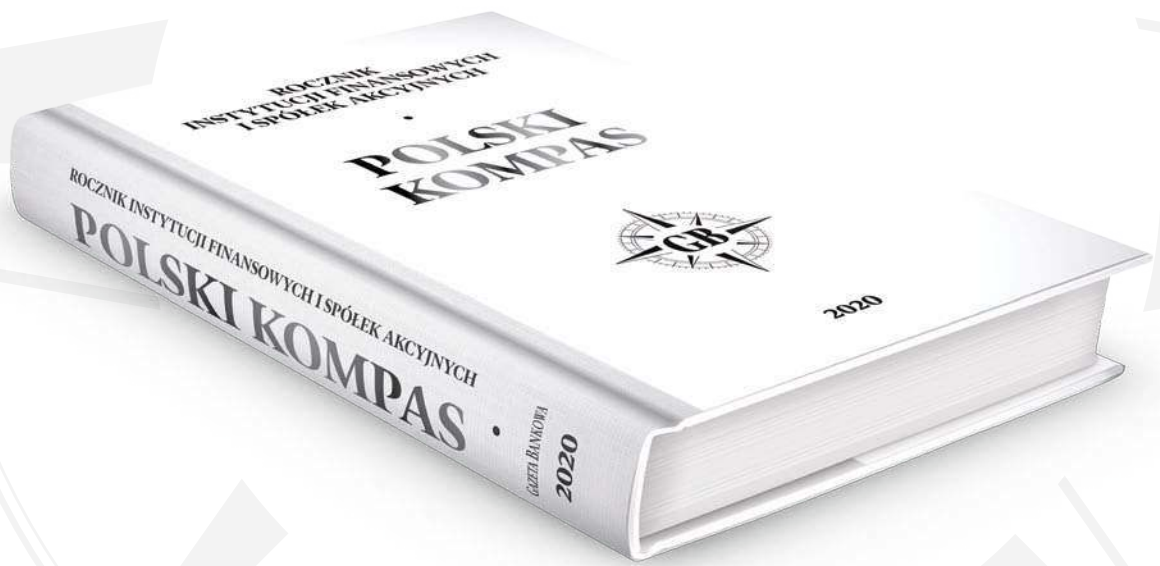
Rosalia Lombardo



FOT. WIKIPEDIA COMMONS

POLSKI KOMPAS 2020

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH



Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na **gb.pl** *oraz na:*

Google play | App Store | AppGallery

Pobierz darmowe e-wydanie

ORGANIZATOR: GAZETA BANKOWA

PATRONAT HONOROWY: Ministerstwo Aktywów Państwowych; Ministerstwo Finansów; Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej; Ministerstwo Infrastruktury; Ministerstwo Klimatu; Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego; Mariusz Błaszczak Minister Obrony Narodowej; Ministerstwo Rozwoju; Ministerstwo Sportu; Minister Sprawiedliwości; Minister Środowiska Michał Woś; Ministerstwo Zdrowia Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNER ZŁOTY: ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY: Energa Grupa ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI: accenture; PWPW Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych; PZU; Totalizator Sportowy

PARTNER: arp; GPW; PGE

PARTNERZY WSPIERAJĄCY: Alior Bank; GAZ system

eprasa.pl 236a0e0c90

Sieć Przyjaciół





Sieć Przyjaciół zapewnia dostęp
do cyfrowej wersji **tygodnika Sieci**,
magazynu **wSieci Historii**
i artykułów PREMIUM⊕ w **portalu wPolityce.pl**



Jacek Karnowski
Redaktor naczelny tygodnika Sieci

Marzena Nykiel
Redaktor naczelna portalu wPolityce.pl

E-PRENUMERATA SIECI

TERAZ 50% TANIEJ!

NOWOŚĆ!

DOSTĘP DO TREŚCI PREMIUM⊕ W PORTALU wPolityce.pl

KUP TERAZ: **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl 236a0e0c90